JAK WYSOKA JEST FALA, KTÓRA NIESIE MENTZENA

BODNAROWCY TRZYMAJĄ W ARESZCIE MATKĘ CHOREGO DZIECKA

TRUMP CHWYCIŁ UKRAIŃSKĄ PRZYNĘTĘ

CZY POCIĄG Z WARSZAWY DOJEDZIE DO BUDAPESZTU

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

10 (640) 2025
3–9 marca 2025
CENA: 12,90 ZŁ
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CO UKRYWA?

RAFAŁ TRZASKOWSKI WCIĄŻ UCIEKA. PRZED WŁASNYMI POGLĄDAMI. PRZED OBOWIĄZKAMI W WARSZAWIE. PRZED DZIENNIKARZAMI. CZEGO SIĘ BOI, ŻE POSUWA SIĘ DO TAK BRUTALNYCH METOD?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 10
Numer w sprzedaży do 10 III 2025 r.

eprasa.pl 7ib6a2d0a0

Rozliczasz PIT?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój patriotycznych mediów!

KRS0000053057 Cel szczegółowy: rozwój mediów

Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

WESPRZYJ wPolsce24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Cienki lód władzy

Premier Mateusz Morawiecki usłyszał zarzuty przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków urzędniczych w sprawie organizacji wyborów korespondencyjnych w 2020 r. Zarzut dotyczy podejmowania działań bez rzekomo wystarczającej podstawy prawnej, opartych na ustawach covidowych.

Trudno o bardziej naciąganą sprawę. Próba przeprowadzenia wyborów, choćby korespondencyjnych, była obowiązkiem ówczesnych władz, sytuacja była nadzwyczajna. Pandemia dopiero się rozpędzała, nikt nie znał przyszłości, terminy konstytucyjne goniły, a opozycja kultywowała swoją „totalność", odmawiając ratowania ram procedur demokratycznych, zwalczając wszelkie wybory – zarówno kopertowe, jak i, o czym dziś się zapomina, tradycyjne jako rzekomo skrajnie niebezpieczne. Celem była destabilizacja państwa, a ostatecznie podważenie legalności prezydenta i rządu. Co więcej, przeprowadzenie wyborów korespondencyjnych nie było w istocie przesadnie trudnym zadaniem. Umiarkowanie sprawne państwo z elementarnie lojalną opozycją bez trudu podźwignęłoby takie zadanie. Poniesiona strata, na którą się wskazuje – kilkadziesiąt milionów złotych – nie może tu być argumentem rozstrzygającym. Demokracja, także jej ratowanie, kosztuje. To kropelka przy dodatkowych setkach miliardów złotych, które przyniosły Polsce i Polakom rządy Prawa i Sprawiedliwości.

Celem władzy jest kryminalizacja obecnej opozycji. Te dziesiątki, może już setki postępowań mają przynieść PiS efekt zapaści i zmrożenia. Jeśli kilkunastu, a może i kilkudziesięciu polityków wysokiego oraz średniego szczebla trafi za kraty, stworzy to wyrwę trudną do zastąpienia. Powstanie też napięcie, które uniemożliwi prowadzenie normalnej pracy politycznej. Jak promować program, gdy koledzy siedzą? Wówczas, jak sądzi władza, wystarczy mocno popchnąć i PiS zostanie ostatecznie zniszczone. System zostanie domknięty, a Polacy będą mogli wybierać między różnymi kolorami tej samej tęczy.

Z powodu odebrania PiS subwencji już dziś system demokratyczny w dużej mierze obumarł. Został sam akt głosowania, ale przecież demokracja bez elementarnie równego traktowania uczestników staje się jedynie fasadą. A przecież budżetowe finansowanie partii politycznych nie jest jakimś dodatkiem do naszej demokracji, ono jest jednym z ważniejszych fundamentów! Minister finansów Andrzej Domański odmawiający wykonania decyzji PKW popartej werdyktami sądów dopuszcza się złamania prawa w naprawdę poważnym stopniu. Uderza w samo serce polskiej demokracji, a siebie naraża na poważne konsekwencje.

Nasilająca represje władza w niewidoczny dla siebie sposób coraz mocniej kreuje swoisty „splot słoneczny", który może stać się początkiem jej końca. Po pierwsze, Polacy są już bliscy dostrzeżenia, że represje nie są „obok" troski o dobrobyt i rozwój, ale „zamiast". Badacze informują o zjawisku „zazdrości"; obywatele mają za złe władzy, że zajmuje się przeszłością, swoimi wrogami, a nie ich codziennymi problemami. A tych przybywa, bo drożyzna staje się naprawdę dotkliwa, tym bardziej że nie towarzyszą jej żadne działania osłonowe, brakuje też impetu rozwojowego (o hucznie ogłoszonym „planie inwestycyjnym Tuska" nie mówi już nikt, nawet on sam milczy w tej sprawie).

Po drugie, środowiska republikańskie w USA coraz wyraźniej widzą, że natura władzy Tuska jest co najmniej autorytarna. Potwierdza to raport wpływowego Hudson Institute, którego autorzy oskarżają władze w Polsce o „przekroczenie czerwonej linii" w traktowaniu opozycji. Ich zdaniem próby rządzącej w naszym kraju koalicji, by „zniszczyć PiS", zostaną dostrzeżone przez Waszyngton i może się to odbić na interesach Polski. Również zdaniem prezydenta Andrzeja Dudy prezydent Donald Trump jest „absolutnie uwrażliwiony" na represje ze strony głównego nurtu pseudoliberałów, bo sam ich doświadczył i rozumie, o czym jest mowa. W tej sprawie wystarczy jeden mocny głos ze strony Waszyngtonu, wywołany sztucznie lub naturalny, organiczny. Jeden głos może zmienić bieg naszych spraw. Lód, po którym stąpają bodnarowcy i ich mocodawcy, stał się bardzo cienki. Można się tylko dziwić, że oni sami tego nie widzą.

Jacek Karnowski

Reklama | 22/0225/F

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

SIECI

spis treści

Fot. FotoDax/Shutterstock.com

27 Nachodźcy u bram
Dorota Łosiewicz

Fot. Andrzej Wiktor

41 Jaki będzie następny pontyfikat?
Grzegorz Górny

68 Zaorać rolnictwo, czyli nowa polityka rolna Unii
Grzegorz Szafraniec

NA POCZĄTEK

5 DWIE TWARZE TRUMPA
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 FRANCUSKI PIESEK
Krzysztof Feusette

9 MAKE ORLEN GREAT AGAIN
Daniel Obajtek

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 MEN ŁAMIE PRAWO?
Dorota Łosiewicz

13 Z AZJATYCKIEJ PERSPEKTYWY
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA DARIUSZA SIERHEJA
Michał Korsun

16 RADA NIEBEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO
Jan Pietrzak

16 ŁAPANKA
Samuel Pereira

17 ATRAPA PREZYDENTA W TEATRZYKU DLA NAIWNYCH
Arkadiusz Mularczyk

18 ZAUFANIE
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 UCIEKINIER
Marek Pyza

KRAJ

24 CZAS ŁUPÓW
Konrad Kołodziejski

27 NACHODŹCY U BRAM
Dorota Łosiewicz

30 MENTZEN NA FALI
Stanisław Janecki

32 DZIECKO OFIARĄ POLITYCZNEJ NAGONKI
Goran Andrijanić

34 CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ OBOJĘTNY
Piotr Gursztyn

ŚWIAT

37 POCIĄG Z WARSZAWY NIE DOJEDZIE DO BUDAPESZTU
Z Jánosem Bóką
rozmawia Jacek Karnowski

41 JAKI BĘDZIE NASTĘPNY PONTYFIKAT?
Grzegorz Górny

44 KIJÓW GRA Z USA KARTĄ WŁASNYCH BOGACTW
Marek Budzisz

47 CZY MERZ ZWASALIZUJE SOCJALISTÓW?
Jan Rokita

50 AfD IDZIE PO WŁADZĘ
Aleksandra Rybińska

OPINIE

52 W POLSCE NIE MA JUŻ DLA MNIE MIEJSCA
Z Andrzejem Dziubkiem
rozmawia Maciej Walaszczyk

56 UMOWA JAK Z KOSZMARÓW III RZESZY
Dariusz Matuszak

HISTORIA

58 KONGRES OPOZYCJI ANTYUSTROJOWEJ – ALTERNATYWA DLA OKRĄGŁEGO STOŁU
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 BEZ CHARAKTERYZACJI
Jolanta Gajda-Zadworna

63 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

64 BAWARIA I BURIACJA
Robert Tekieli

65 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

66 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

68 ZAORAĆ ROLNICTWO, CZYLI NOWA POLITYKA ROLNA UNII
Grzegorz Szafraniec

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: EWA IHALAINEN
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

73 POLSCY MOCARZE
Ryszard Czarnecki

74 CZEGO KLAUS SCHWAB NIE CHCE WIDZIEĆ
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Dwie twarze Trumpa

Wybór Trumpa na stanowisko prezydenta USA witałem z nadzieją. Okazuje się, że powinien jej towarzyszyć co najmniej taki sam niepokój. Owszem, nowy lider Stanów z impetem rozpoczął kontrrewolucję w swoim kraju, co automatycznie przełożyło się na powstrzymanie ideologicznego walca, który przetacza się przez cały Zachód i niszczy jego cywilizację. Zablokowane zostały gigantyczne fundusze, którymi Waszyngton wspierał kontrkulturową rewolucję, a radykalne zmiany w globalnej potędze wpłynęły na układ sił na całym Zachodzie.

Niestety okazało się, że nowy prezydent hasło „America first" traktuje tak dosłownie, iż podważa ono zasady cywilizacji zachodniej i Stanów jako państwa, które wyrasta z kultury chrześcijańskiej i jej moralnego porządku.

Ludzie żyją we wspólnotach i naturalnym jest, iż szczególną troską otaczają bliższe sobie środowisko. To lewicowo-liberalna ideologia emancypacji usiłuje nas ze wspólnotowej kondycji „wyzwalać" i niszczyć tradycyjne tożsamości, a w ich miejsce konstruuje uniwersalne projekty, które jak zawsze w przypadku utopii wykorzystywane są przez silniejszych. Powrót do polityki jako sprawy państw przywraca jej właściwe miary, ale kiedy okazuje się zakwestionowaniem jakiegokolwiek ładu moralnego w relacjach między nimi, staje się swoim przeciwieństwem i uderza w podstawy cywilizacji Zachodu i amerykańskiego etosu, który wywodzi się z niej i ufundowany jest na chrześcijańskiej moralności. Można wprawdzie wskazywać, jak często Zachód, czy konkretnie USA, naruszały ten porządek, ale wszystkie takie ekscesy piętnowane były już w czasie, kiedy do nich dochodziło i stanowiły punkt wyjścia do krytycznej refleksji.

Stosunek Trumpa do Ukrainy to wyraz egoizmu narodowego, który uzasadniony jest wyłącznie pozycją siły. Bo to nie tylko przejęcie kremlowskiej propagandy w opisie samej wojny, ale i próba zarobienia na niej, czyli wyeksploatowania zniszczonej wojną Ukrainy. Trump domagał się przekazania USA ukraińskich minerałów jako rekompensaty za pomoc wojenną, która nie była obwarowana żadnymi warunkami, i to naliczoną z lichwiarskim procentem w odniesieniu do nieprawdziwych danych. Można założyć, że zachowanie amerykańskiego prezydenta miało charakter „zmiękczenia" kijowskich kontrahentów, bo kiedy czytają państwo ten tekst, najprawdopodobniej podpisana jest już umowa w nowym kształcie, ale zachowanie Trumpa wykracza poza zwykłą strategię negocjacyjną. Tak samo jak wspólne z Moskwą, Pekinem i Pjongjangiem głosowanie w ONZ, aby nie napiętnować rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Postawa Trumpa to prawdopodobnie próba wyrwania Rosji z jej związku z Chinami, które są dziś globalnym rywalem USA, a wojna na Ukrainie cementuje więzi między Moskwą a Pekinem. Nie oznacza to, że prezydent Stanów zaakceptuje warunki Putina, który domaga się powrotu sfery wpływów z okresu zimnej wojny, zgodnie z czym Polska suwerenność byłaby ograniczona, czy wręcz unieważniona. Trump nie jest naiwny i orientuje się, że w Europie liczyć może wyłącznie na jej środkowo-wschodni region, a zatem nie wydaje się, aby łatwo zrezygnował z tego atutu zwłaszcza wobec nieprzewidywalności Moskwy.

I to Europa Środkowo-Wschodnia może być dla niego sojusznikiem w kontrrewolucji, którą Trump przeprowadzić usiłuje w zachodniej hemisferze. Niestety otoczenie Trumpa wydaje się w dużej mierze przyjmować tradycjonalne uzasadnienia imperializmu Putina. Ma to wpływ na wyrozumiałość, z jaką jest on traktowany. Nakładanie schematu kulturowej wojny na globalne stosunki jest nieporozumieniem, ale stanowi odruch ludzi, którzy funkcjonują w kontekście intensywnego konfliktu. W efekcie wielu zachodnich konserwatystów postrzega Putina jako wręcz sojusznika w ich zmaganiach z liberalno-lewicowymi elitami i ich ideologią. Pozostaje mieć nadzieję, że polityka Rosji uleczy ich z tego kompleksu.

Na tle zachowania Trumpa pozytywnie zaskakiwać może zdecydowanie antykremlowska postawa przywódców Europy. To jednak tylko retoryka, bo przez trzy lata wojny nie zrobili oni nic, aby przygotować się na jej kontynuację. Jeśli Trump obudził ich z letargu – chwała mu za to. Można jednak obawiać się, że na retoryce się skończy, a zwłaszcza Niemcy znowu ciążyć zaczną do normalizacji stosunków z Moskwą, które są dla nich szansą na powrót do kluczowej gospodarczej pozycji w Unii.

Dla Polaków obrona Ukrainy to żywotny interes. Putin mówi wprost, że obecna wojna to tylko wstęp do odbudowy dawnej sfery wpływów. Krajom naszego regionu trwałe bezpieczeństwo zapewnić może wyłącznie stworzenie koalicji narodów Międzymorza, które połączone wspólnym zagrożeniem mają szansę zbudować trwały układ. Wymaga to jednak świadomej i długotrwałej polityki i przebiegać może we współpracy z USA, które dostrzegają w tym swój interes, a obecne złudzenia Trumpa dość szybko zostaną skonfrontowane z realiami. Byle nie za dużym kosztem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Sygnalista nadaje

Prezydentowi ***Andrzejowi Dudzie*** gratulujemy przyjaciół. Tych serdecznych z TV Republika. Wspaniale i wzorowo obsłużyli oni jego wizytę w USA. Cała Polska, a szczególnie jej prawicowa część, jest szczerze wdzięczna przyjaciołom z Republiki za profesjonalne zrelacjonowanie spotkania naszej głowy państwa z amerykańską głową, czyli Donaldem Trumpem. Jesteśmy pod ogromnym wrażeniem skuteczności w budowaniu prestiżu prezydenta Dudy. I nie zgadzamy się ze złośliwymi oraz małostkowymi docinkami, że coś poszło nie tak w ukazywaniu kulisów spotkania. Przecież to było podniosłe i wzruszające widowisko. Jeśli ktoś miał wątpliwości, czy Andrzej Duda ma szanse na trzecią kadencję prezydencką, to teraz już nie ma takich niedowiarków. A to dzięki wsparciu TV Republika. Oczywiście wiemy, że konstytucja nie przewiduje trzeciej kadencji, ale ustawa zasadnicza nie przewidywała też istnienia TV Republika. A przecież popierany przez nią pretendent może zasiadać w pałacu prezydenckim nieskończoną liczbę kadencji. Co najmniej tyle, co Sławomir Broniarz w Związku Nauczycielstwa Polskiego albo nawet dłużej.

W związku z amerykańskimi podbojami TV Republiki rozeszły się haniebne i oszczercze pogłoski. Według nich Tomek Sakiewicz chce mieć własną partię. Są już ludzie, którzy na spotkaniach z Karolem Nawrockim skandują hasło „Republika!". To ma być aktyw założycielski nowej partii i proponowana nazwa. W ten sposób ma się utrwalić w uszach prawaków zawiedzionych PiS i Konfederacją. Jak twierdzą oszczercy, w tej nowej własnej partii Tomek ma być jej Jarosławem Kaczyńskim, bo dla tego prawdziwego nie przewidziano tam żadnego miejsca. Jesteśmy poruszeni i wstrząśnięci, że ktoś może powtarzać takie obrzydliwe pomówienia. Uważamy, że nie należy ich kolportować, zatem uczulamy was, drodzy czytelnicy, abyście dalej o tym nie mówili ani nie pisali w mediach społecznościowych. Nie wolno powtarzać takich rzeczy! Po co o tym mówić? To niedobre jest.

Ale jeśli Eliza Michalik wróciłaby do Tomka i byłaby współliderinią tej partii, to co – nie zapisaliby się państwo do tego ugrupowania? Bo my od razu, tej siły nikt by nie zatrzymał!

A teraz pokrzepiająca i wzruszająca historia. Prosty chłopiec z ubogiej rodziny. Mimo nędzy i przeciwności losu dzięki swej pracowitości i talentowi oraz niezwykłej sile woli osiągnął sukces i wielkość. Człowiek przez duże „Cz". Rafał Czaskoski, a właściwie Trzaskowski! Przeczytacie o nim w książce pod tytułem „Rafał", która lada chwila stanie się bestsellerem na całym świecie. W tym wywiadzie rzece Rafał „opowiada o rodzinie, dorastaniu w czasach komuny, miłości do historii, literatury i sportu". Czytelnik dowie się, że „doświadczenia Trzaskowskiego splatają się z losem wszystkich Polaków". Nie to, co tego Nawrockiego, o którym wiadomo, że nie kocha historii ani sportu i jest wypieszczonym dzieckiem oderwanych od życia narodu kosmopolitycznych elit.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Rafał Trzaskowski – Janko Muzykant, który przetrwał. Syn biednego wiejskiego muzykanta i folwarcznej robotnicy, prześladowanej przez komunistyczną bezpieką. Polski Jean Valjean (O pardon, z tym to przesadziliśmy, bo przecież nie są prawdą te prawicowe oszczerstwa, że Rafał mówi po francusku).

Tak czy inaczej czytajcie ten wzruszający Bildungsroman, bierzcie przykład i głosujcie. Jeszcze słowa samego Rafała z tejże książki: „Myślę, że liczy się tylko to, czy ktoś jest prawdziwy. Autentyczność, nie fałsz". My też tak myślimy: bądźcie Wielkiej Polsce!

O większego trudno zucha, jak jest Szymek Burczymucha. Wydłuża się lista triumfów sejmmarszałka ***Szymona Hołowni***. Po wdeptaniu Władimira Putina, wdeptał Sławomira Mentzena. Teraz zapowiedział wdeptanie pani z Niemiec, która mieszka w Szwajcarii ze swoją dziewczyną ze Sri Lanki. Ale mimo to jest antypostępowa, bo jest Führerem partii AfD. Mowa o niejakiej Alice Weidel. No i ta jej faszystowska partyjka jest teraz na celowniku sejmmarszałka Hołowni. A gdy już Szymek wdepcze w ziemię Weidel i jej egzotyczną flamę, to przyjdzie czas na następnych złoczyńców. Lista jest długa: Adrian Zandberg, Marek Jakubiak, Grzegorz Braun i pan Tanajno, bo on też chyba startuje w wyborach prezydenckich. Wiecie, co oni robią? Bezczelnie depczą po piętach sejmmarszałkowi Hołowni. Źli ludzie porównują sondaże poparcia i pozwalają sobie na niestosowne uwagi pod adresem Szymka. A za to może być tylko jedna kara: wdeptanie w ziemię!

„Gazeta Wyborcza" zakochała się w ***Sławku Mentzenie***. Że taki fajny, rzeczowy i chyba nie jest żadnym faszystą (co nas rozczarowało, bo pamiętamy z różnych filmów, że faszyści mieli trochę wad, ale za to nosili fajne ciuchy). To na pewno bezinteresowna fascynacja, bo nie podejrzewamy naszej ulubionej gazety o to, że jest stronnicza i może promować któregoś z polityków. Ufamy przecież w rzetelność takich legend polskiego dziennikarstwa, jak Wojtek „Osiem Gwiazdek" Czuchnowski, Bartosch Te Wielinsky i pan Głuchowski (najlepszy polski bajkopisarz od czasów bp. Krasickiego). Chodzi w tym o uczciwe ukazanie kandydata, a nie jakieś pompowanie, jak twierdzą prawackie kłamczuchy. I nie jest prawdą, że jest to akcja taka jak w Rumunii, gdzie napompowano niejakiego Georgescu. Zwłaszcza że rumuńscy towarzysze dali nam przykład, jak unieważniać nieodpowiednie wybory i aresztować niepotrzebnych kandydatów. Zatem nie ma obaw, że jest to pompowanie pana Mentzenescu, bo przecież i tak będzie go można unieważnić.

Stacja TVN zdradziła. Wydaje nam się, że nie chciała tego robić, ale została zmuszona do zdrady. Trump jej kazał. Chodzi o to, że w TVN poinformowano, iż piękna i szlachetna akcja promowania ośmiu gwiazdek i związanego z nimi hasła na „j" była finansowana przez Rosję. Łączą się z nią nasze najpiękniejsze wspomnienia – wesela, pogrzeby i dyskoteki na kampusie Rafała. Nikt nam tego nie odbierze. Może i Ruscy to finansowali, ale robili to w dobrej wierze, poza tym pamiętamy czasy resetu i wiemy, że to jest ta lepsza, prawdziwie demokratyczna twarz Rosji.

32 proc. Polaków uważa, że ludzie żyli w czasach dinozaurów – donosi Eurobarometr. To w przybliżeniu tyle samo, ile uwierzyło w 100 konkretów na 100 dni. I tyle samo jest dzisiaj zadowolonych z działań rządu (bo 57 proc. to jacyś malkontenci, którzy nie doceniają tego, że PiS już nie rządzi). Szkoda jednak, że tak mało ludzi – tylko 32 proc. – nadąża za osiągnięciami współczesnej nauki. Przecież każdy może sprawdzić to, co na temat współżycia dinozaurów i ludzi mówi wybitna paleontolog prof. ***Ewa Kopacz***: „Przypomnę trochę strasznie dawne czasy. Wtedy, kiedy jeszcze dinozaury były, a ludzie nie mieli strzelb i nowoczesnej broni, która pozwoliłaby ich zabić. Wie pani co robili? Rzucali kamieniami w tego dinozaura". I co? Łyso wam teraz antydinozaurowe niedowiarki?

Świat przestał płonąć, Putin może poczekać, a kaczystów i tak będzie ścigała niezależna, praworządna bodnarowska prokuratura. Zatem narty z wnuczkami usprawiedliwione, choć trochę niebezpieczne. Kapitalny jest ten nasz premier Tusk. Sceny z obieraniem ziemniaków czy słynna mowa z ortezą na nodze na trwałe zagoszczą w sercach milionów Polaków. Za to raczej nie w umysłach, ale przecież nie o to chodzi w polityce.

A o co chodzi w polityce? Wytłumaczył nam to nieoceniony ***Włodek Czarzasty***. Zasromał się on tym, co premier Tusk mówi o wysłaniu polskich wojaków na Ukrainę: „Po co Tusk się tak mocno zarzeka, że nie wyśle tam wojska? Przecież wiadomo, że po wyborach trzeba będzie wysłać" – zamartwiał się Włodek. I dalej stawiał retoryczne pytania: „A potem Tusk znów będzie musiał połknąć własny język". Włodek zamilkł na kilka sekund, nagle rozpromienił się i rzekł: „A czy to pierwszy raz Tusk będzie połykał własny język?".

Fot. 360b/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk, Tomasz Warszewski/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Francuski piesek

KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Bonjour, bonjour! Bonżur będzie tłumaczył, okej?
Trzaskowski: Poczekaj, bo „okej" to nie jest po francusku. Po francusku będzie „łi". Okej?
Tusk: To się, cholera, zdecyduj, czy „okej" jest okej, czy „łi" jest „łi"!
Trzaskowski: No przepraszam bardzo, ale po niemiecku to się z nim raczej nie dogadasz. On ma babcię nauczycielkę.
Tusk: Żonę, głąbie.
Trzaskowski: Jak to? On ma żonę? To czemu Trumpa łapał za kolanko?
Tusk: Geopolityka. I tak nie zrozumiesz.
Trzaskowski: Chyba gejopolityka. Jak ja nie lubię tęczowych w tej kampanii...
Macron: Allo?
Trzaskowski: Allo, allo! Ja będę tłumaczył, okej? Łi, łi? Bonjour, prezydent...
Tusk: No, jeszcze nie wiadomo...
Trzaskowski: Mówię do niego, nie o sobie. Nie wcinaj się tak, bo nie nadążę.
Macron: Allo?
Trzaskowski: Allo, allo, monsieur Micron, znaczy się, Macron. Sorry, to jest pardon, mon francais est la polonaise...
Tusk (*śpiewa*): Allons enfant de la patrie...
Trzaskowski: Cicho, bo nie wiem, co on mówi! Allo, monsieur Emmanuelle, sorry, pardon, Emanuel... No i zapomniałem, jak jest po francusku „Ameryka"...
Tusk: W takim momencie?!
Trzaskowski: Nerwy mnie zżerają...
Tusk: I ty chcesz być głową państwa?
Trzaskowski: Ty też chciałeś. Allo, allo, co słychać? Pan mnie rozumie?
Macron: Bonjour...
Trzaskowski: Cholera, poznał mnie!
Tusk: No i co?
Trzaskowski: No i to, że teraz nie powie, o czym gadał z Trumpem!
Tusk: A niech nie mówi. I tak nic nie wie. Kurdupel jeden. Rozłączaj się.
Macron: Allo?
Tusk: Spadaj na wieżę Eiffla, frajerze!
Trzaskowski: Tak nie można.
Tusk: Co nie można?! Wiesz, jak on na mnie patrzy? Jak na jakiegoś pachołka! Dawaj ten telefon, pokażę ci rozmowę prawdziwych mężów stanu.
Trzaskowski: Mam zostać?
Tusk: Tak! I ucz się. Halo, Berlin?
Głos 1: Ja?
Tusk: Ja, ja. Wiadomo, że ja. Czy można z Olafem? Donald z tej strony.
Głos 1: W jaka sprawa?
Tusk: No przecież nie o migranten czy reparacjonen! O politykę międzynarodową się rozchodzi, ja? Gut? Halo?
Głos 1: Gut, gut. Z kim chciała rozmawiać? Ja słabo po niemiecki, ja migrant z Polski. Ten co płynął w strumieniu, pana kojarzi?
Tusk: Nie kojarzi. Przełącz mnie, kochanie, do Olafa, co?
Głos 1: Ja, ja. Przełączam.
Głos 2: Guten morgen, z tej strony generalny gubernator urzędu kanclerza Niemiec. W czym mogę pomóc?
Tusk: Z Olafem chciałem.
Głos 2: Z kim?
Tusk: Z Olafem!
Głos 2: Jakim Olafem?
Tusk: Lubaszenką, k...a. No Scholzem, do cholery!
Głos 2: Ale tu nikt taki nie pracuje.
Tusk: To już się wyniósł? Nawet nie zadzwonił? A zostawił może jakąś wiadomość?
Głos 2: Niestety tak.
Tusk: A czemu „niestety"?
Głos 2: Bo wyrzuciliśmy. Zostawił takich kilka, z dedykacją „Danke für alles".
Tusk: To był dobry kanclerz.
Głos 2: Nie bardzo.
Tusk: Nie bardzo dobry, ale taki średnio dobry na pewno. Przynajmniej dla mnie. Pięknie zamrozili z Ursulą kasę dopóki nie wrócę. To co, danke szejn, pewnie jeszcze się usłyszymy...
Głos 2: Ja, ja, odezwiemy się do pana.
Tusk: Przecież wiem. Auwidersejn.
Trzaskowski: Kurczę, ty to pomykasz po niemiecku...
Tusk: Rozmawialiśmy po polsku.
Trzaskowski: Aha. To nie zrozumiałem. Pomogą?
Tusk: Najważniejsze, Rafałku, że sobie pogadaliśmy. A ten twój wynik to ostatnio mizerny. 32 proc.? Z czego ty, dziecko, chcesz uzbierać te brakujące 19 proc. na drugą turę?
Trzaskowski: I tak mam więcej niż partia.
Tusk: A g...o cię partia obchodzi! Startuj jako niezależny. Mów jak kiedyś, że „Tuska już nie ma w polityce", to zobaczymy, czy do drugiej wejdziesz...
Trzaskowski: Najwyżej mnie podmienicie.
Tusk: Na kogo?
Trzaskowski: No na pana premiera.
Tusk: Że niby ja pod żyrandolem, a ty będziesz doprowadzał ministry do płaczu?
Trzaskowski: O przepraszam, teraz jestem dobry człowiek, swój chłop. Wychodzi nawet książka o mnie.
Tusk: Widziałem. O autentyczności. Będą z ciebie ludzie.
Trzaskowski: Parafrazując słowa pana premiera, g...o mnie ludzie obchodzą. Ale jak patrzę na tego Macrona, to sobie myślę: kurde, taki niski, a dał radę, to ja mam nie dać?
Tusk: O jego żonie mówisz? Rafale, ale swojemu politycznemu nauczycielowi to ty byś tak nigdy nie zrobił, co?!
Trzaskowski: W jakim sensie?
Tusk: Już ty wiesz, w jakim. Nie bój nic, premier czuwa, żeby wilk był syty i baran cały, jak to mówią
Trzaskowski: A owca?
Tusk: Na cyplu. Z kozami. Dobra, kończymy na dzisiaj, bo jadę z wnuczkami na narty. „Pokaż, dziadek, jak na nartach jeździsz" – mówią. To pokażę. A muszę ci powiedzieć, że szusuję jeszcze lepiej, niż rządzę.
Trzaskowski: Aha. No, to połamania nóg, panie przewodniczący.
Tusk: Słucham?!
Trzaskowski: Tak się mówi przed nartami.
Tusk: Chyba we Francji. Idź już, bo muszę ziemniaki obrać.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Make Orlen Great Again

Wyników nie da się oszukać, tak samo jak nie daje się oszukać ludzi, którzy coraz bardziej widzą, że nasz narodowy czempion stacza się na samo dno. Nowych inwestycji – brak, programów dobroczynnych – brak, nowych pomysłów na zwiększenie rozpoznawalności marki – brak

W ub. tygodniu ORLEN opublikował wyniki finansowe za czwarty kwartał, a co za tym idzie – także za cały 2024 r. 13 mld zł zysku mniej w stosunku do 2023 r. i 76 mld zł mniej przychodów to doskonałe podsumowanie roku działania tych „bezpartyjnych fachowców" z szeregów ekipy uśmiechniętej koalicji.

Ale wypada powiedzieć coś więcej, bo przez cały rok tak bardzo się „napracowali", że na konferencji wynikowej byli w stanie pochwalić się jedynie inwestycjami, które zostały rozpoczęte i były realizowane przeze mnie oraz mój zarząd, który teraz jest za te wszystkie decyzje atakowany, ciągany po prokuraturach i któremu grozi się licznymi konsekwencjami. Baltic Power, elektrownie gazowe w Grudziądzu i Ostrołęce to projekty, które teraz ochoczo wymienia prezes ORLENU, a z którymi w rzeczywistości nie ma nic wspólnego. Dziennikarze jednak potakują, wiadomo – pamięć jest krótka, szczególnie redaktora, którego często knebluje linia redakcyjna.

Wyników nie da się jednak oszukać, tak samo jak nie daje się oszukać ludzi, którzy coraz bardziej widzą, że nasz narodowy czempion stacza się na samo dno. Nowych inwestycji – brak, programów dobroczynnych – brak, nowych pomysłów na zwiększenie rozpoznawalności marki – brak. Zaczynają reagować też związki zawodowe, bo w spółkach tnie się zatrudnienie, pracowników obarcza coraz nowymi obowiązkami, pieniędzy na inwestycje nie ma i pewnie nie będzie, bo muszą zarobić kancelarie prawne i firmy consultingowe, które drenują całą Grupę ORLEN, jak tylko mogą. Nie mówiąc już o marazmie i zastraszaniu, które są codziennością wielu spółek. Jak normalnie pracować w takich warunkach?

W mainstreamowych mediach trudno jednak szukać tych informacji, bo zaraz pogroziłby palcem ktoś z ORLENU, a może i z rządzącej ekipy, więc po co się narażać? Obiecałem sobie, że będę głośno mówił prawdę, co też czynię – na łamach tego tygodnika, w podcastach, mediach społecznościowych, a teraz także w książce „Daniel Obajtek. Jeszcze nie skończyłem", która wkrótce trafi do czytelników, a 15 marca nastąpi jej oficjalna premiera. Będą spotkania autorskie, będzie okazja porozmawiać (informacja o nich na moich profilach w mediach społecznościowych) i sam jestem ciekaw, jak będzie się państwu podobać ta opowieść o kulisach dużej polityki i biznesu. Paweł Svinarski, twórca popularnego kanału „Dla Pieniędzy", napisał o książce tak: „Szczera i pełna kontrowersji lektura, która z każdym rozdziałem wywołuje coraz większy bunt w sercu czytelnika". Co dzieje się, gdy ktoś wbija kij w mrowisko? Przekonajcie się sami i zajrzyjcie na sklep.czarnaskrzynka.com.pl. Przyjemnej lektury!

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

Annie i Michałowi Karnowskim

wyrazy głębokiego współczucia i żalu

z powodu śmierci

MAMY I TEŚCIOWEJ

składają

Zarząd Fratrii
oraz koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci",
portalu wPolityce.pl i telewizji wPolsce24

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Wielka Brytania

Wygaszanie rolnictwa

Wielka Brytania jest przykładem, że nie trzeba być w Unii Europejskiej, aby realizować najbardziej szaloną agendę Zielonego Ładu. Jak informuje „Financial Times", rząd Keira Starmera planuje zalesienie blisko 10 proc. brytyjskich gruntów rolnych, aby spełnić wyznaczone cele klimatyczne.

Zgodnie z propozycją rządu do 2050 r. aż 760 tys. ha ziemi zostanie przekształconych w tereny zielone „z korzyścią dla środowiska i klimatu". Dodatkowo właściciele kolejnych 9 proc. gruntów będą musieli przyjąć „zrównoważone" praktyki rolnicze. Rolnicy obawiają się, iż rząd będzie ograniczał produkcję żywności oraz decydował, jaki rodzaj upraw oraz hodowli zwierząt jest dozwolony, a jaki zakazany.

To już drugie w ostatnim czasie uderzenie w brytyjskie rolnictwo. Od kwietnia 2026 r. tamtejsze farmy zostaną bowiem obłożone podatkiem od spadków (IHT). Zgodnie z decyzją rządu spadkobiercy będą musieli zapłacić 20 proc. wartości farmy powyżej 1 mln funtów. W przypadku farmy wartej 5 mln funtów podatek wyniesie zatem 800 tys. funtów. Problem w tym, że dużej liczby farmerów nie stać na opłacenie tak wysokich podatków. Wprowadzenie podatku zmusi ich zatem do sprzedaży ziemi, co, jak twierdzą, zdziesiątkuje brytyjskie rolnictwo i doprowadzi do zagłady rodzinnych gospodarstw rolnych. Miejsce brytyjskich rolników zajmie ktoś inny – głównie duże korporacje z branży żywnościowej oraz firmy energetyczne, które od dawna poszukują ziemi pod wielkie farmy słoneczne.

Farmerzy zwracają uwagę, że skutkiem polityki rządu może być rosnące uzależnienie Wielkiej Brytanii od importu żywności. Już teraz jej 40 proc. pochodzi z zagranicy. Dalsze wygaszanie rolnictwa poprzez wysokie opodatkowanie oraz zalesianie gruntów ornych może więc zagrozić bezpieczeństwu żywnościowemu kraju.

Rząd Starmera twierdzi jednak, że nie ma takiego niebezpieczeństwa. Zdaniem urzędników odpowiedzialnych za środowisko naturalne najwyższej jakości grunty rolne oraz nowe technologie upraw pozwolą utrzymać odpowiedni poziom produkcji żywności. Postulaty rolników, aby w tej sytuacji wprowadzić cła ochronne na importowaną żywność, zostały pominięte przez rząd milczeniem.

Konrad Kołodziejski

Fot. Thatsakhone Sylapakith/Shutterstock.com

Syria

Trudny powrót do normalności

Nowe władze Syrii zorganizowały w Damaszku konferencję, która ma rozpocząć proces odbudowy kraju i jego demokratyzacji po 13-letniej wojnie domowej. Tymczasowy prezydent Ahmad asz-Szara w inauguracyjnym przemówieniu przedstawił 18-punktowy plan restytucji syryjskich instytucji politycznych i gospodarki.

Koncepcja przewiduje m.in. utworzenie narodowych sił zbrojnych oraz przywrócenie monopolu państwa na dysponowanie bronią. Realizacja tych punktów może oznaczać rozbrojenie syryjskich bojówek kontrolowanych przez mniejszości etniczne, co nie będzie prostym zadaniem, tym bardziej że na spotkanie nie zostali zaproszeni Kurdowie kontrolujący znaczne obszary kraju na północy i wschodzie, którzy dysponują dużym potencjałem militarnym. Przedstawiciele kurdyjskiej administracji stwierdzili, że nie biorą udziału w konferencji, bo „nie reprezentuje ona narodu syryjskiego" i nie mają zamiaru realizować przedstawionych propozycji.

Organizatorzy konferencji zapowiadają przekształcenie jej w stałe ciało, którego zadaniem ma być inicjacja procesu demokratycznego. Zdaniem syryjskich władz w pracach konferencji uczestniczyło 600 liderów klanów, mniejszości etnicznych i religijnych, a w trybie online dodatkowe 10 tys. osób, co jest dobrym prognostykiem na przyszłość.

Obserwatorzy syryjskiego życia politycznego zauważyli, że liderzy ruchu Hajat Tahrir asz-Szam, który doprowadził do obalenia reżimu Asada i którzy w przeszłości mieli związki z ISIS, złagodzili radykalne poglądy w kwestii praw mniejszości religijnych, co może być rezultatem presji państw europejskich. Bruksela zadeklarowała bowiem zniesienie niektórych sankcji nałożonych na syryjskie banki i dokapitalizowanie pięciu instytucji finansowych, ale dalszą redukcję ograniczeń uzależniła od rozpoczęcia odbudowy instytucji demokratycznych i poszanowania praw mniejszości religijnych i etnicznych.

Międzynarodowa pomoc ekonomiczna jest Syrii bardzo potrzebna, bo zrujnowany wojną domową kraj znalazł się w fatalnej sytuacji. 1 marca ma zostać sformowany rząd tymczasowy, którego zadaniem będzie – oprócz rozliczeń z funkcjonariuszami byłego reżimu oraz budowy sił zbrojnych – poprawa sytuacji gospodarczej. Z ostatniego raportu ONZ-owskiej agendy ds. rozwoju wynika, że Syria, rozwijając się w dotychczasowym tempie, będzie potrzebowała aż 55 lat na odbudowę kraju i osiągnięcie poziomu życia sprzed wojny domowej.

Marek Budzisz

Fot. Mohammad Bash/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Religijne przebudzenie

Indie

Po wiekach obcych rządów i upadku tradycyjnej kultury Indie są świadkiem kulturowego odrodzenia, które napędza powrót do tradycji hinduistycznych i nacjonalizmu. Świadczy o tym m.in. obecność religijnej mitologii w popkulturze, odnawianie świętych miejsc, a w warstwie duchowej renesans starożytnych hinduskich sekt, które, jak zaobserwowano, gwałtownie zyskują popularność.

Niektóre z nich mogą się pochwalić liczbą ponad 500 tys. *sadhu* – świętych mężów, a więc charakterystycznych wędrownych ascetów. Obserwuje się również wzrost liczby wchodzących na ścieżkę zdyscyplinowanego życia, mimo że wydaje się to sprzeczne z tendencją do szybko modernizującego się indyjskiego społeczeństwa. „Powiedziałbym, że to początek nowej ery" – twierdzi Swami Shiv Premanand, starszy kapłan w Mahanirvani Akhara, szkole ascetycznej pochodzącej z VIII w. „Doszło do przebudzenia, widzimy, że więcej osób niż kiedykolwiek wcześniej decyduje się zostać *sadhu*. Powrót do Sanātana Dharma, czyli życia według zasad hinduizmu, jest obserwowany szczególnie wśród młodzieży" – tłumaczy.

Jego zdaniem (potwierdzają również niektórzy arcykapłani), rosnąca pozycja szkół ascetycznych jest rezultatem polityki nacjonalistycznego rządu premiera Narendry Modiego i jego Indyjskiej Partii Ludowej (BJP). Trwający już dekadę okres jego rządów cechuje bowiem ideologiczny zwrot wskazujący na odejście od świeckich fundamentów i przekształcenie Indii w państwo hinduistyczne. Jego teoretyczne założenia zawierają się w ideologii Hindutvy, będącej w liberalnym rozumieniu rodzajem prawicowego ekstremizmu. To ona uzasadnia ponowną syntezę państwa z hinduistycznymi tradycjami duchowymi. Dlatego obecny premier często przedstawia się jako arcykapłan, a Yogi Adityanath kierujący rządzącą partią w stanie Uttar Pradesh, gdzie odbyła się tegoroczna Kumbhamela (największe hinduskie zgromadzenie religijne), sam jest zaprzysięgłym hinduskim mnichem, którego publicznie można zobaczyć ubranego wyłącznie w religijne szaty.

Tegoroczne święto stało się wydarzeniem zarówno politycznym, jak i religijnym, mającym symbolizować dominację BJP i premiera Modiego. Zdominowanie indyjskiego krajobrazu politycznego przez hinduski nacjonalizm jest nie tylko odpowiedzią na sekularyzację. To także reakcja na poczucie zagrożenia ze strony muzułmanów, pojawienie się mieszanych małżeństw i w konsekwencji wzrost muzułmańskiej populacji w Indiach.

Maciej Walaszczyk

Fot. CRS PHOTO/Shutterstock.com

Cel: zniszczyć opozycję

Brazylia

Prokuratura generalna Brazylii oskarżyła byłego prezydenta Jaira Bolsonaro i 33 osoby z jego otoczenia o próbę zamachu stanu i obalenia demokracji. Śledztwo wszczął Sąd Najwyższy pod przewodnictwem sędziego Alexandre'a de Moraesa, bliskiego przyjaciela obecnego lewicowego prezydenta Luli da Silvy, którego największym przeciwnikiem politycznym pozostaje właśnie konserwatysta Bolsonaro.

Ten ostatni twierdzi, że jest niewinny, a oskarżenie go o rzekomy zamach stanu to w rzeczywistości próba zlikwidowania prawicowej opozycji metodami policyjnymi. Władze użyły w tym celu aresztu wydobywczego. Zastosowano go wobec jednego z byłych współpracowników Bolsonaro, Maura Cida. Gdyby udało się obciążyć zarzutami byłego prezydenta, groziłaby mu kara 43 lat więzienia. Już teraz sąd zabronił mu udziału w najbliższych wyborach w 2026 r.

Obrona Bolsonaro odrzuciła oskarżenia jako fałszywe. Jako dowód przedstawiła nagrania, na których Cid przyznaje, że policja wywierała na niego naciski, aby sfabrykował dowody przeciw swojemu byłemu szefowi. Sam Bolsonaro wyraził oburzenie postępowaniem prokuratury, porównując Brazylię do Kuby, Wenezueli i Nikaragui.

Z kolei urzędujący prezydent Lula da Silva nie krył radości z powodu oskarżenia swojego rywala. Stwierdził, że nie ma wątpliwości, iż proces jego konkurenta zakończy się wyrokiem skazującym. Ta reakcja nie może dziwić. Ostatnie sondaże pokazują bowiem, że Lula może liczyć na poparcie 33,8 proc. wyborców, a jego prawicowy kontrkandydat na 36 proc.

Czy lewicy uda się zniszczyć konserwatywną opozycję? Być może w sukurs prześladowanej prawicy przyjdą Amerykanie. Sędzia Alexandre de Moraes naraził się im, gdy jeszcze przed wyborami w USA kazał zamknąć w całej Brazylii portal społecznościowy X należący do Elona Muska. Obecnie wspomniany sędzia został pozwany o naruszenie wolności słowa przez firmę Trump Media & Technology Group, właściciela serwisu społecznościowego Truth założonego w 2021 r. przez Donalda Trumpa. Szykuje się więc ciężka batalia.

Grzegorz Górny

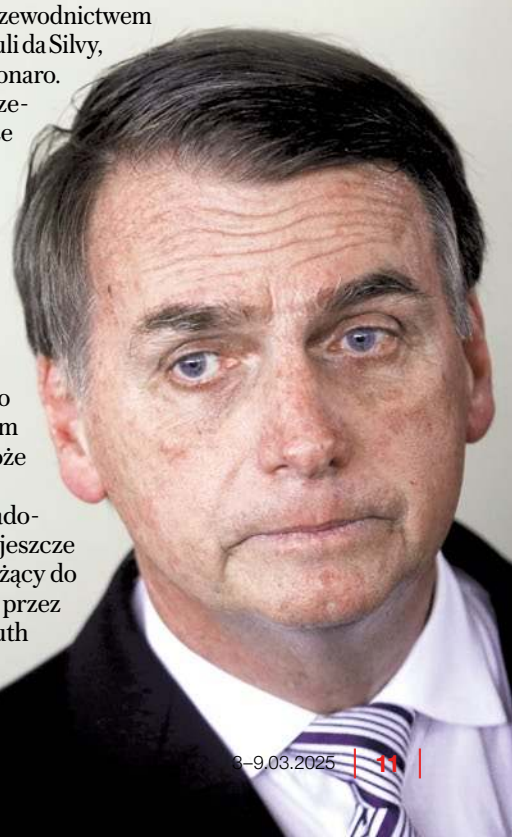

Fot. Focus Pix/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fb6a2

WIEŻA BAB

MEN łamie prawo?

Podstawa programowa edukacji zdrowotnej pomija wskazane w ustawie treści dotyczące zasad świadomego i odpowiedzialnego rodzicielstwa

O tym, że Ministerstwo Edukacji Narodowej planuje zastąpić wychowanie do życia w rodzinie (WDŻ) nowym przedmiotem – edukacją zdrowotną pisałam już wielokrotnie. Jednak niedawno MEN opublikowało projekt rozporządzenia, zgodnie z którym edukacja zdrowotna ma zastąpić WDŻ. W projekcie podano delegację ustawową nowego przedmiotu oraz zapisy likwidujące przedmiot wychowanie do życia w rodzinie.

Z rozporządzenia wynika, że nowy przedmiot ma realizować zapisy ustawy z 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Jednak eksperci zauważają, że założenia nowego przedmiotu stoją w sprzeczności ze wskazaną ustawą, a to znaczy, że MEN łamie prawo – zaproponowana podstawa programowa edukacji zdrowotnej nie tylko nie spełnia wymagań ustawowych, ale wręcz im zaprzecza!

Zdaniem Hanny Dobrowolskiej, ekspertki oświatowego Ruchu Ochrony Szkoły i koordynator KROPS, wskazanie przez MEN na wspomnianą ustawę to cyniczna mistyfikacja prawna, zapisy tej ustawy zobowiązują bowiem ministra edukacji do wprowadzenia do programów nauczania szkolnego „wiedzy o życiu seksualnym człowieka, o zasadach świadomego i odpowiedzialnego rodzicielstwa, wartości rodziny, życia w fazie prenatalnej oraz metodach i środkach świadomej prokreacji". Tymczasem analiza podstaw programowych edukacji zdrowotnej pozwala stwierdzić, że w istocie jest to przedmiot antyrodzinny, antyrodzicielski i antyprokreacyjny, a także antyzdrowotny, demoralizujący i deprawujący. W ocenie Dobrowolskiej powołanie się minister Barbary Nowackiej na ustawę, która ma chronić rodzinę i małżeństwo, gdy żaden z definiowanych w podstawie programowej celów kształcenia nie odpowiada żadnemu z celów delegacji ustawowej, jest naruszeniem prawa.

Podstawa programowa wychowania zdrowotnego pomija wskazane w ustawie treści dotyczące zasad świadomego i odpowiedzialnego rodzicielstwa. Zamiast podkreślenia wartości rodziny, uczeń klasy IV szkoły podstawowej dowiaduje się, że może być ona źródłem opresji, tak jak pojawienie się rodzeństwa, słowo „ojcostwo" w ogóle się nie pojawia, a słowo „macierzyństwo" tylko w kontekście urlopu zdrowotnego, tematyka życia seksualnego człowieka w projektowanej podstawie jest ukierunkowana głównie na sferę fizyczną.

Dlatego zdaniem Dobrowolskiej MEN posługuje się fałszem prawnym, który próbuje ukryć prawdę o przedmiocie edukacja zdrowotna, nie realizuje on bowiem ustawy, a wręcz jest z nią sprzeczny.

Według radcy prawnego Marka Puzia, starszego analityka Instytutu na Rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, koordynatora KROPS, wprowadzenie do systemu oświaty edukacji zdrowotnej z jednoczesnym usunięciem zajęć z wychowania do życia w rodzinie stoi w jawnej sprzeczności, na którą wskazuje MEN, a która w art. 4 zobowiązuje do tego, aby do szkolnych programów nauczania wprowadzić treści dotyczące m.in. wartości rodziny i życia. Co więcej, prawo oświatowe w art. 1 stanowi, że szkoła ma obowiązek wspomagać wychowawczą funkcję rodziny.

Wraz z usunięciem treści obecnych w ramach WDŻ rodzice zostaną pozbawieni możliwości zapewnienia swoim dzieciom w szkołach takiego wychowania w sferze seksualności, jakie jest osadzone w kontekście małżeństwa, rodziny, rodzicielstwa, czyli tych wartości, które są chronione w art. 18 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Zdaniem Marka Puzia edukacja zdrowotna wprowadza permisywny model edukacji seksualnej, zachęca do czerpania przyjemności z własnej seksualności już od najmłodszych lat. Już na poziomie klas IV–VI szkoły podstawowej mówi się uczniom o zachowaniach autoseksualnych jako o normie medycznej, uczniowie klas VII–VIII uczą się o świadomej zgodzie, ale także omawiają elementy świadomego i dojrzałego przygotowania się do podjęcia aktywności seksualnej.

Ale skoro premier Donald Tusk zapowiadał, że politycy rządzącej koalicji będą przestrzegać prawa tak, jak je rozumieją, to trudno się dziwić, że robi to także minister Barbara Nowacka. Szkoda tylko dzieci.

Dorota Łosiewicz

Z azjatyckiej perspektywy

Marta Kaczyńska-Zielińska

Europa była światowym liderem w produkcji samochodów. Chiny niedawno zaczęły podbijać rynek Starego Kontynentu. W latach 2021–2023 chińskie dostawy pojazdów elektrycznych do Europy wzrosły o 361 proc. Dzięki wsparciu państwowymi dotacjami chińskie firmy samochodowe mogą kontrolować rynek krajowy, ograniczać konkurencję zewnętrzną i zalewać rynki globalne tanimi pojazdami, eliminując konkurencję. Takie praktyki można uznać za naruszające zasady wolnego rynku. Zamiast pozwolić decydować nabywcom, które pojazdy elektryczne są najlepsze, ceny chińskich pojazdów są sztucznie zaniżane, aby zdominować światowy rynek. Chińska produkcja może doprowadzić do załamania branży, o czym przekonują się już europejscy producenci samochodów.

Początkowo Pekin odnosił również sukcesy w zachęcaniu europejskich rządów do korzystania z produktów telekomunikacyjnych, takich jak infrastruktura 5G, od chińskich firm. Europejczycy zdawali się ignorować ryzyko związane z przekazaniem Chinom dostępu do infrastruktury krytycznej, podobnie jak w przypadku strategicznego błędu w postaci uzależnienia energetycznego od Rosji. Powodem, dla którego wiele krajów europejskich początkowo wybrało chińskie firmy do budowy sieci 5G, były niskie ceny. Po latach ostrzeżeń ze strony USA wiele europejskich krajów zakazało działalności chińskich firm telekomunikacyjnych lub ją ograniczyło.

Pekin zyskuje jednak w ostatnim czasie przede wszystkim za sprawą produkcji paneli fotowoltaicznych i elementów turbin wiatrowych niezbędnych do wdrażania wymogów unicestwiającego europejską gospodarkę Zielonego Ładu. Nie jest również tajemnicą, że za przyzwoleniem UE, która stworzyła odpowiednie ramy prawne, wielu chińskich inwestorów z powodzeniem spekuluje uprawnieniami do emisji, czyli ETS. Jak wiemy, te ostatnie są zaś odpowiedzialne za ogromne podwyżki cen prądu i gazu, które niszczą konkurencyjność europejskich przedsiębiorstw i zwiększają koszty życia obywateli UE.

Chiny to także ogromne zasoby metali ziem rzadkich pozyskiwanych zarówno w Azji, jak i w coraz większym stopniu zdominowanej przez ChRL państwach afrykańskich. W tej sytuacji tym bardziej cieszy informacja o porozumieniu USA i Ukrainy w sprawie pozyskiwania tytanu, litu, uranu, grafitu i metali ziem rzadkich, co przede wszystkim stanowi gwarancję dla jej bezpieczeństwa, a także nie pozostanie bez wpływu na konkurencję w zakresie nowoczesnych technologii.

Relacje Chin i Rosji nie są formalnym sojuszem, kraje te nie zawarły wzajemnego zobowiązania obronnego, ale rosyjski prezydent Władimir Putin opisuje obecnie stosunki chińsko-rosyjskie jako „najwyższy punkt w historii", a sekretarz generalny KPCh Xi Jinping określił go jako swojego „najlepszego przyjaciela". Inwazja Rosji na Ukrainę zmieniła też relacje między Moskwą a Pjongjangiem. Wizyta Kim Dzong Una we wrześniu 2023 r. w Rosji i spotkanie na szczycie z Putinem były przełomem w stosunkach dwustronnych i potwierdziły zacieśniającą się współpracę wojskową między tymi krajami.

Obserwując współpracę Rosji, Chin i Korei Północnej, państwa Europy powinny wzmacniać swoje zdolności militarne, a także czynić starania na rzecz zmniejszenia swojej zależności energetycznej i finansowej od Rosji oraz Chin, aby zminimalizować zdolność każdego z nich do przymuszania i zastraszania swoich partnerów handlowych. Do niedawna najpotężniejszą gospodarką UE i jednym z najlepiej rozwiniętych państw świata były Niemcy, które wskutek samobójczej polityki rządów SPD oraz CDU-CSU doprowadziły swoją gospodarkę do uzależnienia od rosyjskiego gazu i kryzysu, przegrały konkurencję z Chinami, a jako państwo w istocie zarządzające UE wpłynęło na osłabienie całego kontynentu. Ostatnie wybory wygrało CDU – specjaliści od Nord Streamów, masowej migracji, ETS i dystansowania się od USA. Drugie miejsce zajęła AfD, trzecie SPD kanclerza Scholza, a niegdyś prorosyjskiego Schrödera. W tej sytuacji jeśli Polska chce przetrwać, potrzebuje władzy, która zadba o podmiotowość jej obywateli i ich bezpieczeństwo oraz nie da się wciągnąć w proces przekształcenia UE w superpaństwo pod przywództwem Niemiec.

REKLAMA

09/0225/F

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Walizka Dariusza Sierheja

boksera, założyciela Fundacji Armageddon Challenge i Bronimy Polskiej Granicy, aktora

Moja podróż przez życie to ciągły bieg, stąd nazwa mojego konta na Instagramie: @life_in_run. Bardzo wcześnie zacząłem ciężko pracować, a także zarabiać duże pieniądze. Moja firma tynkarska była w Polsce w pierwszej trójce, ale tempo pracy i rozrywkowe nocne życie odbiło się na moim zdrowiu do tego stopnia, że postanowiłem wszystko zmienić. Teraz położyłem nacisk na sport. Zaczęło się od crossfitu, potem był boks, kick-boxing i MMA. Równolegle jeden z wywiadów telewizyjnych zaowocował epizodem na planie filmowym, kolejne role pojawiały się już z polecenia. O ile w budowlance zacząłem jako młody człowiek, o tyle trenowanie sportów walk rozpocząłem późno, ale i tak półki w domu zaczęły się zapełniać medalami i pucharami. Do wyjazdów na plany filmowe oraz turnieje sportowe doszły wyprawy na wschodnią granicę w celu wspierania żołnierzy naszej Straży Granicznej raz w tygodniu. Są to kilkudniowe wypady, które angażują wielu wspaniałych polskich patriotów, poważnie utrudniając przemyt ludzi o nieznanych intencjach i działania aktywistów mylących empatię z sabotażem bezpieczeństwa Polski. Do nie mniej ważnych podróży zaliczam te, które są związane z moją wiarą w Boga. W zeszłym roku byłem w słynącym z cudów Medziugorie. Zjechałem też całą Francję, odwiedzając miejsca objawień maryjnych. W tym roku spędziłem miesiąc w Meksyku na zaproszenie mistyczki Marii Guadalupe. Wybieram się jeszcze do Kazachstanu – w 1941 r. w Oziornoje, w czasach, gdy śmierć głodowa zaglądała polskim zesłańcom w oczy, w środku stepu pojawiło się jezioro pełne ryb. Na przyszły rok z kolei mam zaplanowaną pielgrzymkę na górę Gargano, ważnego ośrodka kultu św. Michała Archanioła.

BRONIMY POLSKIEJ GRANICY

Pewnego dnia podczas modlitwy poprosiłem Boga o zadanie, misję, cel w życiu. Po dziewięciu miesiącach w nocy przyszła do mnie idea „Bronimy Polskiej Granicy". Pod tym hasłem założyłem grupę na Facebooku i tydzień później miałem już na tym koncie 20 tys. grupowiczów. Oczywiście pojawiło się mnóstwo pytań, zgłoszeń do współpracy, propozycji wsparcia projektu.

RĘKAWICE I OCHRANIACZE

Ponieważ kilka razy w roku biorę udział w profesjonalnych walkach, trenuję codziennie. Zawsze zabieram ze sobą rękawice do boksu i walk MMA oraz ochraniacze. Trenuję w trzech klubach: Akademii Boksu Landowski, Szkole Walki Ząbki oraz Dzikim Wchodzie Biała Podlaska.

Fot. Andrzej Wiktor, materiały prasowe Dariusza Sierheja

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

„ŻYCIE ALBO ŚMIERĆ... OTO JEST PYTANIE!"

Tę książeczkę znalazłem przed kościołem przy ul. Domaniewskiej. Chciałem ją zostawić na ławce, ale wtedy usłyszałem głos z serca: „Ta książka jest dla ciebie". Ujrzałem bardzo wysokiego mężczyznę, który mijając mnie, uśmiechnął się. Gdy się odwróciłem za nim, nikogo nie było.

„POKÓJ TOBIE, POLSKO! OJCZYZNO MOJA!"

Tak brzmiało hasło pielgrzymki, którą św. Jan Paweł II odbył 16–23 czerwca 1983 r. To też tytuł książki, którą znalazłem na śmietniku. Zawiera ona homilie i przemówienia papieża w czasie drugiej apostolskiej pielgrzymki do Polski.

POMNIK ŚP. MATEUSZA SITKA

W czerwcu przy wschodniej granicy wraz z darczyńcami organizuję odsłonięcie pomnika poświęconego pamięci szer. Mateusza Sitka, żołnierza z 1. Warszawskiej Brygady Pancernej, który został zabity przez migranta znajdującego się po drugiej stronie zapory na polsko-białoruskiej granicy.

LORNETKA NOKTOWIZYJNA

Bezcenna, zwłaszcza podczas przygranicznych patroli. Nie tylko pozwala na widzenie w dzień i w nocy, lecz także rozpoznaje źródło ciepła m.in. sylwetek ludzi, którzy nielegalnie przekraczają granicę Polski oraz tych, którzy nielegalnie im w tym pomagają. Z nieoficjalnych źródeł wiemy, że na marzec szykuje się grupa kilkudziesięciu tysięcy nielegalnych migrantów chcących odwiedzić nasz kraj. Z pewnością nie są to lekarze, inżynierowie ani informatycy.

MARIA GUADALUPE

Tę niesamowitą mistyczkę poznałem dokładnie rok temu, gdy podczas wizyty w Polsce dawała świadectwo w Agere Contra, warszawskiej kawiarni z wartościami. Maria Guadalupe to świetnie wykształcona prawniczka, która pracowała dla meksykańskiego federalnego rządu. Z powodu nieprawidłowości w pracy zrezygnowała z intratnego stanowiska, spotkała Matkę Boską i zaczęła dla niej pracować.

RÓŻANIEC

To moja broń duchowa i odmawiam go bardzo często.

MĘSKI MODLITEWNIK

Codziennie czytam modlitewnik, który powstał z myślą o mężczyznach. Każdy widzi, że współczesny świat ich nie wspiera, zwłaszcza rozwoju męskiej duszy. Dlatego powstała wyjątkowa pozycja napisana przez ojców i księży z różnych zgromadzeń zakonnych promująca braterstwo, jedność, rozwój personalny i budowanie relacji z Bogiem Ojcem. Zawarte w niej 365 modlitw pozwala mi spokojnie zacząć i zakończyć każdy dzień.

PLAN FILMOWY

Granie w teledyskach, filmach i serialach traktuję jako czyste hobby. Brałem udział m.in. w „Policjantkach i policjantach", „Kryminalnych", „Lombardzie – życie pod zastaw", „Jak zostałem gangsterem", „Pętli", „Dziewczynach z Dubaju", „Pitbullu".

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Rada niebezpieczeństwa narodowego

Jan Pietrzak

Luty, powiedzmy sobie szczerze, na ogół jest traktowany jako miesiąc niedorobiony, krótszy, więc gorszy. Poprzedzający go w kalendarzu styczeń jest w polskiej historii symbolem heroizmu. Powstanie styczniowe, militarnie przegrane, nie pozwoliło narodowi przez następne pół wieku zapomnieć, kim jesteśmy i jakie są nasze obowiązki wobec Boga i ojczyzny. Kiedy w 1914 r. nadeszła wojna światowa, naród polski sięgnął po swoje, po niepodległość, i zwyciężył. Pokonaliśmy trzy zaborcze imperia. Zwracam uwagę, że słowa „zwycięstwo" nie ma w podręcznikach – ponieważ nasze podręczniki piszą okupanci. Od tamtej pory mieliśmy tragiczną II wojnę światową, okupację sowiecką, ponownie odzyskaliśmy niepodległość, ale w dalszym ciągu nie jesteśmy suwerenni.

Teraz realną władzę sprawują tu Niemcy pod szyldem Unii Europejskiej. To oni decydują, że obok sanktuarium Matki Bożej w Gietrzwałdzie powstaje spalarnia niemieckich śmieci. Że nie może u nas powstać CPK, bo lotnisko „mamy" w Berlinie. Że musimy zamykać kopalnie węgla, bo prąd mają nam robić wiatraki Siemensa. Że ceny prądu muszą być najwyższe w Europe, aby produkcja czegokolwiek w Polsce nie była opłacalna. Że w rolnictwie nastąpi powrót do cepów i kłonic. Że w muzeach nie można ujawniać prawdy o mordercach i złodziejach łupiących nasz kraj od wieków. Że polskie dzieci nie powinny się długo uczyć, bo Bismarck zabronił. Że musimy przyjmować zza Odry nieszczęsnych, wyrzucanych ludzi, którzy nie sprawdzają się jako tania siła robocza w Zagłębiu Ruhry. Że Odra nie może być wykorzystywana przez Polaków, bo Brandenburgia sobie tego nie życzy. Że zakłady RAFAKO mają zniknąć, potężny koncern Azoty także, przebojowy ORLEN – zostać rozczłonkowany... itd, itp.

Wracając do lutego, tak się porobiło, że wiele geopolitycznych zdarzeń komasuje się właśnie teraz. Aktywność prezydenta Trumpa i związane z nią liczne konferencje, w tym ważne przygotowania do rozejmu na Ukrainie. A także niemieckie wybory odmieniające sytuację, oby na lepsze! Wreszcie codzienne napięcia wynikające z prezydenckiej kampanii u nas sprawiają, że luty br. okazał się mocno intensywnym miesiącem.

Na takie okazje przewidziane jest zwołanie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. No i mamy pułapkę. W obecnej sytuacji w obradach uczestniczą bardzo niebezpieczni dla Polski ludzie. Aktywni twórcy bezprawia, łamiący paragrafy, dobre obyczaje, elementarną przyzwoitość. W żaden sposób niedbający o polski interes narodowy, wręcz nienawidzący polskości. Czy ma sens narada o bezpieczeństwie z kimś, kto usilnie niszczy nasze bezpieczeństwo? Podrzucam ten problem do przemyślenia w podgrupach...

Łapanka

Samuel Pereira

Nieważne, że za poprzedniej władzy system Pegasus był wykorzystywany przez służby zgodnie z prawem. Nieistotne, że sprzedaży nielegalnych wiz w takiej skali, jaką zarzucał obóz obecnej władzy, nie było. Kto jest winny temu, że wybory 10 maja 2020 r. się nie obyły? Fakty i wypowiedzi jasno wskazują, że zgodnie z łacińską sentencją *is fecit, cui prodest*, odpowiadają za to ci, którzy na tym skorzystali (wymieniając kandydatkę Małgorzatę Kidawę-Błońską na kandydata Rafała Trzaskowskiego), ale to też nieważne. Liczy się polowanie na Prawo i Sprawiedliwość – wbrew logice, faktom i zdrowemu rozsądkowi.

Już dawno nie chodzi o żadne prawo (chyba że „takie, jak my je rozumiemy", czyli bezprawie uświęcane jedynie słusznym celem) i żadną sprawiedliwość, ale zwykłą zemstę. „Dajcie mi po wyborach 400 dni. Zrobię porządek żelazną miotłą" – deklarował przed wyborami Donald Tusk i to jedyna (oprócz siłowego przejęcia każdej instytucji, którą się dało) obietnica, którą potraktował poważnie. Rozliczenia i osobiste obsesje od ponad roku wygrywają z dobrem obywateli i interesem państwa rozwalanego z dnia na dzień ku uciesze autokracji spod znaku „demokracji walczącej".

Dziś widzimy, że hasła o demokracji i praworządności były jedynie fasadą dla autorytarnych zapędów, oszustwem wyborczym, za którym krył się plan zdobycia władzy dla samej władzy, stanowisk i pieniędzy oraz anihilacji opozycji, a słynna „żelazna miotła" w rękach Donalda Tuska w żaden sposób nie służy naprawie państwa, lecz jego demontażowi.

Nie ma już znaczenia, że służby pod rządami PiS działały w granicach prawa i pod kontrolą odpowiednich instytucji. Nieistotne, że tzw. afera wizowa, z wielką gorliwością rozdmuchiwana przez protuskowe media, okazała się bańką mydlaną, której skala nie dorasta do narracji budowanej przez obecnych decydentów. Fakty, dokumenty i wypowiedzi ekspertów to dziś balast przeszkadzający w budowaniu alternatywnej rzeczywistości. Rzeczywistości, w której winny zawsze jest ten sam: Prawo i Sprawiedliwość. Łapanka trwa i ma trwać, bo gdy brakuje chleba, to niech będą chociaż igrzyska.

Fot. Karina Szymczuk/TVP

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Atrapa prezydenta w teatrzyku dla naiwnych

Bycie prezydentem to nie tylko kwestia stanowiska. To przede wszystkim format – coś, czego nie da się zadekretować scenografią, nie da się przykleić jak plakat propagandowy. A jednak Trzaskowski niczym kiepski aktor w amatorskim teatrze wciąż próbuje nam wmówić, że jest gotowy do prezydentury. Najlepszym przykładem była jego groteskowa próba zorganizowania czegoś na wzór Rady Bezpieczeństwa Narodowego – a do tego kompetencje ma jedynie urzędująca głowa państwa. Ogromna scena, piękne powitanie, symbolika narodowa na pokaz i oczywiście Rafał w roli męża stanu. Problem w tym, że widownia szybko się zorientowała, że to tylko tandetna inscenizacja, farsa w stylu wschodnich satrapii, bardziej przypominająca widowiska Łukaszenki niż poważną debatę o bezpieczeństwie Polski.

Ale co poradzić? W sztabie Trzaskowskiego wyraźnie brakuje pomysłu na to, jak uczynić z niego polityka o prawdziwej prezydenckiej randze. Wysyłają go więc na wiejskie festyny, spotkania z Kołami Gospodyń Wiejskich, gdzie nasz wielkomiejski Rafałek porusza się jak zagubiony turysta. Gołym okiem widać, że zamiast być ze zwykłymi Polakami, wolałby spędzić wieczór w modnym klubie w Berlinie, najlepiej LGBT+ friendly. Ale cóż – sztab każe, Rafał wykonuje. Zaciska zęby, nosi nieswoje buty i odgrywa rolę, w której czuje się równie swobodnie, co karp na Wigilii.

Cały ten spektakl nie jest jednak tylko anegdotą. To symbol głębszego problemu – sztuczności, braku autentyczności i wykreowanej na potrzeby mediów postaci, która ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Trzaskowski marzy o fotelu prezydenckim, ale nie rozumie, że Polacy nie chcą kogoś, kto odgrywa rolę, tylko kogoś, kto reprezentuje ich wartości i ma realne kompetencje. Wierzę, że Polacy nie chcą Rafałka, który myśli, że rola prezydenta to tylko pilnowanie żyrandola, jak powiedział kiedyś jego szef Donald Tusk.

W walce o prezydenturę w Polsce są ludzie, którzy nie muszą udawać swojej misji – jak choćby Karol Nawrocki, człowiek z krwi i kości, dla którego patriotyzm to nie pusty slogan, a codzienna praca. W przeciwieństwie do Trzaskowskiego nie urządza teatrzyków, lecz przywraca Polakom prawdę historyczną i dba o to, byśmy nie zapomnieli, kim jesteśmy. Takich liderów nam potrzeba – prawdziwych, a nie teatralnych wydmuszek na pokaz.

Arkadiusz Mularczyk

Naturalny punkt odniesienia

Z aktorem Piotrem Garlickim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Który zwrot częściej pan słyszy od nieznajomych: „Panie Piotrze" czy „Doktorze Tretterze"?

Piotr Garlicki: Na ulicy zdecydowanie to drugie.

Co chyba nie dziwi, skoro z serialem „Na dobre i na złe" jest pan związany od...

...24 lat. Przyszedłem w drugim sezonie. Plan był wtedy w Nadarzynie. To tam działał serialowy szpital.

Jak go pan zapamiętał?

Byłem w lekkim szoku, ponieważ ta Leśna Góra trafiła do mnie krótko po powrocie ze Stanów, gdzie spędziłem 15 lat. W polskiej telewizji było wtedy do oglądania właściwie tylko „Na dobre i na złe". Bezapelacyjnie na pierwszym miejscu. I w jakości realizacji, i oglądalności.

Jak pan odebrał ten serial z perspektywy pobytu w Stanach?

Był fantastyczny i absolutnie porównywalny z tym, co proponowały zachodnie seriale. Robiony bardzo nowocześnie, bardzo sprawnie. Pracowali przy nim młodzi ludzie – od reżyserów przez aktorów po pion techniczny. Czuło się tę młodą energię.

Na ile obecnemu serialowi udało się zachować dawny koncept, a na ile to już całkiem nowa opowieść?

Wszystko ewoluuje i ten serial też. Rynek jest twardy i jeżeli ktoś lub coś się nie rozwija, może stracić dawną pozycję. Nasz serial też się oczywiście zmienia.

Pański bohater wydaje się w tej zmienności pozytywnie niezmienny.

Nie przesadzałbym w pozycjonowaniu tej postaci. Stał się po prostu naturalnym punktem odniesienia, ponieważ jest najdłużej.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Zaufanie

Według Słownika Języka Polskiego PWN zaufanie to przekonanie, że: 1. jakiejś osobie lub instytucji można ufać, 2. czyjeś słowa, informacje itp. są prawdziwe, 3. ktoś posiada jakieś umiejętności i potrafi je odpowiednio wykorzystać.

Określenie „zawód zaufania publicznego" w potocznym znaczeniu oznacza profesję, która ze względu na swą wyjątkowość cieszy się szczególnym szacunkiem społeczeństwa. Jej przedstawiciele powinni cechować się ponadprzeciętnymi walorami moralnymi. Oczekuje się także, że wszelkie sprzeniewierzenia tej elitarnej grupy ludzi należy karać znacznie surowiej. Bo lekarz, nauczyciel, policjant, strażak, sędzia, osoba duchowna czy człowiek sprawujący władzę muszą być jak żona Cezara – wolni od wszelkich podejrzeń. Dlatego w II RP za przestępstwo korupcyjne urzędnik państwowy skazywany był na śmierć przez rozstrzelanie.

W III RP głośnym echem odbił się proces tzw. łowców skór. Przypominam: personel karetek (karawanów?) pogotowia dobijał chorych Pavulonem, dostarczając świeże zwłoki zaprzyjaźnionym zakładom pogrzebowym. Ludzie, którym powierzamy własne dzieci – ksiądz, nauczyciel, instruktor harcerski czy trener sportowy – powinni być świadomi nadzwyczajnych konsekwencji za przestępstwo pedofilii. Tak samo jak policjant, sędzia czy burmistrz współpracujący z mafią.

W USA ruszają właśnie pierwsze procesy przeciwko big pharmie – za szczepionkowy deal.

A co u nas? Art. 17 ust. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej wprowadza pojęcie „zawodu zaufania publicznego". To 19 profesji związanych z medycyną, prawem i budownictwem: adwokat, architekt, biegły rewident, diagnosta laboratoryjny, doradca podatkowy, farmaceuta, fizjoterapeuta, inżynier budownictwa, komornik sądowy, lekarz, lekarz dentysta, lekarz weterynarii, notariusz, pielęgniarka, położna, psycholog, radca prawny, ratownik medyczny i rzecznik patentowy. Nie ma wśród nich sędziów, urzędników państwowych, służb mundurowych, nauczycieli...

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00) PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, @SLAWOMIRMENTZENX.COM, SHUTTERSTOCK/NEW AFRICA, MAŹUR TRAVEL, KOSTENKO MAXIM, MARIAN WEYO

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Autopromocja

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

wPolsce 24

WESPRZYJ patriotyczne media

Zbieramy na zestaw oświetlenia studyjnego!

CEL: 640 000 zł

Dziękujemy

NUMER KONTA:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

TYTUŁ WPŁATY:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Na spotkaniu z kandydatem KO w hali sportowej w podwarszawskim Błoniu wyborcy nie dopisali

Uciekinier

Rafał Trzaskowski wciąż ucieka. Przed własnymi poglądami schowanymi na czas kampanii. Przed obowiązkami w Warszawie. Przed dziennikarzami, którzy mogą zadać trudniejsze pytanie. Najbardziej jednak nie wychodzi mu ucieczka przed Karolem Nawrockim. Sondaże wiceszefa PO stanęły, a wszystkie tendencje są dlań niekorzystne

MAREK PYZA

Operacja „Trzaskowski 2025" jest uszyta na jednym wielkim kłamstwie. Trzyma ją jeszcze wyłącznie kordon medialny. Ale nawet on może nie wystarczyć, bo ta kampania jest słaba, niewiarygodna, pozbawiona energii, a i sam kandydat kiepsko się czuje w niepasującym do niego kostiumie.

Sceny z mazowieckiego Błonia tylko pogłębiają ten obraz. Pełnowymiarowa hala sportowa Centrum Sportu i Rekreacji na samych trybunach może pomieścić 500 osób. Pewnie drugie tyle – lekko licząc – na krzesłach rozstawionych na parkiecie. Dlaczego właśnie tam zorganizowano spotkanie z kandydatem, choć nie zapewniono odpowiedniej liczby widzów? Ewidentny błąd sztabu. Nie pomogło optyczne zmniejszenie obiektu poprzez odgrodzenie jego jednej trzeciej kotarą.

Ratowano się więc nieudolnym PR. Poseł Kinga Gajewska (mieszka w Błoniu, a może raczej: ma tam dom – ten słynny obiekt o wartości ledwie o 50 tys. zł przekraczającej legendarny już szalet w warszawskim parku Skaryszewskim) pękała z dumy: „Spotkanie z @trzaskowski w Błoniu. Ogromne zainteresowanie, dokładamy krzesła", co wzbudziło jedynie gromki śmiech, bo na sali widać było najwyżej 200 osób, puste trybuny i mnóstwo wolnej przestrzeni. „Prawie się zadeptali". „Tej siły nikt nie pokona". „Trzeba będzie stawiać zarzuty mieszkańcom, którzy nie przychodzą na spotkania Rafałka. Błonie wczoraj, obecna tylko rodzina Myrchów i sąsiedzi" – ironizowano w mediach społecznościowych.

Prawda jest taka, że problemu z zapełnianiem hal nie mają w tej kampanii tylko dwaj kandydaci: Karol Nawrocki i Sławomir Mentzen. Na ich spotkaniach sale rzeczywiście pękają w szwach, ludzie tłoczą się przy wejściach, bo zwykle brakuje miejsc (a nie mówimy o małych obiektach), wielu musi pozostać na zewnątrz. Dlatego przedstawiciel Konfederacji już wychodzi na spotkania w plenerze. Nawrocki właśnie zaczyna ten etap, w ostatnich tygodniach było widać, jakie jest na to zapotrzebowanie – każda konferencja prasowa prezesa IPN gromadziła nie tylko przedstawicieli mediów, lecz

Fot. Adam Burakowski/East News

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

także mnóstwo lokalnych mieszkańców wspierających jego kandydaturę.

Wiosną pod chmurkę będzie musiał się udać również Rafał Trzaskowski, dlatego on i jego sztab woleliby, aby zima dała jeszcze o sobie znać.

ZAPĘDY CENZORSKIE

Spotkania w zamkniętych halach dają wiceszefowi Platformy ten luksus, że może w nich stosować zwyczajną cenzurę. Za taką należy bowiem uznać niewpuszczanie na otwarte spotkania dziennikarzy, którzy mają czelność nie bić pokłonów prezydentowi Warszawy.

Reporterzy telewizji wPolsce24 od wielu tygodni są zatrzymywani przez współpracowników i ochronę Trzaskowskiego. Naruszane jest w ten sposób parę przepisów – od prawa prasowego po zwykłe wolności obywatelskie. Chodzi wszak o – podkreślmy – otwarte spotkania z kandydatem do głównego urzędu w kraju.

Tylko na początku prezydenckiego wyścigu kamera wPolsce24 zwykle mogła towarzyszyć Trzaskowskiemu, choć najczęściej odmawiał on odpowiedzi na pytania reporterów tej stacji. Rafał Jarząbek wspomina ten etap kampanii: – Rafał Trzaskowski zawsze pojawia się w otoczeniu ochrony, wysportowanych silnych panów. Oni wiedzą, co mają robić, sytuacja jest zerojedynkowa. Chcesz podejść do kandydata, widzą, że masz mikrofon, legitymację dziennikarską, ale jesteś po prostu fizycznie odpychany. Tak samo to wyglądało w poprzedniej kampanii Trzaskowskiego. Wtedy nawet dostałem cios pięścią pod żebra od prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego. Teraz wiceszef PO osłania się wianuszkiem ochroniarzy, którzy przepychają cię, wsadzą łokieć, gdzie trzeba, a gdy ich pytasz, kim są, odpowiadają wymowną ciszą albo twierdzą, że są postronnymi osobami chcącymi posłuchać pana prezydenta. To komiczne, bo widziałem ich na wielu spotkaniach w różnych częściach kraju, muszą więc być jego bardzo wiernymi fanami.

Maciej Zemła dwukrotnie miał trudności z dostępem do kandydata Koalicji Obywatelskiej, ostatnio w Łodzi: – Gdy nas nie wpuszczono, przeszliśmy się wokół budynku, w którym gościł pan Trzaskowski. Byliśmy bacznie obserwowani, zasłaniano kurtyny w oknach, abyśmy przypadkiem nic nie podejrzeli, choć nie mieliśmy takiego zamiaru. Miałem wrażenie, że na samą naszą obecność reagują wręcz alergicznie.

„Mam nadzieję, że jakaś refleksja dotycząca państwa zachowania będzie i wtedy będą państwo pełnoprawni" – mówił naszemu dziennikarzowi Patryk Jaskólski, młody poseł PO dzielnie wdrażający to nowatorskie tłumienie krytyki prasowej. Parlamentarzysta urodził się po upadku PRL, więc nie może tego pamiętać, ale powinien wiedzieć, że standardy demokracji walczącej, jakie stosuje dziś jego partia, są żywcem wzięte z czasów demokracji Jaruzelskiego i Urbana.

> Trzaskowski zawsze pojawia się w otoczeniu ochrony, wysportowanych silnych panów. Chcesz podejść do kandydata, widzą, że masz mikrofon, legitymację dziennikarską, ale jesteś po prostu fizycznie odpychany – mówi Rafał Jarząbek z telewizji wPolsce24

Kolejny z reporterów, Szymon Szereda, wylicza: – Płońsk, Ulhówek, Zambrów, Gostynin, Jarocin, Ostrzeszów, Ostrów Wielkopolski – jeśli niczego nie pominąłem, to we wszystkich tych miejscach nas nie wpuszczono albo wyrzucano ze spotkań z Rafałem Trzaskowskim.

Dziennikarz wPolsce24 zwraca uwagę na oburzające metody, po jakie sięgają współpracownicy kandydata KO. – Nie raz spotykałem się z chamskimi odzywkami. Gdy pytałem, dlaczego tak traktują dziennikarzy, ekipa pana Trzaskowskiego wprost odpowiadała, że nie widzi tu żadnych dziennikarzy. Grożono mi również pozwami cywilnymi za ewentualne publikowanie wizerunku któregoś z asystentów. A mówimy przecież o działaczach partyjnych albo innych osobach pracujących na zlecenie Trzaskowskiego i ostentacyjnie łamiących prawo prasowe. Oni wręcz fizycznie chronią swojego pryncypała kordonem, byśmy nawet nie mogli go sfilmować przechodzącego do samochodu.

Szereda dodaje, że stałym elementem zachowania zderzaków Trzaskowskiego jest wyciąganie telefonów i filmowanie z bliskiej odległości dziennikarzy i operatorów wPolsce24, podtykanie urządzeń pod nos, regularne utrudnianie wykonywania obowiązków zawodowych.

13 lutego w Ulhówku prowokacja wreszcie przyniosła oczekiwany efekt, operatorowi puściły nerwy. Gdy rejestrował wypowiedzi mieszkańców niewpuszczonych na spotkanie z Trzaskowskim, jeden ze współpracowników kandydata notorycznie przeszkadzał mu w pracy, wpychał obiektyw telefonu przed twarz, przy której ten trzymał kamerę, przepychał go, próbował uniemożliwić nagranie ludzi krytykujących Trzaskowskiego. Operator, mający obie ręce zajęte kamerą, splunął w telefon intruza.

Zachował się ze wszech miar niewłaściwie, zarząd spółki Fratria w specjalnym oświadczeniu wyraził brak akceptacji dla takiej postawy i poinformował o stosownym upomnieniu. Ale nie można abstrahować od przyczyny tego zdarzenia. Nie był to pierwszy raz, gdy dziennikarze wPolsce24 borykali się z chamstwem otoczenia Trzaskowskiego i jawnym przeszkadzaniem w pracy.

Dla sztabu prezydenta stolicy zachowanie operatora stało się pretekstem, by ogłosić zakaz wstępu dla przedstawicieli wPolsce24 na wszystkie wydarzenia z jego udziałem. To teatr, bo faktyczny zakaz obowiązywał już wcześniej, o czym przekonali się, również przed oficjalnym rozpoczęciem kampanii, m.in. wyżej wymienieni.

Najwięcej problemów z otoczeniem Trzaskowskiego miał Piotr Czyżewski. – Zrobiłem trochę kilometrów za

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

panem prezydentem, ale najczęściej na marne. Nie wpuszczono nas na około dziesięć spotkań, m.in. w Puńsku, Szczecinie, Wejherowie, Augustowie, Grudziądzu czy ostatnio w Błoniu. Kilkakrotnie wzywałem nawet policję, bo przecież współpracownicy pana Trzaskowskiego bezceremonialnie łamią prawo, uniemożliwiając nam wykonywanie pracy dziennikarskiej. W Wejherowie funkcjonariusze udawali chęć pomocy, weszli do budynku, przybili piątki z ochroną pana kandydata, wyszli i oznajmili, że nic nie mogą zrobić. W Grudziądzu natomiast siedzący w furgonetce policjant (prawdopodobnie zabezpieczający spotkanie), gdy prosiłem o pomoc, zasunął szybę, wykonał telefon, a za chwilę stwierdził, że jeśli mam życzenie, to mogę iść na komisariat albo do sądu, a on ma teraz interwencję. I odjechał.

PĄCZEK RAFAŁ

Większość spotkań, a nawet konferencji prasowych Rafała Trzaskowskiego odbywa się na terenie prywatnych firm. Młodzi współpracownicy kandydata regularnie zasłaniają się tym faktem, stosując jako wytrych do sankcjonowania łamania prawa prasowego.

Te brutalne metody nie były dotychczas znane w polskiej polityce. Nie stosował ich żaden kandydat w żadnej kampanii. Trzaskowski jest tu więc prekursorem.

To wszystko wynika z jednego: olbrzymiej słabości kandydata Donalda Tuska i powszechnej w sztabie świadomości tej słabości. Dlatego tak dbają o jak najbardziej sterylne (i nierówne) warunki prowadzenia wyborczej walki.

Nie wystarcza odebranie pieniędzy na kampanię głównemu oponentowi ani wianuszek mediów walących w rywala i głaszczących swego pupilka, konsekwentnie odwracających uwagę od spraw będących dla Trzaskowskiego obciążeniem – czyli fatalnych dla Polaków rządów Donalda Tuska, prawdziwych (czyli lewicowych) poglądów prezydenta Warszawy, haniebnych wypowiedzi i działań na rzecz ideologicznych szaleństw spod znaku eko czy gender.

Zamiast zmierzyć się z jakże naturalnymi pytaniami i udowodnić swoją przemianę w konserwatystę, Trzaskowski woli spotkać się z dziennikarzami mediów zagranicznych, byle tylko błysnąć umiejętnościami językowymi. Tam nikt go nie pytał o politykę migracyjną jego partii, postulaty środowisk LGBT+ czy organizacji C40. I zawsze tak ma być z żurnalistami!

Są redakcje, które można postawić za wzór. Ekipa portalu Gazeta.pl przebiła wszystko i wszystkich. Oni będą mieć dożywotni wstęp na spotkania z Trzaskowskim – w razie tłumów, ekhm... Kinga Gajewska dostawi im krzesło. W serwisie czytamy: „Rafał Trzaskowski kandyduje na urząd prezydenta, a jego kampania wyborcza prężnie działa. Nic dziwnego, że prezydent Warszawy jest na ustach całej Polski. Nina Cieślińska z Gazety.pl z okazji tłustego czwartku postanowiła zejść nieco z tonu i zadać politykom humorystyczne pytanie o to, jakim pączkiem według nich byłby Rafał Trzaskowski".

> Zamiast zmierzyć się z jakże naturalnymi pytaniami i udowodnić swoją przemianę w konserwatystę, Trzaskowski woli się spotkać z dziennikarzami mediów zagranicznych, byle tylko błysnąć umiejętnościami językowymi

Dalej mamy zrelacjonowane z finezją „Żołnierza Wolności" peregrynacje redaktor Cieślińskiej po sejmowych korytarzach i jej tępe szpilki wbijane w cytaty z posłów opozycji.

Można się obawiać, że przy Czerskiej na Wielki Post wymyślą poradnik „Schudnij jak Rafał Trzaskowski", a na majówkę zorganizują patriotyczne grillowanie z Trzaskowskim – za grill będzie służyła kratownica od czołgu Leopard.

ZABAWA W WOJSKO

Bo wszystkie myśli Trzaskowskiego krążą teraz wokół spraw bezpieczeństwa i armii. Chodzi wyprostowany niczym w mundurze, ściska prawice generałom, otacza się orłami, fotografuje w zakładach zbrojeniowych i bez przerwy mówi o budowaniu odporności na trudne czasy.

Gdzie się podział stary, dobry Rafał, który w Święto Wojska Polskiego, dokładnie w momencie defilady w stolicy, chwalił się... kupowaniem przetworów? „U dominikanów na Freta – Jarmark św. Jacka – mały, ale przytulny. Można poszperać w książkach, kupić dżem i porozmawiać z sąsiadami. Świetna alternatywa dla patetycznej atmosfery wielkiej defilady". To wpis z 15 sierpnia 2018 r. z godz. 12:53.

Tego Rafała już nie ma. Przedstawiciel elit czytający w oryginale francuskich filozofów schował się do 1 czerwca. Chwilowo jest inny – prenumerujący „Polskę Zbrojną", zaczytujący się w raportach amerykańskich konserwatywnych think tanków i analizujący inwestycje Pentagonu w marynarkę wojenną.

Ale to jego nagłe zainteresowanie militariami coraz częściej wypada karykaturalnie.

Jest oczywiste dla każdego, że obecny stan Wojska Polskiego – jego liczebność, sprzęt, wyszkolenie – to zasługa ośmioletnich rządów Prawa i Sprawiedliwości. Jednak Trzaskowski obdziela tym sukcesem wszystkie ekipy rządzące, puszczając tym samym w niepamięć likwidowanie jednostek wojskowych przez Bogdana Klicha, strategię obrony kraju na linii Wisły, sabotowanie budowy tarczy antyrakietowej, szydzenie z utworzenia Wojsk Obrony Terytorialnej, zakupów dokonywanych przez Mariusza Błaszczaka czy obrony granicy wschodniej.

Wróćmy do Błonia (to spotkanie staje się wręcz legendarne). Trzaskowski opowiadał tam o potędze polskiej armii: „Nie było w historii takiego momentu, żeby Polska miała większą armię niż ar-

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

mia brytyjska, armia francuska, armia niemiecka, pierwszy raz w historii! Naprawdę moment jest niezwykły!".

Po pierwsze, na oficjalnym profilu kandydata na X przymiotnik od armii naszego państwa napisano w tym cytacie małą literą (poprawnie), lecz te od wojsk Niemiec i Wielkiej Brytanii – już wielkimi (niepoprawnie i kompradorsko), co nie uszło uwadze tysięcy internautów.

Po drugie, teza zarządcy stolicy to oczywista nieprawda, bo w okresie II Rzeczypospolitej Wojsko Polskie było liczniejsze zarówno od Reichswehry, jak i armii brytyjskiej. Trzaskowski tego nie wie, bo kazano mu udawać eksperta w dziewiczym dla niego obszarze.

Chwilami bywa to nawet urocze, gdy jego głęboka ignorancja (słowo adekwatne wobec pretendenta do urzędu prezydenta, w przypadku zwykłego obywatela powiedzielibyśmy: niewiedza) wylewa się wraz z autentycznym dziecięcym zaciekawieniem. Tak było w przypadku wizyty wiceszefa PO w należącej do WB Electronics fabryce dronów. Musiały zrobić na nim wrażenie. „Supernowoczesne technologie obronne made in Poland? Dokładnie tak! Poznajcie WB Electronics. Polskie przedsiębiorstwo z siedzibą w Ożarowie Mazowieckim. Ta firma jest producentem bezzałogowych systemów powietrznych FlyEye czy Warmate. Polskie drony to sprawdzone w warunkach bojowych jedne z najbardziej zaawansowanych sprzętów w swojej klasie" – zachwycał się Trzaskowski.

> Reporter wPolsce24 Szymon Szereda wylicza: – Płońsk, Ulhówek, Zambrów, Gostynin, Jarocin, Ostrzeszów, Ostrów Wielkopolski – we wszystkich tych miejscach nas nie wpuszczono albo wyrzucano ze spotkań z Trzaskowskim

Być może to przekaz adresowany wyłącznie do laików, ale każdy cokolwiek wiedzący o polskich produktach wojskowych świetnie zna WB Electronics, bo FlyEye dobrze służą różnym służbom już od kilkunastu lat, a warmate'y zbliżają się do dekady. Teraz wie to również Rafał Trzaskowski.

Inna sprawa, że znów to PiS mocno przyłożyło rękę do obecnej kondycji WB Electronics, najpierw inwestując w firmę poprzez PFR w 2017 r. 128 mln zł, a później podpisując liczne wysokie kontrakty zbrojeniowe. Zaowocowało to gigantycznymi wzrostami przychodów spółki w 2023 r.

Jaki będzie następny sukces poprzedników, który Trzaskowski przypnie do własnej piersi?

POLACY MU UCIEKAJĄ

Czy te wszystkie kuglarstwa są chociaż skuteczne? Nie za bardzo. Zawsze dostarczający ciekawych analiz sondażowych Łukasz Pawłowski z Ogólnopolskiej Grupy Badawczej podzielił się ostatnio kilkoma wartymi uwagi spostrzeżeniami.

Po pierwsze, wolta Trzaskowskiego wcale nie przyniosła efektu w pozyskiwaniu prawicowego elektoratu. Na koniec stycznia spośród osób o takich poglądach ledwie 21,11 proc. wyrażało chęć głosowania na niego, co oznacza niemal ten sam poziom, co przed II turą w stołecznej kampanii (wtedy mógł liczyć na głosy 20,6 proc. prawicowców). Czy po lutym coś drgnie? Najnowsze dane będą znane lada dzień.

Po drugie, sondaże każdej z czterech największych pracowni badania opinii publicznej wskazują, że łączna suma poparcia wszystkich kandydatów rządzącej koalicji (czyli Rafała Trzaskowskiego, Szymona Hołowni, Magdaleny Biejat i dopisanego tu, a pozostającego poza koalicją rządową Adriana Zandberga) wynosi 45,5–48,9 proc. Czyli mniej niż w 2020 r., gdy było to 49 proc. Wyjątek stanowi pracownia IBRiS, ostatnio coraz częściej mająca zaskakująco dobre wieści dla obozu rządzącego. Ale jak nieco drwi Pawłowski, „IBRiS to już trochę jak CBOS, zawsze zawyża władzę".

Po trzecie, Polacy coraz mocniej skręcają w prawo. Według OGB w ciągu roku odsetek osób deklarujących się jako prawicowe wzrósł z 32 do 42 proc. Lewicujących znacznie zaś ubyło – z 22 proc. do 15 proc. Duża w tym zasługa kobiet – już 40 proc. określa się jako prawicowe (wzrost o 13 pkt. proc.), uważających się za lewicowe ubyło zaś o 9 pp. i dziś jest ich ledwie 18 proc.

Te badania pozwalają zrozumieć, dlaczego Trzaskowski tak bardzo próbuje zmienić swój wizerunek i sięga w kampanii po tak bezczelne metody. Wskazują też, że Polacy w trudnych czasach uciekają w prawo. I to ta ucieczka może się okazać kluczowa dla rozstrzygnięcia wyborów prezydenckich.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Spotkanie Donalda Tuska z przedstawicielami biznesu na GPW 10 lutego br.

Fot. Jacek Domiński/REPORTER

Czas łupów

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Pod rządami Tuska następuje odwrót od polityki społecznej, którą wprowadził PiS. Zmienił się kierunek transferu pieniędzy. Dotąd szły one do kieszeni uboższej części społeczeństwa, a teraz będą zasilać najbogatszych

Ogłoszony przez Donalda Tuska plan „deregulacji gospodarki" (cokolwiek by to miało znaczyć) można traktować w kategoriach kolejnego projektu propagandowego obecnej władzy. Bo to przecież nie pierwsza akcja tego rodzaju. Niektórzy pewnie jeszcze pamiętają, że za swoich poprzednich Tusk rządów rzucił w 2007 r. hasło „Przyjazne państwo" i zlecił Palikotowi walkę z biurokracją. Było wówczas trochę wrzawy medialnej i na niej się skończyło. Co więcej, premier zdaje się w ogóle nie ogarniać własnego rządu. Okazało się bowiem, że pełnomocnik ds. deregulacji w jego gabinecie istnieje, ale premier nie miał o tym pojęcia, więc zaproponował współpracę w tej sprawie znanemu biznesmenowi Rafałowi Brzosce.

Chociaż hasło deregulacji może być tylko pustym sloganem, wpisuje się w znacznie szerszą strategię obecnego rządu, który zdając sobie sprawę z pogarszającej się sytuacji gospodarczej, próbuje obciążyć rosnącymi kosztami swojej polityki uboższą część społeczeństwa, oszczędzając przy tym najbogatszych. Nikt bowiem nie wycofał się z szalonych planów transformacji energetycznej, nie ma mowy o ochronie rynku pracy przed imigrantami, a jakość usług publicznych takich jak służba zdrowia czy edukacja coraz częściej woła o pomstę do nieba.

Obecny reżim nie podejmuje też żadnych działań, które mogłyby wzmocnić

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

kondycję gospodarczą Polski i poprawić życie ludzi – niemal wszystkie projekty infrastrukturalne z czasów PiS zostały zatrzymane lub zlikwidowane. To wszystko przekłada się na pogarszający się standard życia Polaków.

NIC JUŻ NIE JEST PEWNE

Na razie ten standard spada nie wszędzie i nie każdemu w takim samym stopniu. Są miejsca w Polsce, głównie duże metropolie, do których widoczna fala ubóstwa jeszcze nie dotarła i ludzie nie odczuwają wyraźnego spadku jakości życia. Są jednak i takie, gdzie wraz z zamknięciem jedynego dużego zakładu pracy perspektywy na przyszłość stały się fatalne.

Na razie to pojedyncze punkty na mapie Polski, ale wkrótce takich miejsc będzie znacznie więcej. Wystarczy spojrzeć na wydłużającą się z każdym miesiącem rządów Tuska listę likwidowanych przedsiębiorstw oraz co za tym idzie lokalnych skoków bezrobocia. Są w Polsce powiaty, np. szydłowiecki na Mazowszu czy brzozowski na Podkarpaciu, gdzie według danych GUS z grudnia 2024 r. bezrobocie przekroczyło 20 proc. Kilka innych jest bardzo blisko tej granicy.

Zapaści gospodarczej na prowincji towarzyszy zwykle pogłębiający się kryzys usług publicznych – zamykanie szpitali, szkół, urzędów, placówek pocztowych. Na to wszystko nakłada się jeszcze inwestycyjny paraliż – zaniechanie budowy nowych dróg i połączeń kolejowych. Jeżeli w ciągu najbliższych lat nic się nie zmieni, a na razie niewiele na to wskazuje, wkrótce spora część Polski stanie się miejscem niezdatnym do życia. Zwłaszcza dla ludzi zdolnych i ambitnych, którzy będą musieli emigrować do dużych miast lub za granicę i tam walczyć o przetrwanie.

Jednak ubożenie społeczeństwa nie musi być uwarunkowane położeniem geograficznym. Są branże bardziej odporne na kryzys oraz takie, w których ludzie z trudem wiążą koniec z końcem. W tej chwili coraz mocniej obrywają rolnicy oraz branża transportowa, co jest związane m.in. z obłąkaną polityką rolną Unii oraz nieuczciwą konkurencją z zewnątrz. Ze względu na gwałtownie rosnące koszty energii coraz gorzej wiedzie się małym firmom, punktom usługowym oraz wykwalifikowanym robotnikom różnych specjalności, których pracodawcy postanowili zwinąć interes w Polsce. W ostatnich miesiącach, po tym, jak wiele firm z sektora IT przeniosło swoje miejsca pracy w inne rejony świata, dostało się nawet uchodzącej za pewną i dochodową branży informatycznej.

To powinien być zresztą dzwonek alarmowy dla wszystkich, w tym dla pracowników zagranicznych korporacji, którzy z wyższością patrzyli z okien swoich biur na ubogą tłuszczę stłoczoną gdzieś na pobliskim przystanku tramwajowym. Wydawało im się bowiem, że są solą tej ziemi, ich wysokie dochody i relatywnie stabilna pozycja zawodowa dają im elitarny status, który jest nienaruszalny. Że czekają ich kolejne awanse i może być tylko lepiej. Bo przecież są ludźmi sukcesu, wyjątkowymi na tle otaczającego ich pospólstwa.

Rzeczywistość jest znacznie bardziej brutalna. Korporacyjne lemingi nie są ani wyjątkowe, ani lepsze od innych. W każdej chwili mogą stracić swój troskliwie pielęgnowany „elitarny" status. Wystarczy bowiem, że ich zagraniczny pracodawca nagle wymieni ich na Hindusów czy Bengalczyków – równie utalentowanych, ale tańszych. Prawda jest taka, że cała ta przekonana o własnej wyjątkowości klasa korporacyjna żyje wyłącznie z obsługi obcego kapitału w Polsce. I jeśli ten kapitał postanowi stąd zniknąć, znikną również ich miejsca pracy i ich „elitarny" status. Wtedy dopiero się okaże, co tak naprawdę są warte ich „unikalne" umiejętności na rynku.

TUSK KONTRA BIZNES

Polska stopniowo podupada pod rządami Tuska. I niektórzy co bardziej inteligentni klienci obecnej władzy też to czują. Wiedzą, że ich przyszłość i dochody zależą od obecności zachodniego kapitału w Polsce. Intuicyjnie sprzeciwiali się rządom PiS, bo poprzednia władza starała się wybić na niepodległość, również od cudzych pieniędzy. Chcieli więc powrotu Tuska i Platformy, aby mieć gwarancję, że zachodni kapitał nadal będzie tu wpływowy i będzie ciągnął z naszego rynku duże pieniądze. Na tym się przecież zarabiało.

Dziś jednak międzynarodowe korporacje coraz częściej uciekają z Polski, a Tusk nie potrafi ich zatrzymać. Wśród korporacyjnych lemingów pojawiła się więc niepewność. I premier musi coś z tym zrobić, bo to przecież jego najwierniejszy elektorat. Hamuje więc rozwój kraju, likwiduje ambitne projekty, aby nie tworzyć u nas konkurencji dla obcego kapitału. Mamy być rynkiem zbytu dla cudzych towarów, mamy dać zarabiać innym, bo to jedyna szansa, aby zagraniczne koncerny nie uciekły z polskiego rynku. Nawet publiczna służba zdrowia jest wygaszana, aby zrobić miejsce dla zachodnich korporacji medycznych. Dzięki temu korporacyjny leming może zasnąć spokojnie.

Wszystko to oczywiście odbywa się kosztem reszty społeczeństwa. Państwo cofa się przed cudzymi, partykularnymi interesami, nie reprezentuje wspólnoty i służy nielicznym. Ludzie tracą pracę, spadają im dochody, mają gorszy dostęp do usług publicznych, bo wyborcza klientela Tuska musi utrzymać dotychczasowy poziom życia i zachować swój „elitarny" status.

Kij ma jednak dwa końce. Okazuje się bowiem, że postawa lokaja, jaką ekipa Tuska przyjęła wobec obcych rządów i zagranicznego kapitału, uderza w interesy niewielkiej, ale za to wpływowej grupy. Chodzi o rodzimy kapitał, relatywnie nieduży jak na standardy zachodnie, ale w Polsce znaczący. Ludzie tacy jak szef InPostu Rafał Brzoska nie wydawali się zbyt zadowoleni z uprzywilejowania zagranicznej konkurencji w naszym kraju. Niepokoiło też ich zwijanie państwa, rezygnacja z wielkich projektów infrastrukturalnych, okrajanie CPK, brak polityki energetycznej i transportowej. Taka polityka uderzała bowiem w polski kapitał oraz ograniczała możliwości jego ekspansji i rozwoju. Mówiąc krótko, bodaj po raz pierwszy we współczesnej historii Polski nasz rodzimy kapitał prywatny (a przynajmniej jego część) popadł w konflikt interesów z środowiskami, które tworzą obecny rząd oraz z ich wyborczym zapleczem.

To zapewne dlatego Tusk wyskoczył do Brzoski z pomysłem deregulacji. Oddał mu – zobaczymy, na ile szczerze – część władzy nad gospodarką, aby wygasić tlący się konflikt. Oczywiście władza, o której mowa, jest jedynie umowna. Brzoska i jego zespół mają przygotować rozwiązania, które wejdą w życie tylko wtedy, gdy zaakceptuje je Tusk. Nie ulega jednak wątpliwości, że tak przygotowana „deregulacja" bez względu na intencje

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Brzoski będzie w pierwszej kolejności uwzględniać postulaty środowiska dużego biznesu. Rola reszty społeczeństwa będzie tu zapewne zmarginalizowana bądź żadna.

SKOK NA KASĘ

„Deregulacja" to jednak tylko wycinek – niekoniecznie najbardziej istotny – transformacji, która dokonuje się w dzisiejszej Polsce. Jej istotą jest odwrócenie polityki społecznej, którą wprowadziło PiS. A więc koniec z wyrównywaniem szans, programami socjalnymi i zrównoważonym rozwojem. Pod pretekstem deficytu budżetowego następuje zmiana kierunku transferu pieniędzy. Dotąd szły one w większości do kieszeni uboższej części społeczeństwa, teraz będą zasilać najbogatszych.

Popatrzmy na pomysł podatku katastralnego. Oficjalnie mówi się, że ma on wymiar społeczny, bo uderzy głównie w tych, którzy posiadają kilka mieszkań i żyją z ich wynajmu. Są więc wystarczająco bogaci, aby go zapłacić, a jeśli nie będzie ich na to stać, zostaną zmuszeni do sprzedaży nieruchomości, co zwiększy dostępność mieszkań na rynku i pozwoli obniżyć ich ceny.

To prawda, że polski rynek nieruchomości jest patologiczny. Nowe mieszkania często są wykupywane na pniu, bywa że w świeżo oddanym bloku ktoś za jednym zamachem kupuje kilkanaście lub kilkadziesiąt mieszkań, aby potem je wynająć lub sprzedać – już za wyższą cenę. W starym budownictwie działają zaś flipperzy, kupujący mieszkania do remontu i zarabiający na różnicy cen. Zwykłych ludzi nie stać na takie transakcje, w efekcie wielu Polaków nie ma własnego dachu nad głową, podczas gdy setki mieszkań stoi pustych – są po prostu za drogie na przeciętną kieszeń.

Tylko czy rozwiązaniem na pewno jest podatek katastralny? Jest tu wiele wątpliwości. Wszystko zależy od tego, ile będzie wynosił i od którego mieszkania będzie liczony. Mnóstwo ludzi posiada dwa lub nawet trzy mieszkania, najczęściej odziedziczone w spadku po rodzinie, z których wynajmu dorzucają sobie do skromnych dochodów. Gdyby uderzyć w kogoś takiego podatkiem, skala ubóstwa poszerzy się jeszcze bardziej. Zwłaszcza jeśli wyniósłby on kilkanaście tysięcy złotych rocznie, co jest możliwe przy obecnych cenach nieruchomości i podatku katastralnym w wysokości 1 proc. W rezultacie mieszkań pozbywaliby się nie flipperzy i spekulanci, lecz najbiedniejsi. A chyba nie o to chodzi.

Chyba że jest odwrotnie. Podatek katastralny liczony w najbardziej brutalnej wersji, a więc od każdego mieszkania, może być doskonałym narzędziem do czyszczenia kamienic z lokatorów. Zwykli ludzie musieliby się wynieść z dużych miast, a ich mieszkania zostałyby przejęte przez fundusze inwestycyjne zarabiające na najmie. Takich funduszy na świecie jest mnóstwo, zapewne wiele z nich ostrzy już sobie zęby na polskie nieruchomości. To nic innego jak przymusowe wywłaszczenie.

> Podatek katastralny, liczony w najbardziej brutalnej wersji, a więc od każdego mieszkania, może być doskonałym narzędziem do czyszczenia kamienic z lokatorów

Do podatku katastralnego dorzućmy jeszcze wyższe ceny za energię – przede wszystkim opłatę ETS2, która ma wejść w życie najwcześniej od 2027 r., oraz koszty termoizolacji domów. Kogo będzie na to stać? W efekcie ludzie zaczną sprzedawać swoje mieszkania, a wtedy ich ceny owszem spadną, ale zyskają na tym wyłącznie najbogatsi. Bo będą mogli tanio zainwestować w przymusowo opuszczone nieruchomości. Trudno nazwać to inaczej jak skokiem na kasę.

Niewykluczone zresztą, że w części przejętych mieszkań mogliby zamieszkać imigranci. Za ich wynajem mogłoby zapłacić państwo, a więc my wszyscy. Napływ przybyszów, którego obawia się każdy przeciętny Polak, jest zresztą dobrym interesem dla najbogatszej elity. Przyjezdni wykonują bowiem pracę za najniższe pensje. Są wśród nich kurierzy, kucharze, fryzjerzy – dzięki temu ich pracodawcy, niekiedy zagraniczne korporacje, mają wyższe zyski bez podnoszenia cen usług. Polscy przedsiębiorcy i pracownicy sporo tracą na takiej konkurencji. Pieniądze, które mogliby zarobić, trafiają w ten sposób do innych kieszeni.

WIEŚ W CUDZE RĘCE

Skutki transformacji szczególnie mocno odczuje wieś, bo tu jest najwięcej starych domów i zużywa się mnóstwo paliw kopalnych (traktory, maszyny rolnicze, opał, a także samochody, bo komunikacji publicznej przecież brak). Gigantyczne koszty, które w związku z Zielonym Ładem szykuje rolnikom Unia, zostaną dodatkowo pomnożone przez nowe wymogi polityki rolnej. Do tej pory Bruksela promowała model wielkopowierzchniowych gospodarstw nastawionych na zysk. Gdy wielu rolników zainwestowało w tego rodzaju produkcję, Unia zażądała od nich powrotu do gospodarki ekologicznej. Koszt takiej transformacji, o ile jest w ogóle możliwa, byłby ogromny, nic więc dziwnego, że rolnicy w niemal całej UE protestują.

Być może chodzi o coś zupełnie innego – o likwidację rolnictwa jako istotnej branży gospodarki w wielu krajach i przekształcenie rolników w najemnych, niskopłatnych robotników. Taki scenariusz stawiałby w uprzywilejowanej pozycji wielkie agroholdingi, przede wszystkim te, które produkują żywność po bardzo niskich kosztach poza Unią i sprowadzają ją do Europy.

Mogą więc powrócić obrazki z epoki Balcerowicza, gdy likwidacja PGR wepchnęła tysiące ludzi w biedę. Wzbogaciłyby się za to różne fundusze inwestycyjne oraz zagraniczne korporacje rolne, które mogłyby tanio skupować ziemię upadających gospodarstw. To podobny schemat jak w przypadku mieszkań i zbyt wysokiego podatku katastralnego.

Po ośmiu latach mamy więc pełny odwrót od społecznej polityki PiS. Ci, których odsunięto wtedy od stołu, pod obecną władzą próbują się odegrać i obłowić. I nie ma żadnych złudzeń co do Tuska – on im w tym nie przeszkodzi.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Nachodźcy u bram

DOROTA ŁOSIEWICZ

Wszystko wskazuje na to, że zanim na dobre wystartuje pakt migracyjny, który ma wejść w życie za półtora roku, Polskę może zalać fala nielegalnych migrantów odsyłanych z Niemiec. Wszystko na mocy rozporządzenia Dublin III. Oficjalnie polskie władze twierdzą, że nie będziemy przyjmować migrantów, ale fakty przeczą deklaracjom

Na ostatnim posiedzeniu Sejmu posłanka Anna Krupka grzmiała z mównicy: „Donald Tusk zapowiada, że nie przyjmie migrantów, rzeczywistość jest zdecydowanie inna. Wraz z Mariuszem Błaszczakiem i Łukaszem Kmitą ujawniliśmy szokujące fakty. MSWiA zorganizowało szkolenie dla starostów, a jednym z zadań było zorganizowanie przyjęcia 200 migrantów z Syrii w każdym powiecie. Nie ma więc żadnych wątpliwości, że rząd Tuska przygotowuje samorządowców do relokacji nachodźców z Bliskiego Wschodu, którzy zagrożą bezpieczeństwu polskich dzieci, polskich kobiet, polskich rodzin. Przedstawiciele rządu Tuska jedno mówią, drugie robią, zawsze kłamią i będą kłamali aż do wyborów prezydenckich, w których startuje wice-Tusk – Rafał Trzaskowski. Głos na niego to głos za migrantami w Polsce" – mówiła posłanka PiS.

SZKOLENIE SAMORZĄDOWCÓW

Starostowie potwierdzają, że takie szkolenie miało miejsce, choć zaproszenie na nie brzmiało dość niewinnie. Oto jego fragment: „Szanowny Panie, w związku z podpisaniem w dniu wczorajszym przez Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji rozporządzenia w sprawie programu szkoleń z zakresu ochrony ludności i obrony cywilnej oraz wymagań dla podmiotów prowadzących szkolenia, uprzejmie informujemy, że szkolenie dla grupy WKOL-P3, do której został wpisany Pan Starosta, odbędzie się w terminie 17–20 lutego 2025 r. w siedzibie Akademii Pożarniczej [tu adres]. Zapraszamy na uroczyste rozpoczęcie szkolenia w dniu 17.02.2025 r. o godz. 9.00 w Sali Q (uprzejmie prosimy o punktualne przybycie)".

W rozmowie z telewizją wPolsce24 Tomasz Staniek, starosta opatowski, opowiedział, jak wyglądało to szkolenie: „To szkolenie miało miejsce w Warszawie. Było organizowane przez MSWiA dla wszystkich starostów w Polsce. W ubiegłotygodniowej turze wzięło udział 40–50 osób. Jednym z zadań w trakcie szkolenia było przyjęcie 200 nielegalnych migrantów z Syrii. Trzeba dodać, że było to szkolenie z zakresu obrony cywilnej, i nie jest to zaskakujące, ponieważ jednym z naszych zadań jest ochrona ludności cywilnej, zwłaszcza w świecie pogrążonym w wojnach. To zadanie mocno nas, starostów, zbulwersowało. Zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę liczne problemy, z jakimi musimy się mierzyć jako samorządowcy: rosnące bezrobocie, brak dostępu do służby zdrowia, obcinanie środków na edukację, szpitale. I teraz okazało się, że dostajemy zadanie przyjęcia nielegalnych migrantów z Syrii. Moduł, w którym otrzymaliśmy to zadanie, był zatytułowany: »Reakcja w stanie zagrożenia terrorystycznego i migracyjnego«. Pytam więc, dlaczego mamy sobie robić podwójny kłopot? Wiemy, że tuż za naszą zachodnią granicą, nad Odrą, w miejscowości Eisenhüttenstadt, powstaje ośrodek dla kilkudziesięciu tysięcy nielegalnych migrantów. Tu zasadne jest pytanie, czy większość z tych migrantów trafi do Polski i będzie rozlokowana po Polsce po naszych powiatach" – relacjonował starosta opatowski. „Gdy otrzymaliśmy to zadanie, ja i moi koledzy starostowie zgłosiliśmy sprzeciw. Nie zgadzamy się, by nielegalni migranci, nachodźcy, byli umieszczani w naszych powiatach. Stanowi to zagrożenie dla naszych dzieci, żon, całego społeczeństwa. To są ludzie z krajów odległych nam kulturowo i widzimy na przykładzie Europy Zachodniej, jakie to niesie ze sobą problemy" – mówił Tomasz Staniek, a jego relację potwierdziło wielu innych starostów obecnych na konferencji zwołanej w tej sprawie w Kielcach.

DUBLIN CENTRUM

Pozostańmy więc przy ośrodku, o którym wspomina starosta opatowski. Niemieckie władze chcą przyspieszyć odsyłanie imigrantów, których wnioski o azyl zgodnie z konwencją dublińską powinny być rozpatrywane w innym kraju Unii Europejskiej. Precyzyjniej chodzi o rozporządzenie Dublin III, które weszło w życie 1 stycznia 2014 r., zastępując wcześniejsze rozporządzenie Dublin II, które z kolei 1 września 2003 r. zastąpiło konwencję dublińską z 1990 r. Regulacja ta odnosi się do wszystkich państw członkowskich Unii Europejskiej oraz Norwegii, Szwajcarii, Islandii i Lichtensteinu.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Fot. Darek Delmanowicz/PAP

Rozporządzenie Dublin III określa kryteria i mechanizmy ustalania państwa członkowskiego Unii odpowiedzialnego za rozpatrzenie wniosku o udzielenie ochrony w UE. Co do zasady tylko jedno państwo członkowskie jest odpowiedzialne za rozpatrzenie takiego wniosku. Zazwyczaj jest nim pierwsze państwo członkowskie, którego granicę przekroczył cudzoziemiec starający się o ochronę. Na podstawie rozporządzenia Dublin III cudzoziemcy są zawracani do krajów odpowiedzialnych za rozpatrzenie ich wniosków uchodźczych. 1 marca br. ośrodek dla takich osób rozpocznie działalność w Eisenhüttenstadt przy granicy z Polską. Ośrodek nosi nazwę „Dublin Centrum".

Jeszcze przed wyborami parlamentarnymi w Niemczech minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser i szefowa resortu spraw wewnętrznych landu Brandenburgia Katrin Lange podpisały w Poczdamie porozumienie o powstaniu ośrodka. „Jeżeli ludzie przyjeżdżają do Niemiec mimo iż powinni przejść postępowanie azylowe w innym kraju UE, to trzeba ich szybciej odsyłać" – powiedziała Faeser. „Imigranci, którzy trafią do ośrodka Eisenhüttenstadt, zostaną pozbawieni świadczeń pieniężnych. Obowiązuje zasada »łóżko, chleb i mydło«" – zapowiedziała Faeser. Restrykcje mają ich zniechęcić do powtórnego przyjazdu do Niemiec.

Odesłanie do Polski ma potrwać nie dłużej niż dwa tygodnie. „Ze względu na dobre kontakty Brandenburgii z sąsiednimi województwami Polski punktem ciężkości działalności ośrodka w Eisenhüttenstadt ma być odsyłanie imigrantów do Polski" – głosił komunikat prasowy opublikowany na stronie internetowej niemieckiego MSW. „W celu przyspieszenia postępowania Centralny Urząd do spraw Cudzoziemców Brandenburgii będzie ściśle współpracował z urzędami w Polsce. Jesteśmy w dobrym dialogu z Polską" – mówiła na konferencji niemiecka minister. Ośrodki dublińskie mają powstać we wszystkich 16 landach tworzących RFN.

POLSKA NIE PRZYJMUJE?

Oficjalna narracja polskich władz brzmi: nie będziemy przyjmować nielegalnych migrantów. Władysław Kosiniak-Kamysz pytany w radiu RMF FM o ośrodek w Eisenhüttenstadt i odsyłanie nielegalnych migrantów do Polski mówił: „Nie będzie takiej sytuacji. Nie ma zgody na pakt migracyjny. Nie po to Polska uszczelniła granicę. [...] Nie przyjmiemy, będziemy odsyłać. Nie wpuścimy. Nasza ziemia, nasze prawo. No sorry" – deklarował wicepremier, myląc przy tym temat paktu migracyjnego z rozporządzeniem Dublin III.

W tym samy czasie niemieckie media chwaliły Polskę za przyjmowanie odsyłanych do naszego kraju migrantów. Poseł PiS Paweł Jabłoński opublikował w sieci fragmenty tekstu niemieckiej gazety „BZ", w którym Niemcy skarżą się na Włochów i chwalą Polskę. „Włochy przyjęły od nas tylko czterech migrantów z kilku tysięcy, których im zaproponowano" – napisano w „BZ". Jednocześnie gazeta chwali rząd Tuska: „Polska jest zupełnie inna – przyjmują każdego".

Z oficjalnego stanowiska rządu zaprezentowanego przez rzecznika MSWiA Jacka Dobrzyńskiego dowiadujemy się, że w 2024 r. miał nastąpić znaczący spadek pozytywnych decyzji o przyjęciu przez Polskę cudzoziemców zawracanych przez inne państwa członkowskie UE, w tym Republikę Federalną Niemiec. „Obecnie obowiązują dwie procedury: Dublin III oraz readmisja (uproszczona i pełna). Przy stosowaniu procedury Dublin III w przypadku Niemiec spadek ten wyniósł 18 proc. W roku 2023 było to 404 cudzoziemców, natomiast w roku 2024 było to 331 osób. W przypadku procedury readmisji spadek ten w przypadku Niemiec był jeszcze wyższy i wyniósł 37 proc. W roku 2023 było to 564 cudzoziemców, natomiast w roku 2024 było to już tylko 357 osób. Powyższe spadki są m.in. efektem przeprowadzenia bardzo dokładnego sprawdzenia, czy wniosek władz niemieckich jest zasadny i czy Polska powinna zgodzić się na przyjęcie danego cudzoziemca. W roku 2025 Polska nie planuje zmiany stosowanej procedury. Powinno to prowadzić do dalszego spadku liczby

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Niemieckie media chwalą Polskę za przyjmowanie odsyłanych do naszego kraju migrantów. „Włochy przyjęły od nas tylko czterech migrantów z kilku tysięcy, których im zaproponowano” – pisze niemiecka gazeta „BZ”. I jednocześnie chwali rząd Tuska: „Polska jest zupełnie inna – przyjmują każdego”

cudzoziemców zawracanych do Polski” – czytamy na platformie X.

O tym, że próba odsyłania do Polski migrantów na mocy rozporządzenia Dublin III to nic nowego, mówił mi Mariusz Kamiński, dziś europoseł PiS, wcześniej minister koordynator ds. służb specjalnych i były szef MSW. – Gdy pełniłem funkcję ministra spraw wewnętrznych, to była mniej więcej pierwsza połowa 2023 r., otrzymałem nieoficjalnymi kanałami ze strony niemieckiego MSW propozycję współpracy przy wykorzystaniu konwencji dublińskiej, by przyjąć do Polski wytypowaną przez stronę niemiecką grupę kilkunastu tysięcy nielegalnych migrantów, wobec których stwierdzono »ślad polski«. Na pytanie, co oznacza »ślad polski«, usłyszałem, że te osoby deklarują, że przekroczyły granicę niemiecką z terytorium Polski. Dlatego Niemcy chcieli nam ich przekazać. Wówczas padła jednoznaczna odpowiedź, że się na to nie zgadzamy” – relacjonował Kamiński.

PAKT MIGRACYJNY

Do tego dochodzi pakt migracyjny, który ma wejść w życie w połowie 2026 r. Przepisy zawierają tzw. mechanizm obowiązkowej solidarności, który zakłada rozlokowanie co roku co najmniej 30 tys. migrantów. Państwa, które nie będą chciały rozpatrzyć ich wniosków o azyl (co może, ale nie musi skończyć się ich przyjęciem), będą musiały zapłacić 20 tys. euro za każdy nierozpatrzony wniosek lub zapewnić tzw. alternatywne środki solidarnościowe, takie jak np. delegowanie personelu.

Na stronach Komisji Europejskiej możemy znaleźć harmonogram wdrażania paktu. Przewiduje on: „Do 1 lipca 2024 r. państwa członkowskie powinny ustanowić krajowe struktury koordynacji i wyznaczyć koordynatora krajowego (jeżeli jeszcze tego nie zrobiły). Do października 2024 r. państwa członkowskie powinny przedłożyć Komisji projekty krajowych planów wdrażania. Do 12 grudnia 2024 r. państwa członkowskie muszą przekazać Komisji swoje krajowe plany wdrażania. Do pierwszej połowy 2025 r. Komisja przyjmie decyzję o przydziale środków w ramach programów krajowych w kontekście przeglądu śródokresowego FAMI i IZGW, wykorzystując przy tym zaktualizowane statystyki odzwierciedlające klucz alokacji w latach 2021–2023. Do pierwszej połowy 2025 r. Komisja przydzieli państwom członkowskim część środków z przeglądu śródokresowego WRF za pośrednictwem instrumentu tematycznego. Do pierwszej połowy 2025 r. państwa członkowskie powinny rozpocząć udzielanie zamówień na zakup sprzętu i działania w zakresie budownictwa. Do pierwszej połowy 2025 r. państwa członkowskie powinny rozpocząć proces rekrutacji. Do połowy 2026 r. państwa członkowskie mają być gotowe do stosowania paktu o migracji i azylu”.

Oficjalnie rząd twierdzi, że nie wdroży paktu. Jednak rzecznik Komisji Europejskiej Markus Lammert, który na początku lutego został zapytany o to, kiedy KE oceni, czy Polska jest jednym z krajów znajdujących się pod presją migracyjną i czy zgodnie z paktem pozwoliłoby to na wyłączenie jej z mechanizmu obowiązkowej solidarności, odpowiedział: „Prawo UE jest wiążące dla państw członkowskich i pakt migracyjny w związku z jego wejściem w życie jest obowiązującym prawem”.

Jednocześnie podczas wizyty w Polsce przewodnicząca KE Ursula von der Leyen podkreślała, że nasz kraj przyjął największą liczbę Ukraińców i gości ich od prawie trzech lat: „Unia będzie to brała pod uwagę i będzie szanować tę niezwykłą solidarność oraz całą pracę wykonywaną przez Polskę”.

Jednocześnie poseł PiS Michał Moskal ujawnił w mediach społecznościowych pismo prezesa Urzędu ds. Cudzoziemców skierowane do instytucji państwowych, które mają być przygotowane na przyjęcie rzesz nielegalnych imigrantów. „Zwracam się do Państwa z prośbą w związku z koniecznością opracowania Krajowego Planu Kryzysowego w zakresie recepcji i azylu (dalej: Plan). Celem jest rozwinięcie/uzupełnienie istniejących dokumentów planistycznych i przygotowanie wspólnego planu awaryjnego na wypadek sytuacji związanych z nieproporcjonalną do zwykłych warunków funkcjonowania systemu recepcyjnego i azylowego liczbą osób ubiegających się o ochronę międzynarodową” – czytamy w piśmie. Dowiadujemy się z niego m.in. także tego, że w ten proces ma być zaangażowane Wojsko Polskie, które ma odpowiadać za przewóz nielegalnych imigrantów z punktów granicznych do ośrodków azylowych na terenie Polski. MON ma odpowiadać też za organizację tymczasowych obozowisk.

Wszystko wskazuje więc na to, że słowa sobie, a rzeczywistość sobie. Dowiemy się więcej pewnie dopiero po wyborach prezydenckich.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Mentzen na fali

Kandydat Konfederacji na prezydenta RP chce przeskoczyć Karola Nawrockiego

STANISŁAW JANECKI

Fot. @SławomirMentzen/x.com

Zwolennicy twierdzą, że nie tylko dwa pierwsze miesiące 2025 r. należą do Sławomira Mentzena – cały rok będzie jego. Że trwale wszedł do ekstraklasy polskiej polityki, a potwierdzeniem tego będzie awans do drugiej tury wyborów prezydenckich. Sceptycy twierdzą, że „sukces" (sondażowy) Mentzena przyszedł za szybko i nie utrzyma się do 18 maja 2025 r. (terminu pierwszej tury wyborów). Poza tym w polskiej polityce marka Konfederacji wciąż jest słabsza od marki Prawa i Sprawiedliwości, więc awans do drugiej tury wcale nie jest pewny.

„Mentzen. Druga tura" – to hasło wypisane na wyborczym banerze towarzyszyło kandydatowi Konfederacji na prezydenta, gdy zmierzał na konwencję do Bełchatowa, zahaczając o Pabianice, Brzeziny, Rzgów czy Łask. Zwolennicy uważają, że Mentzen idzie po drugą turę, bo jest bardzo pracowity (jednego dnia odwiedza kilka miejscowości). Bo operuje zrozumiałym językiem i wie, o czym mówi (ma doktorat z ekonomii). Bo trafia do młodych wyborców, gdyż sam jest młody jak na polityka. Bo mając dopiero 38 lat, zapewnił dostatek sobie i rodzinie, rozumie przedsiębiorców, gdyż sam jest jednym z nich.

I wstrzelił się w ducha czasu (obecnego na całym Zachodzie). To znudzenie i zmęczenie dotychczasowymi zdemoralizowanymi elitami. To krytyka rządów ograniczających wolność i przerabiających społeczeństwa na „postępowe" wręcz „komunistycznymi metodami". To bunt wobec kolejnych fal nielegalnych imigrantów rujnujących poczucie bezpieczeństwa i wypłukujących Zachód z tradycyjnych wartości. To sprzeciw wobec Zielonego Ładu jako nie tylko szkodliwego dla państw, gospodarek i społeczeństw, lecz także absolutnie utopijnego i nieracjonalnego. To bunt przeciwko „postępowej" edukacji prowadzącej do masowej produkcji nieuków, czyli zdyscyplinowanych, naiwnych konsumentów, a nie świadomych obywateli. I Mentzen może twierdzić, że nie przyłożył ręki do żadnego z tych negatywnych procesów, skoro dotychczas nie rządził. Że będzie wiarygodny, zwalczając je.

TRZECI CZY DRUGI?

W sondażu przeprowadzonym na zlecenie „Wydarzeń" Polsatu przez IBRiS (opublikowanym 25 lutego 2025 r.) widać, że w ciągu miesiąca dystans między Karolem Nawrockim a Sławomirem Mentzenem zmniejszył się o 6,6 pp. Nawrocki stracił 2,4 pp. poparcia i ma obecnie 26,5 proc., a Mentzen w tym czasie zyskał 4,2 pp. (do 15,7 proc.). 25 lutego 2025 r. także Wirtualna Polska opublikowała sondaż prezydencki (przeprowadzony 21–24 lutego), w którym kandydat Konfederacji notuje największy wzrost (w stosunku do poprzedniego badania) o 6,5 pkt. proc. – do 16,2 proc. Bada-

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

nie Opinii24 dla RMF FM daje mu 16,8 proc. poparcia, pracowni Pollster dla „Super Expressu" – 16 proc., Ipsosu dla TVP Info – 15 proc. Mentzen notuje też najlepszy wynik w historii sondaży zaufania w badaniu IBRiS dla Onetu (debiutował w kwietniu 2023 r.) – od grudnia 2024 r. zyskał 6,1 p.

„Pierwsza tura jest okazją – przećwiczyliśmy to już na przykładzie Kukiza i Hołowni – żeby zagłosować na »trzeciego« [...]. Wyniki powyżej 10 proc. mieli w przeszłości Napieralski, Kukiz, Hołownia. Teraz też się można spodziewać, że ktoś będzie miał taki wynik i wygląda na to, że będzie to Mentzen" – skomentował sondaże prof. Jarosław Flis z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Sławomir Mentzen funkcjonuje nie tylko jako polityk, lecz także przedsiębiorca i doradca podatkowy. Ma licencjat z fizyki i doktorat z ekonomii. I jest bardzo zaradny: z oświadczenia majątkowego wynika, że ma ponad 5 mln zł w bitcoinach, jego udziały w spółkach handlowych są warte prawie 7 mln zł. Zgromadził ok. 1 mln zł w różnych walutach. Posiada dwa domy i mieszkanie: jeden z domów ma powierzchnię 370 m², drugi 125 m², zaś mieszkanie 107 m². Sławomir Mentzen ma też dwa kredyty hipoteczne – 950 tys. i 316 tys. zł. Jeździ mercedesem o wartości 300 tys. zł i volvo o wartości 340 tys. zł.

Do wyborców, przede wszystkim młodych, trafia „Pięcioma Zasadami Mentzena". To niskie podatki (nawet w wersji jednej stawki liniowej), likwidacja regulacji blokujących szczególnie rozwój małych i średnich firm, walka z „socjalizmem", czyli np. programami socjalnymi typu 800+, prawo do bogacenia się, czyli zarządzania własnym majątkiem bez ingerencji państwa (albo przy minimalnej) oraz ograniczenie roli państwa w gospodarce.

Jednocześnie Mentzen proponuje trzymanie się konserwatywnych wartości. Poprzez sprzeciw wobec aborcji, sprzeciw wobec dla promowania „praw" mniejszości seksualnych w sferze publicznej, decentralizację edukacji i zagwarantowanie większej roli rodziców w podejmowaniu decyzji o kształceniu dzieci.

W kwestiach europejskich kandydat Konfederacji opowiada się za renegocjacją wielu rozwiązań traktatowych i rozporządzeń, przede wszystkim dotyczących gospodarki. Chce prymatu umów bilateralnych państw członkowskich nad regulacjami obowiązującymi wszystkie państwa członkowskie UE.

Przeciwnicy uważają, że Mentzena kompromitują takie wypowiedzi, jak ta z 2019 r.: „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej" (sam twierdzi, że to był sarkazm odpowiadający na skrzywiony obraz w mediach). Ma go też kompromitować wypowiedź o karach cielesnych dla dzieci, choć on sam twierdził, że może to być przedmiotem debaty społecznej. Reagując na różne zarzuty, Mentzen uważa się za ofiarę „medialnego ataku", polityka, którego słowa są najczęściej przeinaczane bądź celowo wyrywane z kontekstu.

POLITYK POKOLENIA Z

Siłą Mentzena jest jego obecność w mediach społecznościowych. Na TikToku ma 1,5 mln obserwujących (Trzaskowski 32,4 tys.). Na platformie X jego profil obserwuje 608 tys. osób (tu Trzaskowski jest lepszy – 881 tys.). Na Facebooku ma 583 tys. obserwujących (Trzaskowski 778 tys.). W mediach społecznościowych Mentzen wykreował własną markę.

Akcja „Piwo z Mentzenem" okazała się jedną ze skuteczniejszych w polskiej polityce, bo polegała na autentyczności: nieformalne spotkania przy piwie, zero „oficjałki", możliwość rozmawiania o wszystkim. Potem efekt był wzmacniany w mediach społecznościowych. Chodziło o tworzenie wizerunku polityka „bliskiego ludziom" i tak się stało.

Można powiedzieć, że Sławomir Mentzen jest najbardziej rozpoznawalnym polskim politykiem w pokoleniu Z, czyli urodzonym w latach 1995–2010, otoczonym technologiami cyfrowymi, korzystającym z e-usług. Trafia do nich poprzez lekki, często podszyty humorem przekaz. O Rafale Trzaskowskim mówił, że w szpilkach pobiegłby na Paradę Równości zamiast na Marsz Niepodległości, który blokuje. Naśmiewa się z gipsowego jaja za 250 tys. zł na placu Pięciu Rogów czy „kibla bez drogi" za 650 tys. zł. Parodiuje rozmowy prezydenta Warszawy z urzędnikami ratusza. Nabija się z niewychowanych polskich krów, które puszczają gazy w przeciwieństwie do tych argentyńskich. Po spotkaniu premiera Tuska z prezesem Google i zapowiedzi przeznaczenia 5 mln dol. na szkolenia miliona Polaków Mentzen napisał, że „w Google znacznie więcej wydają na kawę i ciastka niż na ogłaszaną z dumą przez premiera Polski wielką inwestycję".

Kandydat Konfederacji obiecuje wszystkim Polakom, że jako prezydent RP zapewni blokadę podwyżek podatków, wypowiedzenie paktu migracyjnego i Zielonego Ładu, nie da wciągnąć Polski w wojnę, nie godząc się na wysłanie polskich żołnierzy na Ukrainę.

Politolodzy uważają, że Mentzen płynie na fali trumpizmu, lansując polską wersję hasła MAGA. Na konwencji w Bełchatowie w ciągu 45 min przedstawił najprostszą metodę rządzenia, prawie wprost wyjętą z wyborczych wystąpień Trumpa z lokalnymi modyfikacjami: proste i niskie podatki, ograniczenie wydatków państwa, obronę Polski przed masową migracją, rezygnację z Zielonego Ładu, rozwijanie sztucznej inteligencji i ogólnie IT, postawienie na energetykę jądrową, reset w sferze wolności (wyrzucenie do kosza wszelkich regulacji przeciw mowie nienawiści) i reset konstytucyjny, czyli „wyprostowanie" prawa z konstytucją na czele. Zapowiedział, że jako prezydent RP szeroko korzystałby z prawa weta oraz z prawa wnoszenia ustaw, co tydzień zwoływałby Radę Gabinetową, co pozwoliłoby mu mieć wpływ na proces legislacyjny. Dodał, że zaproponuje likwidację podatków od spadków, mieszkań, kryptowalut i emerytur. Stwierdził, że każdy, kto ma kredyt hipoteczny, będzie mógł odliczyć od niego odsetki w rozliczeniu podatkowym.

Mentzen przedstawił wprawdzie program dla rządu i silnego premiera, ale skoro zamierza zmienić ustrój, to powinno się wierzyć, że zrealizuje wszystkie swoje zapowiedzi. I taki sposób myślenia trafia szczególnie do młodych wyborców, którzy często nie zastanawiają się, co jest realne i możliwe, byleby było proste i odpowiadało ich wyobrażeniu o funkcjonowaniu państwa.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Dziecko ofiarą politycznej nagonki

Koalicja 13 grudnia przetrzymuje w areszcie matkę dziecka z autyzmem, które potrzebuje jej obecności. Prokuratura Adama Bodnara naraża zdrowie dziecka na niebezpieczeństwo z powodu politycznej rozgrywki z opozycją

GORAN ANDRIJANIĆ

Franciszek ma 13 lat i choruje na zespół Aspergera, zaburzenie rozwojowe ze spektrum autyzmu trwające całe życie.

Osoby z zespołem Aspergera jak większość osób ze spektrum autyzmu mają jedną mocną potrzebę: stałość, sztywność i schematyczność działania w swoim życiu. Jedną z najgorszych rzeczy, jaka może im się przydarzyć, jest nieoczekiwana zmiana, która zakłóci ich rytm życia i codzienne rytuały. Jeśli tej zmianie towarzyszy nagła utrata najbliższych, wspierających członków rodziny, jest to dla nich szok, który ma poważne konsekwencje.

Dokładnie to przydarzyło się Franciszkowi, chłopcu w najbardziej wrażliwym okresie dojrzewania, który zmaga się z autyzmem. Z jego rzeczywistości nagle zniknęli jego najbliżsi – ojciec i matka, a on został skazany na trzy tygodnie życia bez nich. Jego cierpienie to nie tylko szok emocjonalny, który można opisać jako piekło, przez które przeszedł. Niestety ta sytuacja będzie prawdopodobnie miała też długotrwałe konsekwencje. Jego diagnoza wymaga terapii, w której kluczową rolę odgrywają rodzice. Trzytygodniowa przerwa w niej z pewnością odciśnie piętno na jego rozwoju, co będzie trudne do odwrócenia.

RODZICE W ARESZCIE

Dlaczego Franciszek musi to wszystko znosić? Z jednego skandalicznego powodu: ponieważ jego rodzice, najwyraźniej nie z własnej winy, znaleźli się w centrum politycznej nagonki prowadzonej przez koalicję 13 grudnia. Nie jest skierowana bezpośrednio przeciwko nim, ale wobec byłego premiera Mateusza Morawieckiego. Są ofiarami ubocznymi. Nie tylko oni, lecz także ich syn, który zmaga się z chorobą i cierpi z powodu czyjejś decyzji politycznej.

Franciszek to nie jest prawdziwe imię tego chłopca. Używam go w celu jego ochrony. Jego rodzicami są Anna W., była dyrektor biura prezesa Rady Ministrów, i jej mąż Marek.

Pod koniec stycznia Anna i Marek W. zostali aresztowani jako podejrzani w śledztwie dotyczącym rzekomych nieprawidłowości w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych (RARS). Potem prokuratura dodała, że zostały im przedstawione zarzuty „udziału w zorganizowanej grupie przestępczej".

Przypomnijmy – śledztwo w tej sprawie prowadzi śląski pion Prokuratury Krajowej od 12 kwietnia 2024 r. Według PK materiał dowodowy, który został zgromadzony, uzasadnia podejrzenie, że podczas wykonywania zadań w RARS dopuszczono się nadużyć. Do tej pory w śledztwie przedstawiono łącznie 21 zarzutów 8 osobom, w tym byłemu prezesowi RARS Michałowi Kuczmierowskiemu, 3 innym urzędnikom Agencji, a także Pawłowi Szopie, twórcy marki Red is Bad, który współpracował z RARS. Zarzuty dotyczą w szczególności udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, a prokuratura twierdzi, że obejmują nieprawidłowości w wydatkowaniu przez Agencję nie mniej niż 340 mln zł.

W obozie opozycji cała sprawa została zinterpretowana jako próba uderzenia w byłego premiera Mateusza Mora-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

wieckiego. Tę tezę w pewnym sensie potwierdza fakt, że śledztwo, któremu oczywiście towarzyszyły doniesienia w mediach głównego nurtu, rozpoczęło się mniej więcej w tym samym czasie, gdy Morawiecki był brany pod uwagę jako jeden z możliwych kandydatów PiS w wyborach prezydenckich. Prawo i Sprawiedliwość twierdzi też, że RARS była kluczową instytucją, która udzieliła Ukrainie pomocy w pierwszych dniach rosyjskiej agresji. Sam Kuczmierowski przebywa obecnie w Londynie, czekając na wynik wniosku o ekstradycję. Jak sam przyznał, nie może się doczekać powrotu do ojczyzny, aby móc się bronić.

Tyle o politycznych i prawnych okolicznościach całej sprawy. Wróćmy do tematu tego tekstu – w jaki sposób polityczne gierki niszczą zdrowie chłopca, który jest „winny" tylko dlatego, że pozostaje dzieckiem swoich rodziców.

MECENAS UJAWNIA

Mecenas Krzysztof Wąsowski, który reprezentuje Annę i Marka W., był tym, który ujawnił, że prokuratura Adama Bodnara przez trzy tygodnie trzymała w areszcie rodziców chorego dziecka.

„Prokuratura zignorowała zupełnie sytuację rodzinną i dziecka, które zostało pozbawione rodziców na trzy tygodnie" – powiedział mecenas w rozmowie z telewizją wPolsce24. „Jest cały segregator różnych opinii biegłych, psychiatrów, psychologów. Dziecko jest w specjalnej szkole i jest od dwóch lat w terapii, zostawia się go samego. Nie ma dla niego żadnej możliwości nawet pieczy zastępczej, bo biegli twierdzą, że tylko rodzice, jeżeli żyją, mogą uczestniczyć w terapii. Została połamana konwencja haska i Europejska Konwencja Praw Człowieka".

Wąsowski ujawnił też, że prokuratura uwolniła ojca dziecka, ale Anna W., matka, która jest kluczowa w terapii, pozostaje w areszcie.

ODEBRANE BEZPIECZEŃSTWO

Aby zrozumieć, jak wielkie szkody wyrządziła temu dziecku prokuratura Adama Bodnara, musimy sobie przypomnieć, czym tak naprawdę jest autyzm. To zaburzenie neurorozwojowe, które polega na współistniejących zaburzeniach mowy i interakcji społecznych oraz ograniczonych i sztywnych zainteresowaniach oraz zachowaniach.

Jak wyjaśnia nam jeden z pedagogów specjalnych, ekspert od autyzmu (która zdecydowała się wypowiadać anonimowo z powodu wrażliwości tematu), nie ma dwóch identycznych osób z autyzmem. Rodzaj zaburzeń i ich nasilenie jest bardzo indywidualne dla każdej dotkniętej nim osoby.

Brak mowy lub jej opóźniony rozwój, brak kontaktu wzrokowego, reakcja nieadekwatna do sytuacji, zbyt słabe lub zbyt silne okazywanie emocji, niechęć do kontaktu fizycznego, brak zrozumienia emocji i intencji innych ludzi, zaburzenia snu, zaburzenia odżywiania, agresja i autoagresja – to wszystko są objawy autyzmu.

Franciszek choruje na zespół Aspergera, co może oznaczać (ale nie musi), że niektóre z tych objawów nie pozostają w takim nasileniu jak w klasycznym autyzmie. Pewne jest natomiast to, że Franciszek cierpi na brak tolerancji na zmiany.

– Podstawową potrzebą każdego człowieka jest bezpieczeństwo, to nie podlega żadnej dyskusji. To właśnie stałość i brak zmian pozwalają dziecku z autyzmem zachować poczucie bezpieczeństwa. Każda, nawet najdrobniejsza zmiana może powodować u dziecka bardzo silny lęk skutkujący napadami agresji i autoagresji, często trudnej do opanowania. Lęk ten może być porównany z lękiem występującym w PTSD [syndrom stresu pourazowego] – wyjaśnia nam ekspertka. I dodaje: – Agresję może wywołać inny rodzaj ubrania, wędliny na kanapce czy zamknięcie ulicy, którą jedzie do szkoły lub brak prądu. W trakcie terapii i edukacji niezwykle ważne jest zapewnienie dziecku stałości – osób, które z nim pracują, miejsca, czasu itp. Dopiero terapia pomaga uczyć się tolerować zmiany, ale jest to proces długotrwały i nie zawsze kończy się sukcesem.

Co w takim przypadku dla dziecka z autyzmem oznacza nagłe odejście rodzica?

–Dla dziecka z autyzmem w szczególności rodzice są całym jego światem. Dziecku, które rozwija się typowo, można próbować to wytłumaczyć. Dziecko z autyzmem, mające kłopoty z rozumieniem mowy, nie jest w stanie zrozumieć takiego tłumaczenia. Dla niego rodzic znika w niewytłumaczalny sposób i jego świat się rozpada. Skoro drobna zmiana typu inny rodzaj pieczywa czy kolor kubka potrafi doprowadzić do napadu agresji, to jaką traumą jest zniknięcie rodzica, zwłaszcza na długi czas?

Jak wyjaśnia nam ekspertka, taka sytuacja może mieć poważne konsekwencje dla funkcjonowania dziecka. Może ono odmówić jedzenia, picia, spania i innych czynności. Mogą występować zachowania agresywne i autoagresywne skutkujące poważnymi obrażeniami ciała dziecka lub innych osób. Po powrocie rodzica może się ujawnić bardzo silny lęk separacyjny uniemożliwiający normalne funkcjonowanie rodziny. Jednak najpoważniejszą konsekwencją jest regres funkcjonowania.

– Dziecko może utracić wszystkie wyuczone z takim trudem umiejętności – mowę, komunikację, samoobsługę, chęć nawiązywania i podtrzymywania kontaktu z innymi ludźmi. Może być tak, że nigdy nie odzyska tych umiejętności. I nie dość, że lata długiej i często kosztownej terapii oraz wysiłek wielu ludzi oraz samego dziecka idą na marne, to przede wszystkim jakość dalszego życia tego dziecka będzie znacząco gorsza, niż mogłaby być – konkluduje ekspertka.

Mecenas Wąsowski złożył zażalenie w sprawie Anny W. i jest możliwe, że sąd w Katowicach mógłby wkrótce podjąć decyzję o jej uwolnieniu. Ale w chwili pisania tych słów jeszcze ona nie zapadła.

Są jednak tacy, którzy twierdzą, że przetrzymywanie Anny W. w areszcie, podczas gdy dziecko jej potrzebuje, jest metodą wywierania na nią presji podobnej do tych, z jakich korzystały kiedyś służby komunistyczne. Nawet jeśli to nieprawda, nie ma wątpliwości, że w tym przypadku koalicja 13 grudnia osiągnęła nowe dno. Czy polska opinia publiczna na to zareaguje?

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Człowiek, który był obojętny

Politycy i media przedstawiający Mariana Turskiego jako autorytet moralny okłamują opinię publiczną. Postać Turskiego jest ważna z tego powodu, że był ofiarą i świadkiem Holokaustu. Ale cały jego pozostały życiorys nie mieści się w definicji autorytetu. Jego wybory życiowe były złe i nie mogą być wzorem do naśladowania dla obywateli niepodległego i demokratycznego kraju

PIOTR GURSZTYN

Marian Turski został pożegnany nadzwyczaj uroczyście. Na jego pogrzebie był obecny prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier, czołowi politycy obozu rządowego oraz wielu celebrytów, dziennikarzy i aktorów.

O zmarłym wypowiedziano wiele podniosłych słów.

„Tak bardzo nam trzeba autorytetów prawdziwych, nienachlanych" – mówił o nim prezydent Warszawy i kandydat w wyborach prezydenckich Rafał Trzaskowski. Na swoim profilu w mediach społecznościowych pisał o Turskim: „Przypominał, żeby nie być obojętnym. Nie będziemy. Obiecuję to panu".

Obecna także marszałek Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska napisała: „Panie Profesorze, nie będziemy obojętni", nawiązując do zdania, które Turski często wypowiadał, nazywając je 11. przykazaniem: „Nie bądź obojętny".

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia pisał w podobnym uroczystym tonie: „Dawał świadectwo do końca. Słuchać go to był zaszczyt, ale też zobowiązanie".

Dodajmy jeszcze słowa ministra sprawiedliwości Adama Bodnara ze spotkania wspomnieniowego poświęconego zmarłemu: „Marian Turski był naszym nauczycielem, mentorem, przewodnikiem".

Nawet Kancelaria Prezydenta Andrzeja Dudy wydała komunikaty z treścią wykraczającą poza normę, która powinna obowiązywać w przypadku tego typu kondolencji.

HONORY Z RÓŻNĄ MIARĄ

Problem w tym, że wszystkie te wyrazy hołdu nie są oparte na prawdzie. Zmarłemu należy się szacunek, współczucie z powodu strasznych przeżyć w czasie II wojny światowej, ale nie hołdy, na które nie zasłużył. Nawet drobny fakt, czyli tytułowanie go profesorem, jest czymś pomiędzy kłamstwem a groteską.

Pod względem formalnym Marian Turski miał słabe wykształcenie. Ukończył jedynie dwuletni kurs w Szkole Partyjnej przy KC PZPR oraz zaoczne studia historyczne w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR. Obie instytucje służyły kształceniu członków centralnego aparatu partii komunistycznej i nie były normalnymi placówkami naukowymi. Zwłaszcza takimi, których ukończeniem można się chlubić.

Przypomina się sytuacja z pogrzebem Wojciecha Jaruzelskiego w maju 2014 r. Komunistyczny generał i dyktator był żegnany przez cały ówczesny rząd oraz wiele znanych osobistości łącznie z aktorami i profesorami. Prezydent RP Bronisław Komorowski żegnał człowieka współodpowiedzialnego za zbrodnie i zniewo-

Fot. M. Czutko

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

lenie Polski słowami: „Wojciechu! Żołnierzu! Żegnamy żołnierza, który służył Polsce taką, jaką była, nie odmawiając ani poświęcenia, ani krwi. Żegnamy dowódcę, który troszczył się o Wojsko Polskie, o swoich żołnierzy, aby zdolni byli zapewnić nam bezpieczeństwo i godnie kontynuować tradycje polskiej armii".

Oddawanie hołdu postaciom budzącym, eufemistycznie rzecz ujmując, kontrowersje wywoływało spory. Obrońcy tak uroczystego pożegnania Jaruzelskiego tłumaczyli to wyrównaniem sporów przez majestat śmierci. Ten argument wybrzmiewał także w przypadku Turskiego jako reakcja na krytyczne komentarze pod adresem zmarłego, które pojawiały się w mediach społecznościowych.

Problem w tym, że liberalno-lewicowa Polska stosuje tę miarę tylko wobec zmarłych, których to ona uznała za godnych szacunku. Praktyczny przykład tego mechanizmu widzieliśmy w lutym 2019 r., gdy żegnano byłego premiera Jana Olszewskiego. On nie doczekał ze wspomnianej strony honorów takich jak Jaruzelski czy teraz Turski. Ówczesna opozycja gremialnie zbojkotowała pogrzeb Olszewskiego. Wyjątkiem były trzy osoby, w tym dwie obecne z urzędu. Mowa o wicemarszałkach Sejmu i Senatu Małgorzacie Kidawie-Błońskiej i Bogdanie Borusewiczu oraz Jerzym Buzku. Nie było innych byłych prezydentów i premierów, którzy oddawali hołdy Jaruzelskiemu, ani liderów partyjnych spoza prawicy.

Olszewski był warszawiakiem z krwi i kości – inaczej niż Turski, który w Warszawie zamieszkał w dorosłym życiu – ale na jego pogrzebie nie przemawiał ówczesny prezydent miasta stołecznego, czyli Rafał Trzaskowski. Pytani później o tę nieobecność ludzie tacy jak Leszek Miller i inni tłumaczyli, że nie dotarły do nich zaproszenia z kancelarii premiera. Jest oczywiste, że była to wymówka. Portal Wirtualna Polska przepytał wtedy wielu nieobecnych o powody zlekceważenia pogrzebu. Wszystkie odpowiedzi były wykrętne, a anonimowy polityk Platformy Obywatelskiej tłumaczył nieobecność Donalda Tuska tym, że nie można sobie wyobrażać, aby ówczesny przewodniczący Rady Europejskiej stał „wśród pisowskiej wierchuszki".

Jest jasne, że gremialna nieobecność na pogrzebie Jana Olszewskiego była małostkowym odwetem za jego działalność polityczną po 1989 r. Oczywiście nikt nie miał obowiązku zgadzać się z jego działaniami politycznymi, ale nikt nie miał też prawa zignorować jego nadzwyczaj licznych zasług w kilkudziesięcioletniej walce o wolność kraju.

Były premier Jan Olszewski nie doczekał się od liberalno-lewicowej Polski takich honorów jak kiedyś Wojciech Jaruzelski czy teraz Marian Turski

Fot. Fratria

DWA ŻYCIORYSY

Zaskakujący traf sprawił, że istnieje wiele punktów stycznych w życiorysach Turskiego i Olszewskiego. Widać dwie równoległe drogi życiowe, z tą zasadniczą różnicą, że Olszewski wybrał dobrą. Działał na rzecz wolności Polski, jej niepodległości i demokracji. Turski wręcz przeciwnie.

Biografie tych dwóch postaci – honorowanego Turskiego i zlekceważonego Olszewskiego – splotły się w przynajmniej dwóch zasadniczych dla Polski momentach.

Urodzili się w podobnej epoce – Turski (jako Mosze Turbowicz) w 1926 r., Olszewski cztery lata później. Turski dorastał w Łodzi, Olszewski na warszawskiej Pradze. W czasie wojny Olszewski był zawiszakiem, czyli należał do części Szarych Szeregów skupiającej najmłodszych harcerzy. W tym czasie życie Turbowicza-Turskiego z oczywistych powodów było znacznie trudniejsze. On i jego rodzina znaleźli się w łódzkim getcie. Funkcjonowało ono stosunkowo długo, bo aż do 1944 r. Wtedy rodzina Turbowiczów została wywieziona do obozów zagłady. Zginęli ojciec i brat Turskiego, matce udało się przeżyć. 19-letni Mosze przeszedł kilka obozów, a także szedł w marszu śmierci.

W przypadku wielu Żydów zaangażowanych w instalowanie komunizmu w Polsce ich udział w tych zbrodniczych działaniach tłumaczy się traumą, jaką był Holokaust. To tłumaczenie nie pasuje jednak do Turskiego. Po pierwsze, z komunistami związał się jeszcze jako bardzo młody człowiek w getcie łódzkim, na długo przed wywózką do Auschwitz. Po drugie, został wyzwolony w Terezinie w Czechosłowacji, skąd miał możliwość, wzorem tysięcy innych Żydów, którzy ocaleli z Zagłady, wyjechać do Palestyny lub na Zachód.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Jest też trzecia wskazówka. Bardzo szybko po wyzwoleniu Turski wrócił do Polski i od razu wstąpił do komunistycznego Związku Walki Młodych, pełniąc w nim funkcje kierownicze. Zapisanie się w wieku 19 lat do PPR musiało być świadomą decyzją, a konsekwencją okazała się szybka ścieżka partyjnego awansu.

Lista jego partyjnych funkcji, godności i zaszczytów z lat 40. XX w. jest długa i nie świadczy o przypadkowym uwikłaniu w komunizm nieuświadomionego młodego człowieka. Wręcz przeciwnie, musiał być bardzo zaufanym towarzyszem, skoro w wieku 20 lat dostał pracę w Wojewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli cenzurze.

Wyrazem tego, że znalazł się w rdzeniu Polskiej Partii Robotniczej, były dwa fakty: w 1946 r. został przewodniczącym komisji wyborczej w osławionym referendum „Trzy razy tak", a w roku następnym pełnomocnikiem swojej partii w wyborach do Sejmu Ustawodawczego. W obu przypadkach oznaczało to udział w fałszowaniu tych głosowań, co było ważnym etapem w zniewalaniu powojennej Polski. Tu splatają się życiorysy Turskiego i Olszewskiego.

Nastoletni wówczas Jan należał do organizacji młodzieżowej mikołajczykowskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Brał udział w obu kampaniach wyborczych, co było wtedy bardzo ryzykowną działalnością, bowiem partyjni towarzysze Turskiego zamordowali wielu działaczy PSL, a jeszcze więcej bito, więziono i poddano innym represjom.

W najgorszych latach stalinizmu Turski był zaangażowanym funkcyjnym członkiem partii komunistycznej, w tym starszym instruktorem w wydziale propagandy KC PZPR. Po 1956 r. nie dotknęła go destalinizacja. Przeciwnie, dalej płynął na fali, czego pośrednią ofiarą był Jan Olszewski.

W czasie odwilży przyszły mecenas, wtedy świeży absolwent prawa, został członkiem redakcji legendarnego tygodnika „Po prostu". Zasłynął z tego, że był współautorem artykułu „Na spotkanie ludziom z AK", czyli bardzo głośnego manifestu w sprawie naprawienia krzywd, których doznali żołnierze Armii Krajowej od władzy komunistycznej. Wiele tekstów Olszewskiego piętnujących ówczesne patologie doprowadziło do tego, że już w 1957 r. otrzymał on zakaz publikacji. Wtedy postanowił zostać adwokatem oraz konsekwentnie angażował się w różne działania opozycyjne.

I znów splotły się dwa życiorysy. Tygodnik „Po prostu" został zlikwidowany przez władze komunistyczne jako nieprawomyślny. W jego miejsce KC PZPR powołał tygodnik „Polityka". Marian Turski został w nim publicystą i szefem działu historycznego. Od tego momentu nie był tak mocno zaangażowany w życie partyjne, ale też nic nie wiadomo, aby postępował zgodnie z głoszonym przez siebie „przykazaniem", aby nie być obojętnym. Chlubił się tym, że podczas pobytu w USA wziął udział w marszu, który w 1965 r. zwołał Martin Luther King w proteście przeciw segregacji rasowej. Ale jednocześnie nie chciał widzieć nieszczęść ludzi prześladowanych przez komunizm.

> Marian Turski chlubił się tym, że podczas pobytu w USA wziął udział w marszu, który w 1965 r. zorganizował Martin Luther King w proteście przeciw segregacji rasowej. Ale jednocześnie nie chciał widzieć nieszczęść ludzi prześladowanych przez komunizm

Inaczej niż Olszewski. Ten bowiem w roli adwokata pomagał ludziom prześladowanym przez reżim, którego częścią był Turski. Olszewski był obrońcą m.in. Melchiora Wańkowicza, Jacka Kuronia, Karola Modzelewskiego, Adama Michnika (nieobecnego w czasie jego pogrzebu), studentów z protestów w marcu 1968 r. Nie była to bezpieczna działalność, bo z tego powodu na pewien czas stracił prawo wykonywania zawodu obrońcy sądowego. Do tego dochodzi bardzo długa lista działań w opozycji antykomunistycznej aż do 1989 r. (w tym współtworzenie KOR, NSZZ „Solidarność", udział w procesie morderców ks. Jerzego Popiełuszki). Życiorys Turskiego z tego czasu to wygodne funkcjonowanie w oficjalnym periodyku PZPR. Kontrast jest uderzający.

PAMIĘĆ POLSKIEGO LIB-LEFTU

Dlaczego zatem liberałowie wynieśli Mariana Turskiego na piedestał? Na pewno chcieli mieć po swojej stronie osobę, która należy do onieśmielającej w skali całego świata kategorii Holocaust survivor. Jest też inny powód. Liberałowie i lewica programowo lekceważą historię. Co jakiś czas jednak dociera do nich, że jest to ważne. Trwa wtedy gorączkowe kreowanie autorytetów z przeszłości. Taką rolę odegrała np. Henryka Krzywonos. Warto zwrócić uwagę, że było o niej głośno przez wiele lat, a dzisiaj właściwie nikt się nią interesuje. To pokazuje instrumentalny i doraźny charakter tego typu wzmożeń.

Pamięć polskiego lib-leftu o swoich zmarłych jest krótka, zatem tu też może się okazać, że patetyczne wypowiedzi o zmarłym były jedynie górnolotnym pustosłowiem na potrzeby bieżącej polityki, a nie wyrazem szczerego żalu po człowieku, który odszedł.

Na koniec trzeba też zwrócić uwagę na jeszcze jedno zjawisko, które ma związek z opisywanym przypadkiem. Od pewnego czasu widać kolejne próby rehabilitowania Komunistycznej Partii Polski. Zmiany jej historycznej oceny. To ważna sprawa dla wielu wpływowych dzisiaj ludzi ze względu na ich korzenie rodzinne. „Nie możemy na komunistów patrzeć wyłącznie w kategoriach sowieckiej agentury" – przekonywał niedawno znany polski historyk, dodając, że członkowie KPP „zachowywali szlachetność intencji, bezwzględnie potępiali kapitalizm, wyzysk, wierzyli w mit, w możliwość stworzenia ustroju powszechnej równości i bez nędzy". Następuje relatywizacja komunizmu oraz jego zbrodni i postrzeganie tego jako czegoś, co można wytłumaczyć i usprawiedliwić. Dodatkowo wielu działaczy KPP później było członkami PPR i instalowało władzę komunistyczną w naszym kraju. Są zatem hurtowo rozgrzeszani – i za KPP, i za PPR.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Pociąg z Warszawy nie dojedzie do Budapesztu

Relacje między rządami Polski i Węgier są obecnie bardzo trudne. Nie jest to jednak prawdą w odniesieniu do relacji pomiędzy ludźmi, studentami, naukowcami z obu państw

Jacek Karnowski rozmawia z Jánosem Bóką, węgierskim ministrem do spraw Unii Europejskiej

Wizyty na poziomie ministerialnym w stosunkach polsko-węgierskich to dziś raczej rzadki widok. Co więc sprowadza pana do Polski?

János Bóka: Uczestniczyłem w nieformalnym spotkaniu Rady Europejskiej, w którym brali udział ministrowie zajmujący się sprawami unijnymi. To wydarzenie związane z polską prezydencją w Unii Europejskiej. Tematem rozmów były ramy finansowe na kolejne siedem lat, walka z dezinformacją, także w przestrzeni cyfrowej, oraz bieżąca agenda.

Było to więc spotkanie ogólne. Dwustronne relacje polsko-węgierskie są obecnie właściwie zamrożone. Nie ma żadnych spotkań, ale może jakieś rozmowy toczą się za kulisami?

Rzeczywiście, relacje między rządami Polski i Węgier są obecnie bardzo trudne. Nie jest to jednak prawdą w odniesieniu do relacji pomiędzy ludźmi, studentami, naukowcami z obu państw. Stosunki między rządami

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

zawsze mają swoje górki i dołki. Ale to minie, o czym przekonuje nas spojrzenie na historię, bogatą tradycję stosunków polsko-węgierskich.

Obecny polski rząd nie ukrywał złości, gdy Budapeszt przyznał azyl polityczny Marcinowi Romanowskiego, byłemu wiceministrowi sprawiedliwości. Jak pan ocenia tę sprawę teraz, gdy widzimy również jej reperkusje?

Miałem okazję spotkać się z Marcinem Romanowskim w Budapeszcie, współpracowałem z nim też wcześniej, gdy pełnił swoją funkcję w Ministerstwie Sprawiedliwości. Historia, którą mi opowiedział, bardzo mnie zaniepokoiła. Oczywiście nie mam kompetencji, by oceniać trwające postępowanie kryminalne i jego istotę. Jedyna sprawa, którą oceniał węgierski rząd, dotyczy tego, czy istnieje realna możliwość, że w czasie procesu Romanowski nie będzie traktowany uczciwie, neutralnie. Patrząc na tę konkretną sprawę, uważam, że te obawy mają solidną podstawę.

Problem polega na tym, że polski rząd zareagował mocno, bardzo emocjonalnie. Wiemy też, że obecne władze w Polsce nie stosują podstawowych zasad rządów prawa. Ale co ciekawe, również obecna węgierska opozycja snuje podobną opowieść, zapowiadając działania poza prawem, poza konstytucją. Jest to więc wyraźny wzór. Globalistyczne, liberalne partie, które walczą z siłami patriotycznymi, otwarcie lekceważą rządy prawa.

W mojej ocenie sytuacja jest całkiem prosta i każdy może ją dostrzec. Scenariusz realizowany obecnie w Polsce to ten sam plan, który ma być realizowany również na Węgrzech.

Tak, wielu to przeczuwa.

Koncepcja polega na tym, że Bruksela, czy też Europejska Partia Ludowa, wybiera kogoś, o kim sądzi, że pasuje do założonych celów. Potem, by wynieść taką osobę do władzy, wywiera się na niewygodne rządy presję – prawną, finansową, polityczną, administracyjną. Wszystko po to, by ułatwić własnemu kandydatowi dojście do władzy. Gdy się to uda, nowe przywództwo dostaje od Brukseli wolną rękę i może robić z opozycją polityczną, co tylko zechce. W zamian musi jedynie realizować podsuwane mu sugestie, rezygnować z kolejnych kawałków suwerenności. Bruksela dysponuje czekiem in blanco, którego w każdej chwili może użyć. Widzimy to w Polsce i proszę mi wierzyć, nie chcemy tego widzieć na Węgrzech.

Warto też zauważyć, że w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości Bruksela interweniowała nawet w małych sprawach, pilnie śledziła nawet drobne posunięcia rządu, analizowała każdą ustawę. Teraz, gdy obecny gabinet otwarcie mówi, że nie będzie przestrzegał prawa, Bruksela milczy. To wręcz szokujące.

Jeśli ktoś ma złudzenia dotyczące podejścia Brukseli do rządów prawa, to powinien się ich pozbyć. Gdy patrzę na to, co się dzieje w Polsce, gdy widzę, że obecny rząd błyskawicznie otrzymał dostęp do unijnych funduszy, a jednocześnie Komisja Europejska milczy na temat wydarzeń w waszym kraju, gdy wiem, jak uważnie obserwuje się Węgry, analizując to, co robimy, i to, czego nie robimy, mogę stwierdzić tylko jedno: nikt nie może powiedzieć, że to obiektywny, neutralny, niezaangażowany proces oceny. Nie możemy mieć w tej sprawie żadnych złudzeń.

To wszystko jest puste, stanowi jedynie polityczne narzędzie wywierania presji.

Nie mam żadnych wątpliwości, że chodzi jedynie o presję polityczną i ideologiczną.

Lewicowo-liberalne media w Polsce uważnie śledzą wydarzenia na Węgrzech, zwłaszcza teraz, gdy widzą szansę na obalenie rządu premiera Victora Orbána. Sądzą, że Péter Magyar, założyciel partii TISZA, wygra, powielając sukces Donalda Tuska. Sądzi pan, że te sytuacje rzeczywiście są podobne? Czy z Warszawy do Budapesztu jedzie pociąg zmiany?

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Fot. Andrzej Wiktor

Jeśli mogę się odnieść do metafory pociągu, który rzekomo jedzie z Warszawy do Budapesztu... Z pewnością opuścił Warszawę, ale nigdy nie dotrze do Budapesztu. Scenariusz rzeczywiście jest ten sam. Wybrali kogoś, kto pasuje im do roli premiera, chce współpracować, realizując brukselską listę życzeń, rezygnując z fragmentów suwerenności. Teraz rzucają wszystkie zasoby, by mu pomóc, stawiają na niego wszystko, na każdym polu. Doświadczenie mówi mi jednak, że węgierscy wyborcy nie lubią, gdy ktoś z zewnątrz mówi im, na kogo mają głosować.

> W mojej ocenie sytuacja jest całkiem prosta i każdy może ją dostrzec. Scenariusz realizowany obecnie w Polsce to ten sam brukselski plan, który ma być realizowany również na Węgrzech

Widać jednak także tendencję węgierskich wyborców do rozglądania się za czymś nowym. Fidesz rządzi już przecież 15 lat. To naturalne zjawisko, które pracuje przeciwko pańskiemu rządowi.

Bycie nowym na scenie politycznej ma oczywiście swoje zalety, ale jednocześnie sądzę, że człowiek, na którego postawili, ostatecznie okaże się złym wyborem. Bycie nowym to jednak za mało. Trzeba pokazać, że reprezentuje się ludzi, umie się bronić suwerenności kraju, potrafi się zrealizować swoje obietnice. Ludzie muszą wiedzieć, że mogą na tobie polegać. W tym obszarze rząd węgierski ma konkretny dorobek.

Dla Polaków, dla których przyjaźń polsko-węgierska jest ważna, ostatnie trzy lata były bardzo trudne. Węgierska postawa wobec wojny na Ukrainie była postrzegana przez znaczną część opinii publicznej jako trudna do zrozumienia. Oto Rosja próbowała podbić niepodległy naród, a rząd Węgier stał po środku albo nawet zajmował jeszcze gorszą postawę. Co było tego powodem?

Zacznę odpowiedź w innym miejscu: Polskę i Węgry łączy głębokie strategiczne partnerstwo, które sięga głęboko wstecz. Dotyczy to także naszych narodów. Do tego nasze strategiczne interesy w Unii Europejskiej są bardzo bliskie niemal w każdej sprawie, począwszy od polityki spójności poprzez rolnictwo, energetykę, transport, migrację. Co ważne, w tych obszarach nadal jesteśmy sojusznikami. Możemy być najmocniejszym sojuszem w tych sprawach w całej Unii Europejskiej. A jeśli chodzi o wojnę na Ukrainie, to nasze stanowisko jest jasne. Wiemy, kto jest agresorem, wiemy, kto został zaatakowany i stoimy po stronie ukraińskiej suwerenności. Jest też w naszym interesie istnienie buforu pomiędzy nami a Rosją. To jest podstawa naszej strategii geopolitycznej. Różnice dotyczyły odpowiedzi na pytanie, czy nadszedł czas na przerwanie ognia i podjęcie sensownych rozmów pokojowych. Od samego początku uważamy, że ten konflikt nie zostanie rozwiązany na polu walki i że czas pracuje przeciwko nam. Trwająca wojna szkodzi nam, szkodzi Europie, jej gospodarce i strategicznym interesom. Ale jeśli chodzi o strategię geopolityczną, o moralny i prawny punkt widzenia, to nie ma między nami różnic.

Mamy nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych – Donalda Trumpa. Jego zastępca J.D. Vance wygłosił bardzo głośne przemówienie w Monachium skierowane do europejskich elit. W krajach Unii także rośnie niezadowolenie, poparcie zyskują partie prawicowe. Czy ta zmiana nastrojów może przynieść nową Europę? Mniej biurokratyczną, mniej autorytarną, słuchającą ludzi, odwołującą się do zdrowego rozsądku, mniej ideologiczną? To marzenie pojawia się już od dekad, ożywa przed każdymi

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

wyborami do Parlamentu Europejskiego. Ale zawsze się okazuje, że czołg nie został zatrzymany.

Europa desperacko potrzebuje zmiany. Widzimy to już co najmniej od 10 lat. Zwycięstwo Trumpa jest dobrą wiadomością, bo zmienia ono myślenie wielu ludzi. Jeśli Unia Europejska się nie zmieni, stracimy szansę na pozostanie globalnym graczem. Unia zawiodła w zakresie konkurencyjności gospodarczej, w sferze migracji, w obszarze rolnictwa. Nie będzie realnej zmiany polityki bez nowych liderów, nowych sił politycznych. Potrzebujemy odnowienia sojuszu pomiędzy Unią Europejską i mieszkańcami Europy. Teraz pojawia się szansa, musimy ją wykorzystać.

Toczy się dyskusja w sprawie wysłania europejskich żołnierzy na Ukrainę. Polska opinia publiczna jest przeciw, więc nasz kraj na pewno nie wyśle wojska przed wyborami prezydenckimi. Jakie jest węgierskie spojrzenie na tę sprawę i jak może wyglądać techniczna strona pokoju? Istnieje obawa, że będzie to jedynie czasowe zawieszenie broni. Jak to rozwiązać?

W sprawie wysłania żołnierzy na Ukrainę od początku podkreślamy, że chcemy pozostać poza tym konfliktem tak bardzo, jak to możliwe. Pomogliśmy Ukrainie na wiele sposobów, w sferze humanitarnej przyjmując uchodźców, a także w dziedzinie energetyki, ale nigdy nie pomagaliśmy jej militarnie. Bardzo nas za to krytykowano, ale z naszej perspektywy był to właściwy wybór i nie widzę powodu, by teraz zmieniać naszą politykę. To była mądra decyzja. Jeśli chodzi o sprawę pokoju: od początku mówimy, że najważniejsze jest zawieszenie ognia tak szybko, jak to możliwe. Będzie tymczasowe, ale tylko ono umożliwia poważne rozmowy prowadzące do trwałego pokoju. Szkoda, że Unia Europejska zmarnowała okazję do włączenia się w ten proces i obawiam się, że nie odegra już ważnej roli na tym etapie.

Europejscy liderzy wyglądają na mocno sfrustrowanych, niezdolnych do działania.

To smutne, gdy patrzymy na przywódców historycznych kiedyś wielkich narodów siedzących przy okrągłym stole i zasmuconych faktem, że nie zaproszono ich do innego stołu, gdzie wszystko się rozstrzyga. Ale dziś nie możemy z tym już wiele zrobić, błędy popełniono wcześniej, teraz nie pomogą już nowe pomysły. Trzeba poczekać na konkretne uzgodnienia i później się do nich odnieść, próbując wrócić do gry jako Unia Europejska. Wspólnota potrzebuje strategicznej autonomii, ale nie osiągnie tego celu, jeśli nie określi własnych celów strategicznych i nie będzie miała narzędzi do ich realizacji. Opóźnienie w tej sferze sięga już dekad. Oczywiście lepiej późno niż wcale. Zacznijmy od budowy europejskiej bazy przemysłu obronnego. Pytanie, czy przywódcy Unii Europejskiej to rozumieją. Wątpię.

> Gdy chodzi o pakt migracyjny, nasza pozycja jest jasna: po prostu go nie wdrożymy. I kary niczego nie zmienią w naszej sytuacji, bo już jesteśmy karani, np. za utrzymywanie ostrego reżimu na południowej granicy UE. Najpierw była kara 200 mln euro, teraz dodatkowa w wysokości 1 mln euro dziennie

Wiemy, że pakt migracyjny został przyjęty. Obowiązuje w sensie prawnym. W Polsce pojawiają się sugestie, że pierwsze transporty migrantów przybędą do nas w połowie przyszłego roku. W naszym kraju po stronie niepodległościowej wciąż szukamy sposobu na zablokowanie tego paktu. Co zrobi pański kraj, gdy takie transporty ktoś zechce przysłać na Węgry? Gdy imigranci z Lampedusy zjawią się u węgierskich granic?

Gdy chodzi o pakt migracyjny, nasza pozycja jest jasna: po prostu go nie wdrożymy.

To zostaniecie ukarani.

Już jesteśmy karani, więc to nie zmieni naszej sytuacji. Otrzymujemy kary za utrzymywanie ostrego reżimu na południowej granicy Unii Europejskiej. Najpierw była kara 200 mln euro, teraz dodatkowa w wysokości 1 mln euro dziennie. Mimo to nie wdrożymy paktu i nadal będziemy strzegli południowej granicy UE. Liczba nielegalnych imigrantów przekraczających nasze granice wynosi dokładnie zero. A skoro tak, to my sami nie przyjmujemy żadnych nielegalnych migrantów z innych krajów. Oczekujemy, że Unia skupi się na realnych, innowacyjnych rozwiązaniach. Mam na myśli centra imigracyjne poza granicami UE. To pozwoliłoby wpuszczać na teren Unii tylko tych, którzy dostaną pozwolenie. Bez tego unijna polityka migracyjna nigdy nie zacznie działać. Pakt migracyjny nie jest rozwiązaniem, on jest częścią problemu.

Czy jeśli zaczną wam wysyłać migrantów, to po prostu zatrzymacie ich na granicy?

Tak. Nie możemy też przyjmować „zwrotów", bo, jak mówię, nielegalni imigranci nie przekraczają naszych granic.

Sprawa dotyczy nie tylko „zwrotów", ale i dystrybucji migrantów.

Jesteśmy przeciwni temu systemowi, ponieważ opiera się on na fałszywych założeniach, że redystrybucja oznacza jakiś rodzaj solidarności, a obrona wspólnych granic nie jest solidarnością. Uważamy inaczej. Skutecznie chronimy granice i zachęcamy wszystkich innych, by czynili podobnie. Wówczas nikt nie będzie potrzebował planu relokacji imigrantów.

Rozszerzona wersja wywiadu ukazała się na portalu wPolityce.pl. Polecamy!

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Jaki będzie następny pontyfikat?

Kłopoty zdrowotne Franciszka sprawiły, że w światowych mediach rozgorzała dyskusja o tym, kto może zostać jego następcą. Ważniejsze jest jednak pytanie, jakiego pontyfikatu potrzebuje Kościół

GRZEGORZ GÓRNY

Każdy trwający dłużej pobyt papieża w szpitalu uruchamia serię analiz, domysłów i rozważań na temat jego ewentualnego następcy. Nie inaczej jest w przypadku 88-letniego Franciszka, który 14 lutego trafił do kliniki Gemelli w Rzymie.

Medialne spekulacje podsyciła jego wypowiedź, natychmiast podchwycona przez dziennikarzy, że ma przekonanie, iż tym razem nie przeżyje choroby. W tej sytuacji nic dziwnego, że w środowisku watykanistów ruszyła karuzela z nazwiskami potencjalnych kandydatów do tronu Piotrowego.

JEST ICH CORAZ WIĘCEJ, ZNAJĄ SIĘ CORAZ SŁABIEJ

Dla licznych komentatorów głównym punktem odniesienia stał się portal The College of Cardinals Report założony niedawno przez dwójkę cenionych publicystów religijnych ze Stanów Zjednoczonych: Edwarda Pentina i Dianę Montagnę. Doszli oni do (słusznego skądinąd) wniosku, że członkowie kolegium kardynalskiego nie znają się nawzajem, podobnie jak swoich poglądów, ponieważ Franciszek przez wiele lat nie zwoływał tajnych konsystorzy, czyli zamkniętych zebrań przeznaczonych jedynie dla purpuratów z całego świata.

Jak zauważa włoski publicysta Stefano Chiappalone: „Jest ich coraz więcej i znają się coraz słabiej: to poważny problem dla kardynałów, którzy prędzej

Fot. Marco Iacobucci Epp/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

czy później będą musieli wybrać kolejnego papieża, nie znając się wzajemnie (w tym tego, który zostanie wybrany). To paradoks w epoce sieci, która oferuje nieskończoną liczbę wiadomości, ale której brakuje decydujących elementów pozwalających uchwycić duchowość, ortodoksję (lub heterodoksję!) i zdolność rządzenia człowieka, któremu pewnego dnia zostaną powierzone klucze Piotrowe".

Idea stojąca za utworzeniem The College of Cardinals Report nie jest nowa. W połowie XVI stulecia w Rzymie pojawiały się ogłoszenia publiczne będące prekursorami dzisiejszych gazet, które podawały różne szczegóły na temat głównych kandydatów podczas konklawe. Materiały te często opierały się jednak na plotkach, a nie sprawdzonych informacjach. W późniejszych wiekach dyplomaci i rzymscy pisarze sporządzali bardziej wiarygodne biografie purpuratów, by następnie rozpowszechniać je wśród wszystkich zainteresowanych stron. Do tych ostatnich należeli nie tylko kardynałowie, lecz także świeccy władcy, którzy niekiedy ośmielali się robić pożytek z owych doniesień.

Najbardziej znanym przypadkiem takiej interwencji w przebieg konklawe było weto cesarza Franciszka Józefa w 1903 r... Głównym faworytem do objęcia tronu Piotrowego był wówczas kard. Mariano Rampolla, jego wybór został jednak zablokowany przez dwór w Wiedniu. Austro-Węgry były bowiem jednym z trzech krajów katolickich, którym przysługiwało *ius exclusivae*, czyli prawo weta wobec kandydata na papieża. W imieniu Habsburgów głos na konklawe zabrał metropolita krakowski kard. Jan Puzyna, który ogłosił zebranym dostojnikom wolę cesarza, nieżyczącego sobie, by kard. Rampolla zasiadł na tronie Piotrowym. W rezultacie papieżem został patriarcha Wenecji Giuseppe Sarto, który przyjął imię Piusa X. O zablokowaniu kandydatury byłego sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej przesądziła jego polityka profrancuska, a także pogłoski o rzekomej przynależności do masonerii.

LINIA PODZIAŁU: DZIEDZICTWO FRANCISZKA

Dziś problemem nie jest ingerencja władz świeckich w proces wyboru papieża, lecz brak wiedzy purpuratów o sobie nawzajem. Aż 110 ze 138 członków kolegium kardynalskiego zostało wybranych przez Franciszka na podstawie kryteriów, które znane są tylko jemu. Czerwonego biretu nie otrzymało bowiem wielu biskupów pochodzących z miast tradycyjnie uważanych za „stolice kardynalskie", takich jak Paryż, Berlin, Los Angeles, Sydney, Mediolan, Wenecja, Genua, Zagrzeb, Dublin, Edynburg, Seul czy Kraków, dostali go natomiast dostojnicy z peryferyjnych diecezji, liczących niekiedy zaledwie kilkanaście parafii.

> Wśród członków kolegium kardynalskiego, którzy będą decydować o wyborze kolejnego następcy św. Piotra, znajduje się czterech polskich hierarchów: emerytowany metropolita warszawski Kazimierz Nycz, ordynariusz łódzki Grzegorz Ryś oraz Stanisław Ryłko i Konrad Krajewski, którzy urzędują w Watykanie

Diane Montagna mówi, że celem portalu jest „stworzenie profesjonalnego, atrakcyjnego i łatwego w użyciu źródła informacji dla kardynałów". Nowe medium analizuje bowiem duchowość, doktrynę i umiejętności zarządzania obecnych purpuratów. Dzięki niemu można poznać ich poglądy teologiczne, doświadczenie na kluczowych stanowiskach czy odbiór publiczny. Redaktorzy portalu szczególnie uwzględnili stosunek lustrowanych dostojników do najbardziej kontrowersyjnych kwestii we współczesnym Kościele, takich jak wyświęcanie kobiet na diakonisy, błogosławienie par homoseksualnych, zniesienie celibatu księży, ograniczenie odprawiania mszy w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego, tajne porozumienie Stolicy Apostolskiej z komunistycznym rządem Chin, promowanie synodalności w Kościele, ponowne odczytanie encykliki Pawła VI „Humanae vitae" (czyli stosunek do antykoncepcji), komunia dla osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach czy niemiecka droga synodalna.

Z przedstawionej analizy wynika, że nie ma jednego lub kilku zdecydowanych faworytów do objęcia Stolicy Apostolskiej. Watykaniści wskazują aż 22 papabili, czyli potencjalnych kandydatów mających szanse na zwycięstwo podczas najbliższego konklawe. W tym kontekście kluczowa jest odpowiedź na pytanie, czego będą oczekiwać członkowie kolegium kardynalskiego od przyszłego papieża: czy kontynuowania rewolucji teologicznej Franciszka, czy poważnego skorygowania jego kursu. W tej kwestii wśród najwyższych hierarchów Kościoła zarysowały się już bowiem poważne różnice zdań. Z jednej strony kardynałowie Pietro Parolin czy Juan José Omella zadeklarowali, że nie ma odwrotu od drogi wytyczonej przez Franciszka np. w sprawie synodalności, z drugiej natomiast tacy kardynałowie, jak Raymond Burke czy Gerhard Müller uważają synodalność za katastrofę dla Kościoła: pierwszy nazwał ją „puszką Pandory", drugi – próbą „wrogiego przejęcia Kościoła Jezusa Chrystusa".

Podobnie jest z innymi kontrowersyjnymi posunięciami Franciszka, które znajdują w kolegium kardynalskim zarówno gorących zwolenników, jak i zdecydowanych przeciwników. Do takich kwestii należą np. zezwolenie na błogosławienie przez księży par homoseksualnych (deklaracja „Fiducia supplicans"), uznanie innych religii na równi z chrześcijaństwem za wyraz woli Bożej (deklaracja z Abu Zabi) czy

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

zgoda na przystępowanie do komunii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach (na podstawie adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia"). Głównym kryterium wyboru następnego papieża będzie więc stosunek do dziedzictwa Franciszka: czy nowy zwierzchnik Kościoła ma być kontynuatorem linii teologicznej obecnego pontyfikatu, czy powinien dokonać korekty w duchu np. Jana Pawła II i Benedykta XVI.

TRZY STANOWISKA PAPABILI

Skoro zdecydowaną większość kolegium kardynalskiego stanowią nominaci Franciszka, mogło by się wydawać, że jego następca powinien być zwolennikiem kursu wytyczonego przez argentyńskiego papieża. Nie jest to jednak tak oczywiste. Z analizy przedstawionej przez The College of Cardinals Report wynika, że wśród papabili znajdują się zarówno zwolennicy linii Franciszka, jak i jej przeciwnicy. Do tych pierwszych zaliczani są tacy kardynałowie, jak Matteo Zuppi z Bolonii (przewodniczący episkopatu Włoch), Filipińczyk Luis Antonio Tagle (proprefekt Dykasterii ds. Ewangelizacji), Pietro Parolin (sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej), Portugalczyk José Tolentino Calaça de Mendonça (prefekt Dykasterii ds. Kultury i Edukacji), Szwajcar Kurt Koch (prefekt Dykasterii ds. Popierania Jedności Chrześcijan) oraz Stephen Brislin z Johannesburga w RPA.

Na przeciwległym biegunie sytuują się ci, którzy nie kryją swojego dystansu wobec reform Franciszka. Jedni z nich robią to otwarcie i ostentacyjnie, np. kardynałowie Gerhard Müller z Niemiec, Raymond Burke z USA czy Robert Sarah z Gwinei. Inni z kolei są bardziej dyskretni, nie wykazując zbytniego entuzjazmu wobec kontrowersyjnych pomysłów papieża, ale starając się nie krytykować ich publicznie, np. kardynałowie Daniel Sturla z Urugwaju, Mauro Piacenza z Włoch, Malcolm Ranjith ze Sri Lanki, Willem Jacobus Eijk z Holandii, Péter Erdő z Węgier czy pochodzący z Italii łaciński patriarcha Jerozolimy Pierbattista Pizzaballa.

Między nimi sytuuje się grupa dostojników, którą umownie można nazywać kandydatami centrum. Są do niej zaliczani kardynałowie: Fridolin Ambongo z Demokratycznej Republiki Konga, Anders Arborelius ze Szwecji, Charles Maung Bo z Mjanmy, Marc Ouellet z Kanady, Jean-Marc Aveline z Francji i Fernando Filoni z Włoch. Niektórzy uważają, że szanse ma również włoski purpurat Angelo Bagnasco, który co prawda skończył 82 lata, więc nie może brać udziału w konklawe, ale wydaje się postacią właściwą, gdyby elektorzy zdecydowali się wybrać „papieża przejściowego", starającego się pogodzić oba nurty w Kościele.

Wśród członków kolegium kardynalskiego, którzy będą decydować o wyborze kolejnego następcy św. Piotra, znajduje się także czterech polskich hierarchów: emerytowany metropolita warszawski Kazimierz Nycz, ordynariusz łódzki Grzegorz Ryś oraz Stanisław Ryłko i Konrad Krajewski, którzy urzędują w Watykanie. Nazwisko żadnego z nich nie pojawia się jednak wśród purpuratów typowanych jako faworyci na najbliższym konklawe.

KANDYDAT KOMPROMISOWY?

Oprócz zdania 22 wymienionych wyżej papabili decydujące znaczenie będzie miało stanowisko pozostałych 116 kardynałów elektorów. Kłopot polega na tym, że poglądy wielu z nich dotyczące różnych kontrowersyjnych kwestii w Kościele pozostają szerzej nieznane. Wynika to m.in. z faktu, że oni sami unikają wyraźnych deklaracji oraz udziału w publicznych debatach i polemikach.

Lojalność wobec papieża kończy się jednak z chwilą jego śmierci. Od tego momentu zaczyna się zupełnie nowy etap, w którym kluczowa staje się odpowiedź na pytanie, jaki powinien być kolejny pontyfikat.

Wielu komentatorów religijnych zauważa, że papież z Argentyny nie rozwiązał problemów, o których mówiono w chwili jego wyboru. Spodziewano się po nim, że dokona przede wszystkim oczyszczenia kurii rzymskiej oraz ukróci skandale obyczajowe wśród duchowieństwa. Reforma kurii sprowadziła się jednak do połączenia niektórych instytucji, przetasowań administracyjnych i personalnych oraz zmiany oficjalnych nazw, natomiast nie wyeliminowała patologii, o czym świadczy chociażby afera finansowa z kard. Becciu w roli głównej czy nominacja kardynała pornografa na strażnika doktryny Kościoła. Jeśli chodzi natomiast o patologie obyczajowe, to ochrona, jaką otrzymali w Watykanie bp Gustavo Zanchetta czy ks. Marko Rupnik kładzie się cieniem na obecnym pontyfikacie i podważa wiarygodność Stolicy Apostolskiej w walce z nadużyciami seksualnymi.

Większym problemem wydaje się jednak to, że za rządów Franciszka pogłębił się kryzys doktrynalny w Kościele. Wielu duchownych i świeckich boi się mówić o tym publicznie, by nie sprawiać wrażenia, że krytykują papieża i rozbijają jedność Kościoła, ale we własnych kręgach opowiadają o zamęcie, niepewności, chaosie i dezorientacji, które są związane z kolejnymi decyzjami Watykanu. Pod znakiem zapytania stoją jedność i powszechność wiary katolickiej, skoro Kościoły w różnych, nawet sąsiednich krajach prezentują odmienne, sprzeczne ze sobą stanowiska w kwestiach dotyczących m.in. łaski uświęcającej, grzechu ciężkiego czy nierozerwalności małżeństwa.

Dla wielu obserwatorów pontyfikat Franciszka nie stał się więc rozwiązaniem problemów, lecz ich częścią. Dlatego kontynuowanie obecnego kursu musi oznaczać nieuchronne narastanie kolejnych kłopotów. W tej sytuacji podstawowy instynkt samozachowawczy nakazywałby zejść z drogi prowadzącej do pogłębienia kryzysu. Na takiej właśnie podstawie część watykanistów opiera swe prognozy, że następny papież dokona odwrotu od „bergoglianizmu".

Możliwy jest też scenariusz, że wystarczającej liczby głosów elektorskich nie dostaną zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy rewolucji teologicznej Franciszka. Wówczas pojawi się konieczność wyłonienia kompromisowego kandydata, być może nawet spoza grona głównych pretendentów do tronu Piotrowego. Do analogicznej sytuacji doszło w październiku 1978 r., gdy żaden z dwóch włoskich purpuratów (Giuseppe Siri i Giovanni Benelli) nie zdołał zyskać dostatecznej liczby głosów. Wtedy otworzyła się droga do wyboru Karola Wojtyły.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Kijów gra z USA kartą własnych bogactw

Wynegocjowana umowa niczego nie przesądza. Projektowany Fundusz Rekonstrukcji może w ogóle nie zacząć działać albo okazać się tworem niemającym większego znaczenia. Może też przekształcić się w „superrząd" kontrolujący życie gospodarcze i odbudowę Ukrainy

MAREK BUDZISZ

Pomysł, aby Ukraina zaproponowała Stanom Zjednoczonym współpracę w zakresie wydobycia minerałów, pojawił się jesienią ub.r. podczas spotkania z republikańskimi senatorami wspierającymi Kijów. Administracja Zełenskiego od razu podchwyciła tę ideę, szukała bowiem narzędzi, aby związać znanego ze swego transakcyjnego podejścia do polityki Donalda Trumpa z Ukrainą. W efekcie w opublikowanym wówczas pięciopunktowym „planie zwycięstwa" znalazła się propozycja, aby amerykańskie firmy zaangażowały się eksploatację ukraińskich bogactw naturalnych. Warto pamiętać, że inny punkt tego planu mówił o współpracy wojskowej i zastąpieniu Amerykanów w Europie przez siły ukraińskie w związku z deklaracjami przedstawicieli nowej administracji o konieczności koncentracji Stanów Zjednoczonych na rejonie Indo-Pacyfiku.

Tego rodzaju ruch wydawał się niezbędny, bo w czasie amerykańskiej kampanii prezydenckiej Zełenski popełnił fatalny błąd, który mógł kosztować Ukrainę utratę poparcia nowej administracji. Mowa o wizycie w fabryce amunicji w Scranton w Pensylwanii w towarzystwie gubernatora Josha Shapiro. Sztab wyborczy Trumpa zareagował na to wrogo, odwołał spotkanie z ukraińskim prezydentem, które potem, po mediacjach doszło do skutku, ale na stare urazy nałożyły się nowe. Reakcja republikanów wynikała z faktu, że Scranton to rodzinne miasto Joe Bidena, Shapiro był gubernatorem demokratycznym, który popierał Kamalę Harris, a Pensylwanię uważano za stan, od głosowania którego mogą zależeć wyniki wyborów prezydenckich. Odwiedziny Zełenskiego w fabryce amunicji uznano za czytelny sygnał poparcia dla rywalki Trumpa, co wywołało wściekłość w sztabie tego ostatniego i mogło wzmocnić stare urazy znanego z pamiętliwości republikańskiego kandydata.

ZEŁENSKI WPADA W SZAŁ

Przynęta została połknięta, o czym Ukraińcy dowiedzieli się trzy tygodnie temu, po tym, jak niespodziewanie w Kijowie pojawił się Scott Bessent, amerykański sekretarz skarbu, z gotowym projektem porozumienia, które Zełenski powinien natychmiast podpisać. Bessent to bankier inwestycyjny, który przez lata pracował w funduszu Sorosa i specjalizował się w zarabianiu na osłabianiu kursów walut państw wziętych na celownik. W 1992 r. był jednym z leaderów teamu, który grał na osłabieniu brytyjskiego funta, co przyniosło jego firmie zysk w wysokości 1 mld dol. Podobną operację powtórzył w 2013 r. – z takim samym efektem, tym razem organizując giełdowy atak na

Fot. Shutterstock

walutę Japonii. W brutalnym świecie międzynarodowych finansów, gdzie bez skrupułów destabilizuje się system finansowy silnych państw, Bessent uchodził za rekina, który z łatwością połknie osłabioną wojną i niemającą dużego pola manewru Ukrainę. I taki projekt porozumienia w sprawie eksploatacji ukraińskich kopalin przywiózł do Kijowa.

Jak donosiły ukraińskie media, była w nim mowa o wyłącznych prawach dla amerykańskich firm, „długu" Ukrainy w związku z pomocą wojskową ocenianym nawet na 500 mld dol., który miał być spłacony w pierwszej kolejności, a także o jurysdykcji sądu w Nowym Jorku, który miał rozstrzygać spory związane z działalnością Amerykanów na Ukrainie. Przy czym dokument nie nakładał żadnych obowiązków na amerykańskie firmy. Dostawały one klauzule wyłączności, ale nie miały obowiązku inwestowania.

Po lekturze tych propozycji Zełenski miał wpaść w szał. „Krzyki było słychać aż na korytarzu" – pisały ukraińskie media, powołując się na źródła z Bankowej, czyli z administracji ukraińskiego prezydenta. Potem Zełenski publicznie deklarował, że nigdy nie podpisze porozumienia, w wyniku którego „10 pokoleń" Ukraińców miałoby spłacać urojone długi. Kijów obawiał się, że ewentualne ustępstwa w tej kwestii otworzą puszkę Pandory i z podobnymi propozycjami zgłoszą się zaraz przedstawiciele innych państw wspierających przez ostatnie trzy lata walczącą Ukrainę, a na dodatek umowa w tym brzmieniu oznaczała będzie naruszenie porozumień kredytowych z Bankiem Światowym i międzynarodowymi wierzycielami Kijowa – a trzeba pamiętać, że szacuje się, iż ukraiński dług publiczny przekroczył już 100 proc. PKB. W propozycji Bessenta nie było też ani słowa o gwarancjach bezpieczeństwa, na których Ukrainie zależało najbardziej.

Po odmowie podpisania umowy zaczęła się „wymiana uprzejmości" między Trumpem a Zełenskim. Amerykański prezydent określił swego kolegę mianem „dyktatora" mającego 4-proc. poparcie, a Zełenski zrewanżował się słowami o tym, iż Trump znajduje się w „rosyjskiej bańce informacyjnej", co było o tyle bolesne, że sugerowało niesamodzielność.

Rosła też presja Amerykanów. Jak informował portal Europejska Prawda, rozmowy, które miały być kontynuowane w Monachium z udziałem wiceprezydenta J.D. Vance'a, sprowadzały się do propozycji podpisania lekko tylko poprawionej wersji dokumentu. Zaplanowane i publicznie zapowiedziane spotkanie Zełenskiego z amerykańskim politykiem zostało najpierw przesunięte o kilka godzin, „aby dać czas do namysłu" ukraińskiemu prezydentowi, a następnie odwołane z powodu jego odmowy sygnowania umowy. Zaraz potem na łamach „Financial Times" Bessent opublikował artykuł, w którym pisał nie tylko o tym, że upór Zelenskiego i Ukraińców świadczy o ich krótkowzroczności, lecz także sugerował, iż głównym powodem takiego stanowiska jest niechęć do wprowadzenia przez Amerykanów przejrzystych reguł gry i regulacji uniemożliwiających korupcję.

Równolegle trwały trudne rozmowy, za które ze strony ukraińskiej odpowiadała wicepremier Julija Swiridenko, a amerykańskim zespołem kierował sekretarz skarbu. Składy zespołów negocjacyjnych zmieniały się kilkakrotnie, jak ujawniły ukraińskie media, projekt porozumienia również kilka razy pisano od nowa, blisko było do zerwania rozmów. Trump wywierał presję, mówiąc, że „Zełenski spał", zamiast pracować nad dokumentem. Ostatecznie osiągnięto porozumienie, które obie strony są w stanie zaakceptować. Piszę te słowa przed wizytą ukraińskiego prezydenta w Waszyngtonie, który leci tam, aby złożyć swój podpis pod dokumentem, ale nie można wykluczyć, że negocjacje będą trwały do ostatniej chwili, również z jego udziałem.

Wydaje się bowiem, że Ukraińcy dobrze zrozumieli podejście nowej amerykańskiej administracji, która gra w myśl zasady, że nie ma punktów stałych i obowiązujących „po wsze czasy" uzgodnień. Negocjuje się umowy, grając tymi kartami, które ma się w ręku, oraz bezwzględnie wykorzystuje własne atuty i słabości drugiej strony.

WARIANT IZRAELSKI

Zaraz po tym, jak osiągnięto porozumienie, a ramowy tekst umowy opublikowały „The New York Times" i „Financial Times", nastroje zmieniły się po obu stronach.

„Będziemy tam pracować. Będziemy na miejscu. I wiesz, w ten sposób jest to swego rodzaju automatyczna sieć bezpieczeństwa, ponieważ nikt nie będzie atakował naszych ludzi, kiedy tam będziemy" – w ten sposób przed pierwszym posiedzeniem swego rządu Donald Trump wypowiedział się na temat porozumienia w sprawie eksploatacji ukraińskich bogactw naturalnych i gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Dodał przy tym, że Kijów „powinien zapomnieć o NATO", a te dwie deklaracje oraz słowa o tym, że więcej, jeśli chodzi o bezpieczeństwo Ukrainy, powinni dać Europejczycy, potwierdzają, o jakim modelu dla Kijowa myśli Trump.

Chodzi o „wariant izraelski", w którym to Ukraina powinna być zdolna do samodzielnego utrzymania i wyposażenia sił zbrojnych zdolnych do odstraszenia Rosjan. Parafowana umowa podejmuje tę kwestię wprost, bo planowany amerykańsko-ukraiński fundusz, który miałby zająć się monetyzacją bogactw naturalnych, ma służyć, jak zapisano w trzecim punkcie porozumienia, budowie „bezpieczeństwa, ochrony i dobrobytu Ukrainy". Fundusz Rekonstrukcji, bo tak nazwano tworzoną instytucję, ma być wspólnym przedsięwzięciem, choć to, jak strony podzielą się udziałami, nie zostało jeszcze określone. Rząd ukraiński ma wpłacać doń 50 proc. dochodów z monetyzacji, co jest pojęciem znacznie szerszym niż tylko sprzedaż licencji

wydobywczych bogactw naturalnych. W tym przypadku nie chodzi wyłącznie o minerały ziem rzadkich, o czym mówi Trump, ale o wszystkie zasoby – uran, gaz ziemny, ropę naftową, kobalt, lit, nikiel.

Strona amerykańska nalegała na to, aby umowa dotyczyła nie tylko złóż, lecz także obejmowała infrastrukturę, w tym linie kolejowe i porty, bo kontrola nad nimi w zasadniczy sposób wpływa na rentowność przedsięwzięć wydobywczych. Ostatecznie uzgodniono dość nieostrą formułę, w której mowa o „innej infrastrukturze", ważnej dla eksploatacji zasobów, wymieniając jedynie stacje skraplania gazu i porty, ale w tekście porozumienia znajduje się zarazem odesłanie do nowej umowy dotyczącej zasad zarządzania tworzonym funduszem, która nie została jeszcze wynegocjowana. Jest to o tyle istotne, że katalog zasobów objęty porozumieniem może ulec rozszerzeniu. Tym bardziej że Oksana Markarowa, ukraińska ambasador w Stanach Zjednoczonych, proponowała Amerykanom w jednym z ostatnich wystąpień, aby ci zastanowili się nad wejściem do dynamicznie rozwijającego się ukraińskiego sektora zbrojeniowego, a także zaczęli inwestować w tamtejsze rolnictwo, które mając odpowiedni kapitał i amerykańską technologię, mogłoby, w jej opinii, „wyżywić cały świat".

FUNDUSZ REKONSTRUKCJI

Pozyskanie przez Fundusz Rekonstrukcji środki mają być inwestowane na Ukrainie. Kijów nalegał, aby w umowie znalazł się zapis mówiący, iż polityka funduszu nie będzie budowała barier wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej, ale Amerykanie przystali jedynie na dość ogólne sformułowanie, że fundusz „będzie dążył do unikania konfliktów" w tym obszarze.

Istotny jest jeszcze jeden zapis umowy. Stanowi on, że tworzona instytucja będzie działała tak, aby „przyciągać inwestycje w celu zwiększenia rozwoju, przetwarzania i monetyzacji wszystkich publicznych i prywatnych aktywów ukraińskich", a nie wyłącznie kopalin. Innymi słowy Fundusz Rekonstrukcji może stać się „faktorem", instytucją reprezentującą Ukrainę w relacjach z innymi państwami i firmami chcącymi brać udział w odbudowie.

Dzisiaj trudno przesądzać, czy projektowana instytucja odegra znaczącą rolę w odbudowie Ukrainy. Nie ma jeszcze umowy regulującej zasady zarządzania tym przedsięwzięciem, nie określono wkładu stron, nie są znane koszty jego funkcjonowania. Podobnie trudno szacować ukraińskie zasoby bogactw naturalnych, bo szczegółowe badania geologiczne były prowadzone jeszcze za czasów ZSRR.

Osobną kwestią jest to, że spora ich część znajduje się na terenach okupowanych dziś przez Rosję, co otwiera kwestię sporów jurysdykcyjnych i związanych z przynależnością tych obszarów. Putin już zadeklarował, że Rosja, która jego zdaniem dysponuje wielokrotnie większymi bogactwami niż Ukraina, również jest zainteresowana współpracą w ich wydobyciu z Amerykanami. Dodał przy tym, mając na myśli okupowane ukraińskie obwody, że ta kooperacja może dotyczyć również obszarów „odwiecznie rosyjskich" guberni, które wracają do macierzy.

> Amerykanie nalegali na to, aby umowa z Ukrainą dotyczyła nie tylko złóż, lecz także obejmowała infrastrukturę, w tym linie kolejowe i porty

Wynegocjowana umowa niczego nie przesądza. Projektowany fundusz może w ogóle nie zacząć działać albo okazać się tworem rachitycznym, niemającym większego znaczenia. Może też przekształcić się w „superrząd", kontrolujący życie gospodarcze i odbudowę Ukrainy. Każda z tych możliwości jest realna. I to też świadczy o tym, że Kijów zrozumiał naturę nowych czasów i relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Nie ma żadnych „żelazobetonowych" zobowiązań, wszystko podlega negocjacjom, bez skrupułów wykorzystujemy narzędzia, którymi dysponujemy, w tym presję publiczną i groźby. Na tym polega transakcyjność amerykańskiej polityki, o której tyle się ostatnio mówi. To dlatego podczas negocjacji Zełenski mówił w amerykańskiej telewizji NBC, że Ukraina, dysponując 110 zahartowanymi w boju brygadami, jest w stanie nie tylko powstrzymywać 220 rosyjskich brygad, lecz także bronić osłabionej Europy. Symptomatyczne, że nie wspomniał o potencjale amerykańskim, wysyłając w ten sposób czytelny sygnał, iż Ukraina ma otwartą drogę do porozumienia z Europejczykami, jeśli Amerykanie będą zbyt sztywni podczas trwających rozmów. Można zapytać, dlaczego Kijów ostatecznie wybrał porozumienie z USA, a nie postawił na europejskiego konia.

Po pierwsze, nic nie jest ostateczne, Ukraina może zmienić opcję, jeśli Europejczycy będą w stanie sformułować atrakcyjną i spójną propozycję. Ale na razie to Amerykanie dysponują dywizjami gotowymi do walki i trzeba grać z Waszyngtonem, nie zamykając innych możliwości. Po drugie, wiele zależy od kształtu porozumienia o zawieszeniu broni, które dziś jest nieznane, bo rzeczywiste negocjacje w tej sprawie jeszcze się nie zaczęły. Po trzecie, Zełenski wreszcie usłyszał i zrozumiał stanowisko Polski wyrażone przez prezydenta Andrzeja Dudę, który doradzał mu konstruktywną postawę i szukanie porozumienia z Waszyngtonem. Dlaczego jest to istotne? Bez zgody Warszawy Ukraina nie otrzyma żadnej pomocy, nawet jeśli Europa postanowi budować swą suwerenność strategiczną w kontrze do USA i Trumpa, na co się dziś nie zanosi. Za kilka tygodni sytuacja może się zmienić, ale na tym też polega natura czasów, w które wkroczyliśmy. Dziś gramy tym, co mamy, mniej liczą się deklaracje i kwieciste zapowiedzi, nie zamykamy żadnych dróg, nie ma żelaznych i nienaruszalnych zobowiązań i bez skrupułów wykorzystamy moment słabości naszych partnerów. Ukraina to zrozumiała, negocjując z ludźmi Trumpa porozumienie w sprawie wykorzystania własnych bogactw mineralnych. Niczego ono nie przesądza, ale powoduje, że nadal Kijów pozostaje w grze, w której stawką jest przyszłość i suwerenność własnego państwa.

Fot. Shutterstock

Czy Merz zwasalizuje socjalistów?

Naprzeciw Merza jako jego przeciwnik i potencjalny partner koalicyjny staje teraz polityk w zasadzie nieznany poza granicami Niemiec – 46-letni Lars Klingbeil z SPD

Friedrich Merz

JAN ROKITA

W głosowaniu niemieccy wyborcy kategorycznie odrzucili dotychczasowe rządy, a w trójpartyjnej lewicowo-zielono-liberalnej koalicji wszyscy ponieśli zdecydowane porażki wyborcze.

Liberałowie, którzy wywołali kryzys rządowy wokół sporu o finanse i zadłużenie kraju, wypadli z Bundestagu i nie wiadomo, czy będą jeszcze w stanie odrodzić się jako partia o znaczeniu ogólnoniemieckim. Zieloni, których szef Robert Habeck odpowiadał dotąd za gospodarkę kraju, stracili aż 33 mandaty i przez najbliższe cztery lata nie będą odgrywać istotnej roli na niemieckiej scenie politycznej. A socjaldemokraci kanclerza Olafa Scholza zaliczyli swój najgorszy wynik wyborczy w dziejach Republiki Federalnej, tracąc aż 87 mandatów i zajmując dalekie trzecie miejsce za zwycięską chadecją i narodowo-liberalną AfD.

Zgodnie z oczekiwaniami chadecja pod przywództwem Friedricha Merza wygrała wybory, ale trudno mówić o jej wielkim sukcesie. Na przekór kalkulacjom jej szefa, który na krótko przed wyborami wywołał ostry konflikt, forsując radykalny zwrot w stronę polityki antyimigracyjnej, nie tylko nie polepszyło to wyniku CDU/CSU, lecz nawet pogorszyło go w stosunku do oczekiwań wynikających z sondaży (28,5 proc. zamiast sondażowych ponad 30 proc.). W efekcie faktycznym beneficjentem niemieckich wyborów stała się przede wszystkim wspierana przez rząd Donalda Trumpa prawica z AfD, która podwoiła swój rezultat (z 10 proc. do 21 proc.), oraz postkomuniści, którym po rozłamie sprzed roku wróżono anihilację, a zyskali 25 nowych mandatów, stając się języczkiem u wagi przy wszelkich próbach zmiany niemieckiej konstytucji, powszechnie teraz oczekiwanych przez Niemców.

ODCIĘCIE SIĘ OD „LINII MERKEL"

Polityczna figura nowego kanclerza jest ciekawa co najmniej z trzech powodów. Najpierw ze względu na samą jego partyjną karierę, która wyglądała nadzwyczaj imponująco aż do 2002 r., gdy młody Merz zaczął być sekowany za pomocą intryg, które roztoczyła wokół niego Angela Merkel, upatrująca w nim – nie bez racji – inteligentniejszego i bardziej utalentowanego konkurenta do przywództwa partii. Merz pozostał na scenie publicznej jako tracący z dnia na dzień wpływy i pozycję zastępca Merkel, ale wytrzymał w takiej roli do 2009 r., kiedy odszedł z Bundestagu i porzucił politykę. Aż do końca swoich długich rządów kanclerz trwała w zawziętej, choć skrywanej wrogości wobec Merza, a kiedy w 2018 r. po serii politycznych porażek musiała oddać przywództwo partii, jej ostatnią intrygą było zablokowanie go na kongresie, ten

Fot. Ryan Nash Photography/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Lars Klingbeil

bowiem uznał, iż może to być właściwy moment do politycznego powrotu.

W efekcie Merz wygrał szefostwo partii dopiero w 2021 r., gdy przegrana Merkel odchodziła na emeryturę, a chadecja przeszła do opozycji. Jako jej śmiertelny wróg i krytyk jej polityki obejmuje on urząd kanclerza w wieku 69 lat, czyli niemal ćwierć wieku po tym, jak zamierzał osiągnąć to po raz pierwszy.

Nic zatem dziwnego, że Merz próbuje się odciąć od „linii Merkel", która za zasadniczy cel swojej polityki uważała ochronę niemieckiego *status quo* z początku XXI w. Po latach okazało się jednak, że tymi zachowawczymi działaniami nie potrafiła ocalić żadnego ze swych priorytetów. Tanią energię z Rosji zabiła wojna na Wschodzie, potężny eksport do Chin załamał się na skutek gospodarczej stagnacji, aż w końcu pod znakiem zapytania stanęła także pewność niemieckiego bezpieczeństwa, które miała gwarantować nie niemiecka armia, ale Amerykanie.

Merz od dawna zapowiada, że dokona przełomu w niemieckiej ekonomii, by wyrwać ze stagnacji przede wszystkim trzy zapóźnione segmenty państwa: armię, infrastrukturę i cyfryzację. Niemcy nie są dziś zdolne do obrony nie tylko Europy czy Ukrainy, lecz nawet samych siebie. Nie nadążają za globalnym postępem cyfrowym. Wreszcie mają zapóźnioną w stosunku do Polski czy Francji infrastrukturę drogową i energetyczną.

W tej mierze Merz pozostaje dla Niemców wiarygodny, gdyż podobnie jak Trump jest miliarderem i człowiekiem interesu. To właśnie intrygi Merkel pchnęły go w stronę biznesu i jeszcze jako jej zastępca w 2004 r. przeniósł ciężar swojego zaangażowania z polityki na międzynarodową finansjerę, zaczynając od pracy dla wielkiej firmy lobbingowej Mayer Brown. To tam zaczął nie tylko dorabiać się swego dzisiejszego majątku (m.in. dwóch odrzutowców, które zwykł pilotować osobiście), lecz przede wszystkim wszedł w rolę kto wie, czy nie najbardziej wpływowego lobbysty w Niemczech, pracującego na rzecz wielkich graczy na globalnym rynku finansów i inwestycji. Szczytem jego osiągnięć biznesowych stała się praca dla amerykańskiego giganta inwestycyjnego BlackRock, dysponującego aktywami w wysokości ok. 10 bln dol. (czyli dwa razy tyle, co roczny niemiecki PKB). Merz stał się organizatorem spotkań szefa BlackRock Larrego Finka z czołowymi niemieckimi politykami, a efektem jego pięciu lat lobbingu dla amerykańskich inwestorów stało się wejście BlackRock do takich niemieckich firm, jak Siemens, Deutsche Bank czy BMW. Teraz na niemieckiej lewicy niektórzy nawet piszą, iż Merz jest konstruktorem czegoś, co można nazwać „BlackRock-owymi Niemcami".

Szykany ze strony Merkel odegrały także istotną rolę dlatego, iż dawno temu Merz stał się wyrazistym krytykiem polityki wschodniej pani kanclerz. Był jednym z pierwszych, którzy żądali rezygnacji Niemiec z gazociągu bałtyckiego, jeszcze wtedy, gdy na Zachodzie powszechnie uważano tę inwestycję za najlepszą gwarancję dostaw taniej energii. A kiedy wybuchła wojna na Wschodzie, stał się krytykiem postępowania obu kolejnych niemieckich rządów: Merkel – za zbyt daleko idące koncesje na rzecz Putina w porozumieniach mińskich, zaś potem Scholza – za odmowę dostarczania Kijowowi broni pozwalającej na atakowanie terytorium Rosji.

W ciągu ostatnich lat jako lider opozycji w Bundestagu Merz wygłosił też całą serię „polskich mów", w których oskarżał kanclerza Scholza o zaniedbanie stosunków polsko-niemieckich, zwłaszcza gdy idzie o koordynację polityki wschodniej. Merz bez wątpienia należy do nielicznej już, wymierającej grupy starych chadeków, którzy uważają, iż kluczowym interesem Niemiec na Wschodzie jest nieustanne uzgadnianie z Polską interesów i strategii wschodniej. Ani na niemieckiej lewicy, ani wśród młodszych chadeków, ani tym bardziej w AfD nikt już nie podziela takiego poglądu.

JAK DWÓCH PIJAKÓW

Jednak główny problem Merza polega na tym, że tak samo, jak trzykrotnie czyniła to Merkel, musi stworzyć wspólny centrowy, czyli nijaki, rząd z socjalistami, z definicji niezdolny do przełamania impasu, w jaki popadły Niemcy. Taką koncepcję rządzenia przywykło się nazywać wielką koalicją, ale w dzisiejszych warunkach jest to nazwa myląca.

Fot. Juergen Nowak/Shutterstock.com

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Obie stare partie są teraz o wiele słabsze niźli dawniej, a SPD jest ledwie cieniem potężnej niegdyś niemieckiej socjaldemokracji. Ich mandaty zdobyte w wyborach 23 lutego ledwie pozwolą na uzyskanie nikłej centrowej większości w Bundestagu z silną prawicową opozycją AfD po jednej oraz powracającymi do sił postkomunistami z Die Linke po drugiej stronie sceny. Ostatnio jedna z niemieckich gazet nie bez racji dowcipkowała, iż chadecy i socjaliści są teraz skazani na wzajemne wspieranie się, podobnie do dwóch pijaków, którzy muszą się podpierać na sobie, kiedy nocą wychodzą z knajpy, z trudem trzymając się na nogach. Rzecz w tym, że na dodatek są to pijacy, którzy wcześniej w tej knajpie ciężko pokłócili się ze sobą niemal o wszystko.

Lista konfliktów obu skazanych na siebie koalicjantów obejmuje większość kluczowych decyzji, przed którymi stoi niemiecka polityka: dług publiczny, imigracja, zbrojenia, wojna, socjal, rolnictwo. Do tej pory chadecja przeciwstawiała się przełamaniu konstytucyjnego „hamulca długu", który pozwala rządowi federalnemu na zaciąganie zobowiązań do wysokości 0,35 proc. PKB. Socjaliści uważają, że taki pogląd to awanturnictwo, które uniemożliwia zarówno wydatki na zbrojenia, jak i wielkie publiczne inwestycje w „zielony sektor".

Merz buńczucznie niczym Trump obiecał, iż „w ciągu 24 godzin po objęciu kanclerstwa" zawiesi prawo azylu i zamknie granice dla imigrantów. Socjaliści uznali ten plan za prowokację przeciw unijnemu prawu i zamach na stosunki Niemiec z sąsiadami, w tym z Polską. Chadecja domaga się militaryzacji kraju i przekroczenia 2 proc. PKB w wydatkach na armię do 2027 r., socjaliści uważają to za nadmierną uległość wobec Trumpa. Merz chce dostaw pocisków dalekiego zasięgu na Ukrainę, a Scholz uważał, że jest to ryzykowne drażnienie Moskwy. Dwa lata temu socjaliści wprowadzili powszechny „dodatek obywatelski" w wysokości ponad 500 euro, Merz chce jego zniesienia. Spór rozgorzał także o pestycydy w rolnictwie, bo w nowym rządzie ów resort ma przejąć bawarska CSU, która nie zamierza ograniczać rolników ani w truciu żywności pestycydami, ani w zatruwającej środowisko uprzemysłowionej hodowli drobiu.

OSTRA GRA Z KLINGBEILEM

Naprzeciw Merza jako jego przeciwnik i potencjalny partner koalicyjny staje teraz polityk w zasadzie nieznany poza granicami Niemiec – 46-letni Lars Klingbeil, który natychmiast po przegranych przez jego partię wyborach sprytnym manewrem odsunął na bok skompromitowanego Scholza i skupił w swoim ręku zarówno władzę nad SPD, jak i jej klubem parlamentarnym w Bundestagu.

Dotąd Klingbeil był współprzewodniczącym partii (genderowy przesąd zabrania szefostwa w SPD białemu mężczyźnie, więc dodaje mu się kobietę w roli współszefowej). Ale gdy się tylko okazało, że mimo klęski wyborczej partii w jednomandatowym okręgu Rotenburg (w Dolnej Saksonii) udało mu się zyskać 43 proc. głosów i pokonać chadeckiego konkurenta, rzucił przeciw Scholzowi hasło „odnowy partii", uznając samego siebie za najważniejszego rzecznika tej odnowy.

Manewr polegający na zrzuceniu z siebie odpowiedzialności za klęskę i przerzuceniu jej w całości na ustępującego kanclerza wygląda dość cynicznie, ale zdaje się, że Klingbeilowi się udał. Polityk jest olbrzymem (ma prawie 2 m wzrostu), grał w punkowej kapeli, a w 2021 r. był uważany za stratega zwycięskiej kampanii Scholza. Wygląda na to, że teraz to on wespół z Merzem będzie rządzić Niemcami.

> Friedrich Merz należy do nielicznej już, wymierającej grupy starych chadeków, którzy uważają, iż kluczowym interesem Niemiec na Wschodzie jest nieustanne uzgadnianie interesów i strategii wschodniej z Polską

I zapewne dlatego warto zwrócić uwagę na pierwsze, jeszcze „przedkoalicyjne" krótkie spięcie pomiędzy Klingbeilem i Merzem. Rzecz jest zaskakująca, bo w Polsce przywykliśmy do tego rodzaju kulturowych konfliktów, ale w Niemczech w zasadzie dotąd ich nie było.

Chadecja niespodziewanie postawiła odchodzącemu rządowi listę 551 pytań dotyczących budżetowego finansowania na wielką skalę ekstremistycznych grup lewicowych organizujących w ostatnim czasie wielkie manifestacje przeciw prawicy. Chodzi m.in. o Babcie Przeciw Prawicy, antyglobalistyczną sieć Attac, BUND (ekoradykałowie), PETA (prawa zwierząt) czy osławiony Greenpeace, które udają organizacje non-profit, a jak się okazuje, działały na zlecenie i za pieniądze państwa. Merz nazwał ich aktywistów „zielonymi i lewicowymi szaleńcami" i zażądał neutralności ideologicznej państwa. Klingbeil zareagował ostro, oskarżając Merza o „atak na organizacje, które ochraniają naszą demokrację", i zażądał, aby chadecja natychmiast wycofała się z zaplanowanego śledztwa w tej sprawie.

Na głowę nowego kanclerza zewsząd posypały się gromy, tak jakby naruszono jakieś święte tabu niemieckiej polityki. Np. postkomuniści oskarżyli Merza o „próbę zaprowadzenia autorytarnych rządów" i „bezprecedensowy atak na demokratyczne społeczeństwo obywatelskie". Okazuje się, że tam, gdzie chodzi o państwowe fundusze dla lewicowych ekstremistów, wojna ideologiczna może rozgorzeć na całego nawet w Niemczech.

Wygląda więc na to, że Merz zaczął ostrą grę z Klingbeilem, licząc zapewne na to, iż uda mu się zwasalizować SPD tylko z powodu utrzymania u władzy partii, która poniosła sromotną klęskę. Nie jest to jednak takie pewne. Bardziej prawdopodobny wydaje się rząd ustawicznych koalicyjnych konfliktów oraz politycznego impasu, czego nawykła do porządku w czasach Merkel niemiecka opinia publiczna wyjątkowo nie lubi. I oczywiście taki gabinet nawet przy werbalnym radykalizmie i krzykliwości Merza zapewne nie wyrwie Niemiec z impasu, w który popadły.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

AfD idzie po władzę

Druga siła polityczna w Niemczech, pierwsza na wschodzie kraju. Alternatywa dla Niemiec może być zadowolona z wyniku wyborów do Bundestagu. Ale Alice Weidel chce więcej i obiecuje swoim wyborcom zwycięstwo za cztery lata

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zagłębie Ruhry zawsze było bastionem SPD. W latach 70. socjaldemokraci zdobywali tutaj znacznie ponad 50 proc., a czasem nawet 60 proc. głosów w wyborach. Mówiono wówczas, że między Dortmundem a Duisburgiem wystarczy kupić miotłę i pomalować ją na czerwono, a zostanie wybrana na posła lub burmistrza.

Partia była głęboko zakorzeniona w Nadrenii Północnej-Westfalii, a szczególnie w przemysłowych regionach landu. Ale to było kiedyś, gdy działały jeszcze kopalnie, a „towarzysze" troszczyli się o los klasy robotniczej. W wyborach do Bundestagu, które odbyły się 23 lutego, w Zagłębiu Ruhry zwyciężyła CDU. SPD uplasowała się dopiero na drugim miejscu. W tym samym czasie AfD gwałtownie wzrosła – przekonała do siebie prawie 20 proc. wyborców. Bo dziś w Zagłębiu Ruhry dominują inne problemy niż kiedyś: to ciągły napływ migrantów pogłębiający problemy społeczne. Na ulicach walają się śmieci, wszędzie straszą obdrapane fasady opuszczonych domów. Panują przestępczość, brud i nieład.

W jednym z miast Zagłębia, Gelsenkirchen, AfD zdobyła prawie 25 proc. głosów, co pokazuje, że partia Alice Weidel odnosi sukcesy już nie tylko na wschodzie Niemiec, lecz także na zachodzie. Stopa bezrobocia wynosi tu 14,8 proc. i jest najwyższa w Niemczech. Podczas gdy w całym kraju ubóstwem zagrożone jest jedno na pięcioro dzieci, w Gelsenkirchen – prawie jedno na dwoje. Jak pisze tygodnik „Der Spiegel", co szósty mieszkaniec miasta jest nadmiernie zadłużony. W Gelsenkirchen mieszka ok. 272 tys. osób, ponad 75 tys. z nich nie posiada niemieckiego paszportu. Ok. 13 tys. to Rumuni i Bułgarzy żyjący „w uwłaczających warunkach". „W Gelsenkirchen widać co się dzieje, gdy rządzą tu różne Scholze i im podobni" – zaznaczył w wieczór wyborczy poseł AfD i wicerzecznik partii Kay Gottschalk.

Kawałek dalej na Zachód, w Duisburgu, który ma podobne problemy jak Gelsenkirchen, SPD zdołała wyprzedzić AfD zaledwie o 0,6 proc. głosów. Burmistrz Gelsenkirchen Karin Welge nie chce mówić w rozmowie z „Der Spiegel" o błędach, które popełniła jej partia SPD. Nie będzie się jednak ponownie ubiegać o urząd burmistrza. „Jeśli w Berlinie nie rozumieją, że coś musi się zmienić, to ja też już nic nie rozumiem" – powiedziała.

PARTIA LUDOWA

Na to, że tam w Berlinie nie rozumieją i już nie zrozumieją, liczy współprzewodnicząca AfD i kandydatka na kanclerza Alice Weidel. Wynik partii w wyborach do Bundestagu jest dla niej punktem zwrotnym w historii Republiki Federalnej. Alternatywie dla Niemiec udało się praktycznie podwoić poparcie sprzed czterech lat. Przesunięcie kraju na prawo będzie aż nader widoczne w nowym Bundestagu. Jej partyjny kolega Tino Chrupalla twierdzi nawet, że AfD stała się nowym „politycznym centrum" Niemiec.

Sukces osiągnięty w zachodnich landach ma się stać fundamentem nowej strategii, która doprowadzi partię do zwycięstwa w 2029 r. Wprawdzie w wieczór wyborczy czuć było lekkie rozczarowanie – politycy AfD mieli nadzieję na 25 proc., a nie te nieco ponad 20, które uzyskali. Ale jak przekonuje Weidel, problemy Niemiec przez następne cztery lata rządów CDU (prawdopodobnie) w koalicji z SPD przecież nie znikną. „Będziemy ich ścigać" – przekonywała. Ich, to znaczy chadeków z nowym kanclerzem Friedrichem Merzem na czele.

AfD Alice Weidel odnosi sukcesy już nie tylko na wschodzie Niemiec, lecz także na zachodzie

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

„CDU uczy się jedynie poprzez ból" – podkreśli Oliver Kirchner, szef frakcji AfD w Bundestagu. Dla niego szorstki ton Weidel w kampanii oraz jej radykalne propozycje demontażu wszystkich wiatraków czy deportacji nawet tych migrantów, którzy są wprawdzie nielegalni, ale się kształcą lub pracują, to „atut". W końcu ktoś mówi Niemcom, jak jest i jak powinno być. Zero kompromisów. Tylko polityczna presja. AfD liczy przy tym na to, że Merz nie będzie w stanie zrealizować swoich obietnic wyborczych ani w dziedzinie migracji, ani naprawy gospodarki.

Jak pokazują badania przeprowadzone po wyborach, AfD nie jest już zresztą czystą partią protestu. Z analizy instytutu Infratest dimap wynika, że 39 proc. wyborców Alternatywy dla Niemiec podjęło decyzję pod wpływem rozczarowania innymi partiami. Było ich jednak mniej niż w wyborach w 2021 r. 54 proc. zwolenników AfD głosuje na tę partię z przekonania.

Pouczające jest również spojrzenie na mapę Niemiec. Wschód jest obecnie w dużej mierze zabarwiony na niebiesko (to kolor AfD). „Przynajmniej tam AfD jest tą partią ludową" – mówiła politolog Ursula Münch w rozmowie z rozgłośnią BR24. Według niej partii przybywa wyborców „niemal we wszystkich środowiskach". AfD dobrze sobie radzi we wszystkich grupach wiekowych, zwłaszcza wśród młodych i osób w średnim wieku. To Niemcom w wieku ponad 60 lat CDU i SPD zawdzięczają, że zachowały władzę. Weidel nie kryje, że liczy na to, iż z czasem tych wyborców z naturalnych powodów będzie mniej.

Fot. photocosmos1/Shutterstock.com

ALICE DLA NIEMIEC

AfD odniosła sukcesy w tych wyborach nie tylko w Zagłębiu Ruhry, lecz także w Bawarii. W żadnym innym okręgu wyborczym w Niemczech Zachodnich partia nie osiągnęła tak wysokiego poparcia jak w liczącym 30 tys. mieszkańców Deggendorfie położonym malowniczo w dolinie Dunaju. Tam głosowało na nią aż 29,2 proc. wyborców. W zachodnioniemieckim rankingu znajdują się też dwa inne bawarskie okręgi wyborcze: Schwandorf i Straubing.

Oprócz nacisku kładzionego na temat migracji, najbardziej palącego obecnie dla Niemców, za dobre wyniki AfD odpowiadają przede wszystkim konsolidacja struktur, profesjonalizacja oraz rosnące doświadczenie kampanijne. Partii udało się uniknąć sporów i podziałów, które miały miejsce podczas wyścigu wyborczego cztery lata temu, gdzie co chwila odzywał się jakiś polityk AfD niczym fagot w orkiestrze, wywołując skandal. Radykalne, „ludowe" skrzydło partii zostało rzekomo rozwiązane, a w każdym razie ujarzmione. Ugrupowanie brylowało zamiast szokować „faszyzującymi" tezami w mediach społecznościowych, gdzie dzięki Elonowi Muskowi miało okazję zaprezentować się jako głos wolności.

Weidel, choć mieszka w Szwajcarii, a nie w Niemczech, jest niekwestionowaną liderką, a jej twarda, miejscami zimna retoryka o „remigracji" mimo wielu kontrowersji przypadła wyborcom do gustu. Do tego należy ona do partii od jej założenia w 2013 r. i ma duże doświadczenie zagraniczne dzięki stypendiom m.in. w Japonii, Chinach i Singapurze. Jest także lesbijką i ma z partnerką dwójkę dzieci. Pismo „Manager Magazin" uznało ją za poważnego i profesjonalnego polityka o dużej znajomości świata biznesu.

Krytycy argumentują, że ta nowoczesna fasada nie powinna jednak nikogo zmylić. Dziadek Weidel Hans był członkiem NSDAP i SS, a podczas wojny pełnił funkcję sędziego wojskowego w okupowanej Warszawie. Po 1945 r. angażował się na rzecz wypędzonych. Taką galerię przodków dałoby się znaleźć prawdopodobnie u wielu innych niemieckich polityków, także tych mainstreamowych. Jednak Weidel nie kryje, że nie pasuje jej polityka historyczna Niemiec skupiona na niemieckiej winie. W 2023 r. z okazji rocznicy 8 maja, czyli kapitulacji Wermachtu, stwierdziła, że „nie należy świętować porażki własnego kraju". Wielokrotnie negatywnie mówiła o „kulcie winy" oraz braku szacunku dla niemieckich ofiar II wojny światowej. Ale to jej nie zaszkodziło.

To, jak mocno zwarły się szeregi za Weidel, pokazał w styczniu zjazd AfD w Riesa w Saksonii. Tam uczczono ją skandowaniem: „Alice dla Niemiec" („Alice für Deutschland"). Partia specjalnie wydrukowała kartonowe serca z tym hasłem. Przypomina ono zakazane hasło SA „Alles für Deutschland" („Wszystko dla Niemiec"), za którego używanie w zeszłym roku skazano byłego nauczyciela historii i lidera AfD w Turyngii Björna Höckego.

CO ZROBI MAINSTREAM?

Trudno powiedzieć, jak długo potrwa ten mariaż prawicowego skrzydła AfD, czyli Höckego, marzącego o wspólnocie „ludowej" z państwem opiekuńczym, a bardziej liberalnej gospodarczo Weidel, powołującej się na Thatcher, Hayeka oraz prezydenta Argentyny Javiera Milei, ale póki trwa, AfD ma szanse na zwycięstwo przy urnach w 2029 r. A co najmniej na zdobycie tym razem nie 20, a 30 proc. głosów, co uczyniłoby niemożliwym utworzenie koalicji rządzącej bez niej i doprowadziłoby do upadku tzw. zapory ogniowej, uporczywie podtrzymywanej przez mainstream.

Wprawdzie niektórzy w tym mainstreamie wciąż marzą o zakazie działania dla AfD, ale im większe poparcie ma partia, tym staje się to trudniejsze. 124 posłów do Bundestagu podpisało się pod wnioskiem o taki zakaz. Tyle że po skierowaniu sprawy do Komisji Spraw Wewnętrznych na sali plenarnej nie było większości wymaganej do głosowania. Wraz z ukonstytuowaniem się nowego Bundestagu, gdzie AfD będzie miało aż 152 mandaty, wniosek przepadł. A jest wątpliwe, czy znajdzie on większe poparcie przy nowym składzie parlamentu. Próba zostanie jednak zapewne podjęta.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

W Polsce nie ma już dla mnie miejsca

W Polsce zrobiło się tak ciasno, że dziś nie ma tu dla mnie miejsca – mówi ***Andrzej Dziubek***, muzyk, malarz i lider legendarnej grupy De Press, w rozmowie z Maciejem Walaszczykiem. I zapowiada ponowny wyjazd do Norwegii. Twierdzi, że czerwone chmury zaszły nad niezależną muzyką w Polsce, wydawcy nie chcą wydawać jego płyt, a właściciele klubów organizować koncertów

Chyba rok temu znalazłem w sieci fragmenty płyty „Europa płonie". Ale samej płyty nie można było nigdzie kupić, choć opowiada o aktualnych sprawach, wojnie na Ukrainie. Prosiła się wręcz, by iść w świat. Dlaczego tak długo trzeba było czekać na jej wydanie?

Andrzej Dziubek: To długa historia, która zaczyna się w czasie pandemii. Podszedłem do tego spontanicznie, a więc napisałem kilka kawałków, m.in. „Królową Polski", i wybrałem się do niewielkiego, prywatnego studia, które prowadził nasz ówczesny gitarzysta Tomek Fudala, z którym kilkanaście lat temu nagrywałem płytę „Myśmy rebelianci". Wtedy powstała też „Żelazna dywizja", którą wspieraliśmy akcję „Murem za polskim mundurem". Można jej posłuchać na YouTube. I tak powoli zaczęliśmy pracę nad tymi utworami, ale okazało się, że trochę to trwało. W końcu wybuchła wojna, powstały więc też utwory, które znalazły się na „Europa płonie". A z przeciągającym się wydaniem tej płyty było po prostu tak, że nikt nie chciał się zdecydować na jej edycję. Mój stary wydawca, który przecież ma w katalogu wiele płyt De Press, powiedział, że raczej nie jest zainteresowany.

Chodzi o krakowski Music Corner?

Tak. Politycznie jest on zorientowany w inną stronę i nie chciał publikować muzyki z takimi tekstami. Więc sam, prywatnie, postanowiłem wytłoczyć może 500 egzemplarzy płyty, którą rozprowadzaliśmy charytatywnie lub po prostu wręczaliśmy w prezencie. W końcu przez kolegę z Gdańska skontaktowałem się z Olifantem, który ją wydał wraz z najnowszą płytą pt. „Góral nad Bałtykiem".

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Mamy więc cenzurę?

Tak to zrozumiałem, ale dopiero teraz. Wokół mnie i zespołu De Press mają miejsce takie sytuacje, które pokazują jasno, że nie jestem mile widziany w klubach, w których chcielibyśmy zagrać koncert. Wszystko zaszło – jak mówię – takim „owsiackim" rockiem, wszystko na tej scenie muzycznej w kraju jest tym zasiane. On po swojemu zakodował całą muzykę rockową w Polsce.

Kiedyś np. „Wyborcza" pisała dobrze o De Press, ale trzy lata temu już ironicznie, że Dziubek, ten „crazy Polak", zwąchał się z prawicą, śpiewa o reparacjach wojennych, że – w domyśle – zwariował.

Nie znałem tego artykułu, ale czuję, że właśnie tak jest. Rozumiem tę ironię, ale to jednak świadczy o tym, gdzie dziś znajduje się ta gazeta ze swoimi tendencyjnymi opiniami. W Norwegii nie mam takich doświadczeń, tam od razu nikogo nie szufladkują i jeśli robię tak albo inaczej, to w porządku. Grałem koncerty w wielu klubach i nikt nie przejmował się tym, jakie mam poglądy polityczne i co sądzę o różnych sprawach. Nikt nie wkładał mnie na półkę, którą oznaczał zapis cenzorski. Może mój przekaz interesuje ich mniej niż muzyka, którą gramy.

Jesienią obchodził pan jubileusz 70. urodzin właśnie w Oslo, w Norwegii, gdzie, z tego, co wiem, odbył się duży koncert. Jak wrażenia, co się wydarzyło?

Koncert zorganizował mój przyjaciel w tamtejszym znanym klubie Rockefeller. Lubię tam grać, a i frekwencja bardzo dopisała, bo przyszło ok. 1 tys. osób, a więc tyle, ile zdołało się pomieścić i było znakomicie. Oczywiście De Press zagrał już w zupełnie innym, odmłodzonym i norweskim składzie. Z tymi muzykami nagrałem zresztą już nową, kolejną płytę pt. „Harnaś już nie żyje", która ukaże się w kwietniu. Na karku siedemdziesiątka, a zupełnie nie odczułem trudów tego koncertu, skakałem po scenie jak kiedyś, byłem szczęśliwy i pełen energii. Na scenę weszli także Jørn Christensen i Ola Snortheim, a więc muzycy z pierwszego składu, z którymi nagrałem „Block to Block" i „Produckt" [płyty De Press wydane na początku lat 80. w Norwegii – przyp. red.] i zagraliśmy m.in. „Kolhoz". Przyznaję, że było trochę zwolnione tempo, chłopaki odczuwają lata, ale ja jakoś się trzymiem [śmiech].

Słychać to na płytach, które wyzwalają wielką energię, żywiołowość tkwiącą w piosenkach. Słychać też bardzo dużo pomysłów aranżacyjnych i stylistycznych, które z wielką zręcznością upycha pan, gdzie się tylko da.

Mam dużą swobodę i odczuwam też duży spokój, dlatego wszystko przychodzi mi z łatwością, prościej. Natychmiast wiem, co jest dobre, a czego nie warto kontynuować.

Co pana inspiruje? „Europa..." powstała jako wyraz „obaw o sytuację ojczyzny, w jakiej się znalazła". Wprost pisze pan o tym w „Preludium" umieszczonym w kopercie płyty, słychać to w tekstach.

Na bieżąco interesuję się tym, co się dzieje w Polsce, zastanawiam się, gdzie znaleźliśmy się w porównaniu do Europy Zachodniej i Wschodniej. Wiele z tych piosenek powstało z obserwacji tego, co się dzieje na świecie i w społeczeństwie.

A muzyka? Czego pan słucha?

Nie słucham współczesnej muzyki, także rockowej, choć wyłapuję nowinki technologiczne, brzmienia, jest bardzo dużo ciekawych i nowych rozwiązań, z których można również szybko skorzystać dzięki komputerom. To jest niesamowite i ułatwia pracę. A jeśli chodzi o muzykę, to od dzieciństwa słuchałem muzyki góralskiej. Teraz też nieustannie słucham tej naszej muzyki i bazuję na tych moich korzeniach. Tak było również wtedy, gdy mieszkałem w Norwegii. Choć przyznaję, że dopiero teraz i zupełnym przypadkiem poznałem twórczość naszego rodzimego SBB. To ciekawa grupa, choć gdy zaczynałem swoją punkową przygodę z muzyką prostą i agresywną, z bardzo bezpośrednim przekazem będącym odreagowaniem na opresję systemu, tego rodzaju twórczość, określana wtedy jako rock symfoniczny, z monumentalnymi formami, zupełnie mnie nie ciekawiła. Teraz myślę o tym inaczej, to są bardzo twórczy ludzie.

Jak to jest grać muzykę góralską w kapeli rockowej? Też są basy plus pryma, sekunda jako gitary?

Muzycy, którzy ze mną grają, zawsze grają pode mnie, a jeśli siedzi w nich ta muzyka i są muzykalni, zawsze się to udaje. A góralska muzyka jest głównym tworzywem, czerpię z niej, zrzynam te wszystkie zaplatanki. Nie mogę tego zatracić. Ta muzyka ułatwia granie, pozwala na prosty przekaz, co jest podobne do pieśni niewolników śpiewanych w czasie pracy. Tu też zawsze się ciężko pracowało, nigdy nie było lekko i nasza muzyka powstawała w jakimś cierpieniu.

Ale góralska potrafi być też mroczna, co u was łączy się z tzw. zimną falą, którą przyniósł Joy Division. Te przestrzenne, zimne basowe brzmienia słychać w De Press, a szczególnie w pańskim drugim zespole Holy Toy.

Oczywiście, te przestrzenne brzmienia, także dzięki Echo & the Bunnymen, a nawet The Police, których lubiłem, to piękny środek wyrazu. Ale największym uderzeniem był koncert Sex Pistols, których w 1977 r. widziałem na własne oczy, gdy uczyłem się w szkole plastycznej w Norwegii.

To paradoks, ale ówczesny skandalista John Lydon krytykuje dziś Partię Pracy, poparł brexit, Donalda Trumpa i Nigela Farage'a, krytykuje skutki imigracji, upadek brytyjskich miast i nie chce mieszkać w kraju, który, jak twierdzi, został zniszczony przez lewicę. Jak pan to komentuje?

To oczywiście paradoks, gdy król punk rocka, człowiek lansujący się na anarchistę i zwalczający wtedy klasę rządzącą, dostrzega to wszystko. To jest to samo, co odczuwam dziś w Polsce, gdy widzę ten nowy postkomunistyczny porządek i skutki rządów rzekomo liberalnego reżimu, który niszczy wolność słowa. Przypomina mi to czasy mojej emigracji.

Na płycie jest taki skoczny kawałek „Double mask", ale pełen niepokojących dźwięków i z tekstem, który wyraża chyba obawę przed nowym unijnym totalitaryzmem w stylu NRD?

Trafna uwaga. Chciałem pokazać, że tworzy się coś w rodzaju nowego muru berlińskiego. To oczywiście piosenka

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

pełna ironii, w której portretuję współczesnych Niemców z taką groteską i parodią, bo tak ich właśnie widzę. Dopiero przez ich pryzmat widać zachodnią eurokrację i ideologię, którą narzucają Europejczykom. Moim zdaniem nic, co chcą stworzyć, nie ustanie na piasku, na którym budują. To musi runąć, gdyż jest pozbawione chrześcijaństwa, a człowiek w tym porządku jest traktowany jak pojedynczy przedmiot w statystykach brukselskiej biurokracji. Np. szokujące jest dla mnie wymuszanie na ludziach przyjmowania reguł Zielonego Ładu. To jakiś nowy reżim, nowy totalitaryzm. W ostatnich tygodniach Trump ewidentnie zachwiał ich pozycją. Moim zdaniem każdy naród powinien suwerennie decydować, w jaki sposób chce żyć u siebie. Ma swoje upodobania, tradycje i nie można mu tego odebrać.

Czego się pan bardziej obawia – rosyjskiego imperializmu czy rządów brukselskich biurokratów i finansjery?

Obydwa są niebezpieczne, ale różnią się techniką. Ci z Zachodu są wyrafinowani, a ci ze Wschodu, myślę oczywiście o Rosji, brutalniejsi.

Dostrzega pan zmiany w świadomości Polaków, w ich mentalności, jakie wycisnęło 35 lat liberalizmu i sekularyzacji? Na „Góralu nad Bałtykiem" śpiewa pan o nałogowym wspieraniu się farmaceutykami, utracie tożsamości, hedonizmie.

Może nie do końca jest z nami tak źle, nie jestem aż takim pesymistą. Ale trzeba przyznać, że Polacy stracili nieco swego ducha, pochłonęła ich konsumpcja i sprawy tego świata. Gdy żył Jan Paweł II, miał ewidentny wpływ na ludzi, trzymał ich w garści, wspierał ich wiarę. Teraz mamy chaos i brak wiary w siebie, poddawanie się różnym manipulacjom.

Na „Europa płonie" są piorunujące utwory, takie jak „Ruski karabl", w rytmach ska, ale obok np. „Do eurokratów (Nie wstyd wam)". Słychać industrialne echa i słynne kowadło. To nie jest muzyka łatwa w odbiorze. To celowy zabieg?

To oczywiście celowe, że na zasadzie kontrastu sąsiadują z sobą różne klimaty. Dlaczego industrialne? Świat, nasze życie stają się bardziej mechaniczne. To dla mnie bardzo ważna płyta, bo przekazuje ona to, co głęboko mną wstrząsnęło, szczególnie po wybuchu wojny na Ukrainie.

A odwołania religijne, np. do papieża, Matki Boskiej? W książce opowiada pan o fascynacji duchowością św. Jana od Krzyża. To wyraz nawrócenia?

Nigdy nie porzuciłem wiary, nawet na emigracji, mam ją nieustannie w sobie. Przeszedłem coś w rodzaju ascezy, musiałem sięgnąć głębiej, a więc wyrzec się czegoś, co mnie niewoliło. To bardzo trudne, ale dzięki temu złapałem dystans do świata, zyskałem przestrzeń wolności, mogę komponować i tworzyć.

Maluje pan?

Tak, maluję na co dzień, zawsze mam przed sobą obraz i co chwila do niego wracam, choć najczęściej pracuję w nocy, bo żyję nowym rytmem. Wcześniej kładę się spać i wcześniej wstaję, czasem jeszcze w nocy, gdy wokół jest jeszcze cisza. Głównie bawię się kolorami, pastelą, co jest odskocznią od muzyki i uruchamia zupełnie inny rodzaj wyobraźni. Nie wystawiam obrazów, choć przez pewien czas regularnie, co rok, wystawiałem tu u nas, na Orawie, gdzie w pobliskim skansenie było miejsce dla moich prac. Wiele razy wystawiałem je też w Norwegii.

Poeci tacy jak Norwid i Przerwa-Tetmajer co rusz pojawiają się w piosenkach De Press. Dlaczego?

Norwid pojawił się dzięki Czesławowi Niemenowi, który sięgał do jego wierszy, a gdy znalazłem się w Norwegii, Pius Jabłoński, dyrektor mojej szkoły z Jabłonki, wysłał mi komplet tomów jego „Dzieł zebranych". Był to światły człowiek, patriota, podobnie jak mój ojciec, z którym wspólnie działali w konspiracji w czasie wojny. Ojciec studiował wtedy w Pradze i był tatrzańskim kurierem, przeprowadzał ważnych ludzi przez granicę na Słowację i Węgry. Teksty Norwida silnie na mnie działały – ja emigrant, on też, no i niewola, komunizm, ówczesna sytuacja w Polsce.

Ale do dziś sięga pan do jego wierszy, powstała przecież świetna płyta [„Gromy i pyłki" – przyp. red.] oparta wyłącznie na jego trudnych przecież utworzch.

Bo ciągle jest aktualny, ponadczasowy i proroczy, a jego słowa mają siłę. Przerwa-Tetmajer był po prostu związany z Podhalem i znakomicie wpisuje się w to, co robię. Ale w projekcie, który realizuję pod szyldem Egron Nebb, na płycie „Teater Musa" sięgnąłem też po Przybyszewskiego. To oczywiście klimat młodopolskiej bohemy, bardziej uniwersalny kosmicznie, wywołany przy użyciu różnych dodatkowych materiałów wspomagających działania twórcze, podobnie jak czynił to Witkacy. Ale nie zażywam narkotyków, nie mam nawet kontaktu z alkoholem, choć czasem przed koncertem walnę jednego na rozgrzewkę [śmiech].

Teraz bardziej kręci pana polityka? Boi się pan, że Polska przestanie istnieć?

Nie, tego się nie obawiam. Mamy swoich patronów, np. św. Andrzeja Bobolę, i to nas ochroni. Nie jestem wieszczem, ale czuję, że Opatrzność nas wspiera.

Od prawie 30 lat znowu mieszka pan w polskich górach. Co dalej?

Poprosiłem o azyl polityczny w Norwegii. Czerwone chmury nadciągnęły nad niezależną muzykę w Polsce. Nawet ludzie, z którymi grałem, buntowali się i namawiali mnie, bym porzucił tematy, które poruszam, próbowali mnie ustawiać pod rynek i estradę. W Polsce zrobiło się tak ciasno, że dziś nie ma tu dla mnie miejsca.

Fot. Materiały prasowe

Autopromocja

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24

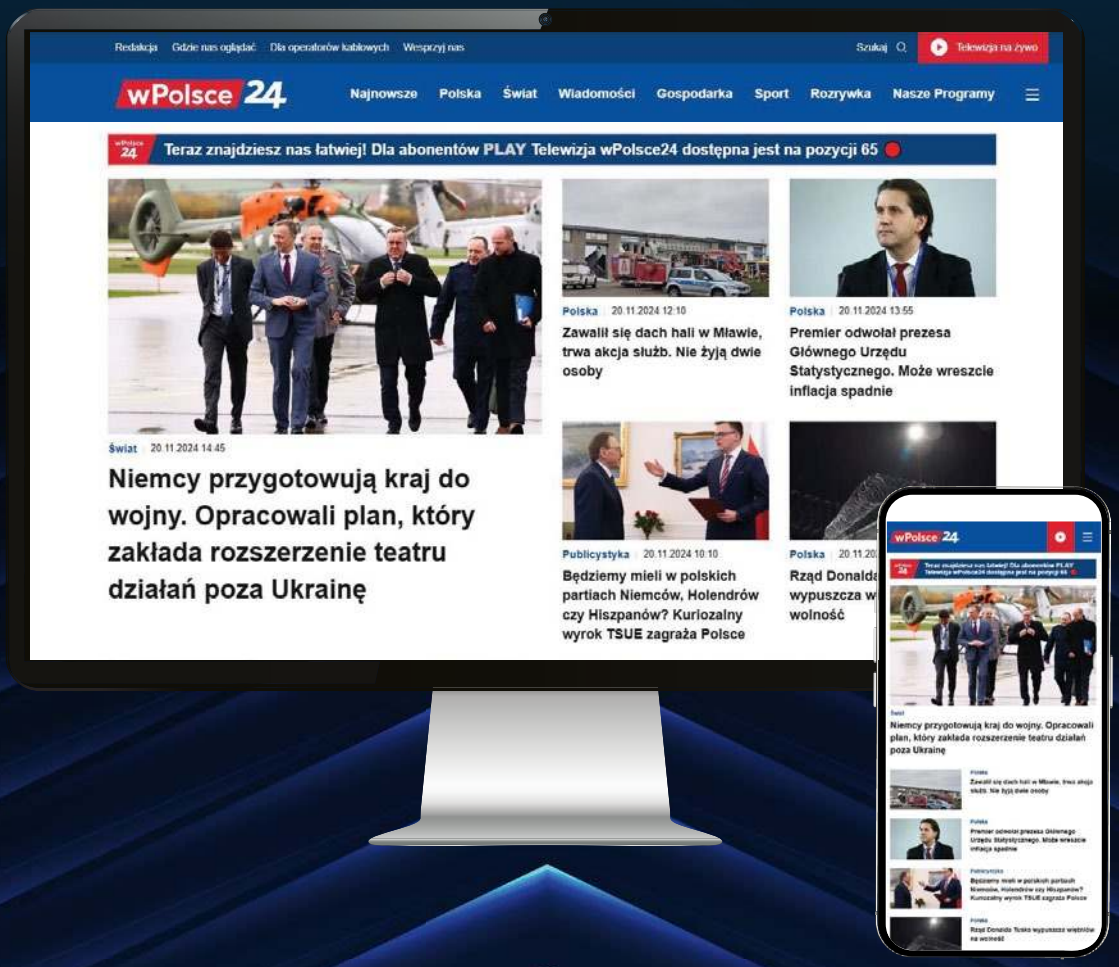

Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka >> sport >> rozrywka >> publicystyka >> **treści video**

www.wpolsce24.tv

eprasa.pl/7ib6a2d0a0

Umowa jak z koszmarów III Rzeszy

Pakt migracyjny jest tak bezprawnym, nikczemnym, zagrażającym bezpieczeństwu i suwerenności aktem, że stanowi wystarczający powód, by opuścić Unię Europejską

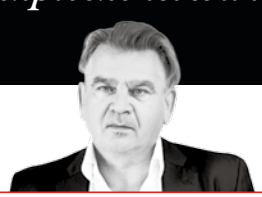

DARIUSZ MATUSZAK

Naporuszanie pewnych tematów zawsze jest zły czas – a to wybory, a to kryzys, a to wojna. Są więc jak tabu – niewypowiadalne. Za murem milczenia, w gettach dla myśli, na kształt tych, które europejskie elity budują wokół nieprawidłowych partii, np. AfD czy Szwedzkich Demokratów. Choć zdobywają one 20–40 proc. poparcia, są jak hinduscy pariasi – niedotykalne partie najniższej kasty. W Polsce tematem tabu jest polexit. Świat bez alternatywy – jeśli nie chcesz być po butem Rosji, musisz być w Unii, bo to gwarantuje ci bezpieczeństwo i coś tam, coś tam.

Otóż UE jako narzędzie niemieckiej i ułudnej francuskiej dominacji w Europie niczego nie gwarantuje, tylko eksploatuje podległe prowincje, by rozwiązać problemy, które stworzyła. Niezależnie od tego, co kto śni o jej potędze, Unia jest zesklerociałą, do cna zepsutą organizacją, która politycznie i militarnie jest już nieistotna dla świata. Wspólnota nie tylko gospodarczo i militarnie, lecz także intelektualnie nie jest już zdolna się ocalić. Dowodem choćby pełna kabotyńskiego oburzenia reakcja na słowa wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych J.D. Vance'a w Monachium, kiedy mówił, że największym zagrożeniem dla Europy nie są Rosja czy Chiny, ale porzucenie wartości, na których budowała swą potęgę.

Pomińmy kwestie aksjologiczne i spójrzmy praktycznie. Co jest większym zagrożeniem dla Belgów, Hiszpanów, Francuzów czy Niemców? Najazd Rosji czy to, że imigranci z Afryki i Azji rozwalą im kraje? Gratuluję piękna umysłu tym, którzy wierzą, że UE stanie w obronie Polski. Jeśli już, to tylko z powodu NATO i Ameryki. Za to ta Europa ludów lepszej rasy chętnie podzieli się swoimi zagrożeniami z narodami pośledniego gatunku jak Polacy. I przyśle tu dziesiątki, setki tysięcy swoich zagrożeń.

UNIJNE BEZPRAWIE

Temu służą przyjęte przez UE rozrządzenia o przymusowych przesiedleniach zwane paktem migracyjnym. Komisarze i urzędnicy z Brukseli zdecydują, kto ma być zesłany i do jakiego kraju. To wystarczający powód, by porzucić Unię, przyj-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

mując wszystkie konsekwencje tak niewyobrażalnego kroku. I tak – jeśli obecne tendencje demograficzne, społeczne i kulturowe się utrzymają, to za 20 lat nie będzie UE, tylko zlepek pogrążonych w chaosie i kryzysie albo wojnie domowej bytów jak Liban czy Syria. Nie będzie Europy w Europie. O tym też mówił Vance.

Pakt migracyjny ujawnia choroby dzisiejszej Unii. Po pierwsze, jest gwałtem prawnym, czyli bezprawiem. Art. 79 Traktatu o Funkcjonowaniu UE (TFUE) mówi o imigracji. Jest pełen zaklęć, iż Unia rozwija politykę imigracyjną, zapewnia sprawiedliwe traktowanie, zapobiega handlowi ludźmi i takie tam. Jest w nim jednak par. 5: „Niniejszy artykuł nie narusza prawa Państw Członkowskich do ustalania wielkości napływu obywateli państw trzecich [...] na ich terytorium w poszukiwaniu pracy lub na własny rachunek". Oznacza to, że to Polska, a nie Bruksela decyduje o tym, ilu migrantów przyjmie. Czy żadnego, czy tysiące. Unii nic do tego. Nie mamy złudzeń, że rząd Tuska zgodzi się na każdą liczbę, ale to nie zmienia istoty zapisu.

Skoro nie można ustanowić, ilu migrantów – takich, których Niemcy chcą się pozbyć – mamy przyjąć, to nie można też naliczyć haraczu za nieprzyjmowanie ich. A więc UE nie ma prawa żądać 20 tys. euro za każdego nieprzyjętego migranta. To tzw. obowiązkowa solidarność – potworek prawny, moralny i intelektualny. Jak uczciwe oszustwo.

Możemy grzebać dalej w tym unijnym bezprawiu. Otóż TFUE mówi, w jaki sposób mogą być nakładane podatki i opłaty. W przypadku tzw. zasobów własnych Unii musi je jednomyślnie przyjąć Rada UE. Niezależnie od tego, że worek, do którego trafią pieniądze z haraczu, zwie się funduszem solidarnościowym (jaki oni mają talent do załgiwania i plugawienia pięknych pojęć), i tak zasilą one unijny budżet, zasoby własne. A więc przy sprzeciwie Polski, Czech i Słowacji w 2023 r. UE nie mogła przyjąć przepisów o haraczu za nieprzyjmowanie nielegalnych migrantów. Wbrew temu, co opowiada europoseł Janusz Lewandowski z PO, nie potrzebna była większość kwalifikowana. Rząd Tuska ma prawo w każdej chwili odrzucić pakt o przesiedleniach i haraczach. To, że tego nie zrobi, jest zupełnie inną sprawą.

Tym, co najbardziej poraża w pakcie, jest nawet nie bezprawie, ale skrajna niemoralność. To najbardziej nikczemny akt w dziejach Unii Europejskiej. To akt o przymusowym przesiedlaniu ludzi, handlu nimi, o wykupywaniu ich ze zsyłek i transportów. Procedury, które trzeba będzie wdrożyć, są rodem z III Rzeszy albo sowieckiej Rosji. Jacyś urzędnicy będą dokonywać nadziału na poszczególne kraje: tyle i tyle przesiedlimy do Polski, tyle do Rumunii, a tyle do Czech. Potem selekcja: kto zostaje w Niemczech, a kto np. przez obóz w Eisenhüttenstadt trafi do Polski. Co, jeśli nikt nie będzie chciał jechać do Rumunii albo w ogóle opuszczać Niemiec? Czy wyznaczeni do wywózki będą wyłapywani? Jak ma się odbywać transport tysięcy ludzi, by zapobiec ucieczkom? Planowane jest przymusowe przesiedlanie co najmniej 30 tys. osób rocznie. Co ma się dziać w kraju przymusowego osadzenia? W Polsce mają trafić do tzw. ośrodków integracyjnych. Będziemy pilnować, by nie uciekli do Niemiec? Jak długo mają być w nich trzymani? A może to kraj docelowej zsyłki ma sam przeprowadzić selekcję w Niemczech i wybrać sobie lekarzy, informatyków i inżynierów? Powołamy jakąś komisję? Zbierzemy zamówienia od firm?

Choć jej kraj ma doświadczenie w masowych, przymusowych transportach ludzi i osadzaniu ich, to Ursula von der Leyen i jej urzędnicy nie pokazali, jak mają wyglądać wywózki i przesiedlenia. Może mają plan, a może nie, bo myślą, że samo się załatwi. Ot, Niemcy ogłaszają: „Kochane osoby imigranckie, podstawiamy wagony na wyjazd do Rumunii i prosimy o zajmowanie miejsc". 20 tys. euro to cena wykupienia z transportu jednego migranta. Hakimowi się upiekło i nie będzie zesłany do Rumunii, bo właśnie z Bukaresztu przyszedł przelew.

Niezależnie od tego, że imigranci bezprawnie przedostali się do Unii, niosą ze sobą obcą nam kulturę, powodują rozpad wspólnot, wzrost przestępczości, to jak każdy mają przyrodzoną godność. Polska nie może więc uczestniczyć w przymusowym przesiedlaniu, wykupywaniu migrantów, a więc w handlu ludźmi. Nie może traktować ich jak towaru do magazynowania czy recyclingu, choćby Niemcy za swoim idolem Marksem uznawali ich za odpady rasowe.

Polski żołnierz ani policjant nie mogą z bronią pilnować transportów z Niemiec do miejsc zsyłki. Nie mamy moralnego ani nawet skodyfikowanego prawa trzymać tych ludzi w zamknięciu. Jak przyszli do Niemiec, to niech ich Niemcy goszczą. Nie możemy być dla Niemców strażnikami niepotrzebnych im ludzi. Niech ich sobie segregują i trzymają w obozach, a Belgowie i Holendrzy w ZOO. Mają wprawę. Paryż niech ich zsyła do Gujany Francuskiej.

NAJGORSZY WRÓG EUROPY

Polska nie może uczestniczyć w procederze traktowania ludzi jak zwierzęta i towary. Pakt imigracyjny to odrzucenie wartości, na jakich niby jest budowana UE i tych, które legły u podstaw naszej cywilizacji. To powrót do czasów, kiedy ludzie byli statystyką i numerem. Ci, którzy odpowiadają za zniszczenia swych krajów, zalanie ich niekontrolowanymi falami imigrantów, nie mają prawa przerzucać odpowiedzialności i problemów na kraje, które nie uczestniczyły w procederze otwierania granic czy ograbiania biednych państw z wykształconych i rzutkich ludzi. Bo Niemcy chcieli sprowadzać ludzi na roboty.

Przybysze i osoby imigranckiego pochodzenia to dziś 70 proc. mieszkańców Brukseli, 60 proc. Rotterdamu, 56 proc. Hagi, 53 proc. Frankfurtu, 50 proc. Amsterdamu i Paryża. Za 20–30 lat Warszawa, Łódź czy Kraków nie będą polskimi miastami. Pakt o zsyłkach i haraczach oznaczający, że nawet nie decydujemy, kto może mieszkać w naszym kraju, jest wystarczającym powodem, by Polska opuściła do cna zepsutą i amoralną Unię, która zmierza ku społecznej i gospodarczej katastrofie. Vance ma rację: Unia jest najgorszym wrogiem Europy.

Oczywiście w zabójczym dla Polski akcie rząd Tuska przyjmie imigrantów i nie znajdzie się żadna siła polityczna, która powie: polexit! Dziś wyjście z UE jest nierealne, ale czas, by o tym mówić, już nadszedł. Będę kasandryczył, pisał na Berdyczów i wołał na puszczy: szalupy ratunkowe muszą być przygotowane, drzwi i korytarze ewakuacyjne drożne. Kropla drąży skałę, proces, który będzie trwał lata, rozpoczął się i nie zmienią tego żadne wrzaski. Jeśli nie zmieni się sama UE, to i tak ją pożegnamy. Rozleci się. Chcesz pokoju, to szykuj się do wojny. Nie chcesz upadku Unii, to szykuj się do wyjścia z niej.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Kongres Opozycji Antyustrojowej – alternatywa dla okrągłego stołu

Łapanki na ulicach miast, blokady dróg, aresztowania w mieszkaniach i na dworcach: w takich okolicznościach odbywało się spotkanie środowisk, które nie zgadzały się na kompromis z komunistami. Dzisiaj nikt nie pamięta o tym wydarzeniu

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Wiosną i latem 1988 r. przez Polskę przetoczyła się gigantyczna fala strajków i protestów. Liczne zakłady i przedsiębiorstwa wstrzymywały pracę, sprzeciwiając się coraz gorszej sytuacji politycznej i gospodarczej w kraju. Narastała presja Kościoła, by rozpocząć negocjacje z opozycją, państwa zachodnie podkreślały poparcie dla Solidarności, a w ZSRR trwały przemiany wywołane pierestrojką Gorbaczowa.

Wszystko to sprawiło, że w połowie sierpnia 1988 r. władze PRL podjęły dialog z opozycją. 16 września rozpoczęły się osławione rozmowy w Magdalence, w których uczestniczyli przedstawiciele władz państwowych, ruchu solidarnościowego i Kościoła. Ustalono, że reprezentanci komunistycznego aparatu spotkają się ze swoimi oponentami przy okrągłym stole, gdzie będą omawiać sytuację w kraju i metody wyjścia z kryzysu. Wrócił także na temat legalizacji Solidarności.

OPOZYCJA W OPOZYCJI

Część ugrupowań opozycyjnych od samego początku sprzeciwiała się takiej formie dialogu z władzą i krytykowała ideę okrągłego stołu oraz nazbyt ugodową politykę kierownictwa Solidarności wobec komunistów. Domagały się one pełnej demokratyzacji Polski bez zawierania jakichkolwiek układów z władzą. Nie uznawały także przywództwa Lecha Wałęsy.

W pierwszych miesiącach 1989 r. aktywność tych środowisk wyraźnie wzrosła. Nakładało się na to narastające niezadowolenie społeczeństwa, które było coraz bardziej rozczarowane brakiem zdecydowanych zmian w kraju, zarówno gospodarczych, jak i politycznych.

W styczniu 1989 r. Zbigniew Jagiełło z Solidarności Walczącej w tekście pod wymownym tytułem „Reformować system czy obalać" napisał: „Zwolennicy ugody, bo tak ich trzeba nazwać, twierdzą, że tylko na tej drodze można zyskać coś dla społeczeństwa. Nie ma na to żadnych dowodów. Co gorsze, istnieją dowody, że komuniści są nieszczerzy. Polityka ugody jest więc polityką szkodliwą i niebezpieczną dla społeczeństwa. Sieje fałszywą wiarę w porozumienie i pacyfikuje przez to nastroje społeczne, co nie sprzyja osiągnięciu przez społeczeństwo podmiotowości, lecz służy nawet umacnianiu komunizmu. Czas najwyższy, aby przestrzec przed tą naiwną drogą, która skończy się zapewne kolejnym narodowym rozczarowaniem i pogrzebie szanse wyzwolenia się z komunizmu na co najmniej kilka lat".

KOŚCIÓŁ NA GÓRCE

6 lutego 1989 r. w Warszawie rozpoczęły się obrady okrągłego stołu. W tym samym miesiącu przeciwnicy tego for-

Fot. IPN

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Kościół pw. Najświętszej Maryi Panny Matki Kościoła w Jastrzębiu-Zdroju

matu podjęli próbę stworzenia wspólnej platformy politycznej alternatywnej dla linii działania Lecha Wałęsy i jego zaplecza. W ten sposób zrodziła się idea Kongresu Opozycji Antyustrojowej. Inicjatorami wydarzenia byli Rinaldo Betkiewicz, działacz górnośląskiego ośrodka Ruchu „Wolność i Pokój", oraz Jarosław Podworski reprezentujący regionalną strukturę Polskiej Partii Socjalistycznej – Rewolucja Demokratyczna. Wspomagała ich część członków Niezależnego Zrzeszenia Studentów z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz katowickiej młodzieżówki Konfederacji Polski Niepodległej.

Kongres miał doprowadzić do stworzenia „ponadpartyjnego ruchu politycznego, w którym uczestniczą [...] wszyscy ci, dla których wyjście z systemu totalitarnego jest jedyną szansą na godne życie".

Za zgodą i przy wsparciu ks. Bernarda Czerneckiego, kapelana śląsko-dąbrowskiej Solidarności i proboszcza parafii Najświętszej Maryi Panny Matki Kościoła w Jastrzębiu-Zdroju (nazywanego kościołem na Górce ze względu na swoje usytuowanie), wydarzenie miało zostać zorganizowane w salkach jastrzębskiej parafii 25 lutego 1989 r. Miejsce nie było przypadkowe. Od czasu strajków górników z sierpnia i września 1980 r. zakończonych podpisaniem porozumienia jastrzębskiego kościół na Górce stanowił jedno z duchowych i organizacyjnych centrów śląsko-dąbrowskiej Solidarności.

ZATRZYMANIA I KOCIOŁ

Służba Bezpieczeństwa od razu zainteresowała się planowanym spotkaniem ruchów opozycyjnych, które sprzeciwiały się rozmowom Lecha Wałęsy z władzami komunistycznymi. Po analizie sytuacji uznano, że należy nie dopuścić do zorganizowania kongresu. Ruszyły aresztowania.

Punktem kontaktowym dla osób przyjeżdżających z różnych regionów kraju na obrady w Jastrzębiu-Zdroju miało być mieszkanie babci Jarosława Podworskiego w Katowicach. Tam też zorganizowano biuro kongresu. Rankiem 25 lutego 1989 r. funkcjonariusze SB weszli do lokalu i zorganizowali w nim tzw. kocioł. Zatrzymano ok. 30 osób, w tym m.in. Jarosława Podworskiego, Tomasza Burka, Artura Koszykowskiego, Ewę i Cezarego Miżejewskich oraz Tomasza Pieczyńskiego.

Wiele osób wybierających się na kongres aresztowano jeszcze przed opuszczeniem miejsc zamieszkania. We Wrocławiu SB zatrzymała przedstawicieli Polskiej Partii Socjalistycznej – Rewolucja Demokratyczna: Józefa Piniora, Czesława Borowczyka, Andrzeja Kowalskiego i Roberta Kazimierczaka. Wiele osób złapano na ulicach Katowic (m.in. członków Konfederacji Polski Niepodległej, w tym Adama Słomkę, oraz przedstawicieli Młodzieżowej Grupy Niepodległościowej „Pokolenie" z Opola). Zatrzymań dokonywano także na dworcach PKP i PKS czy w pociągach.

Największą blokadę zorganizowano wokół Jastrzębia-Zdroju. Z samochodów i autobusów bezpieka wyciągała ludzi, których nie udało się zatrzymać w stolicy Śląska. O skali „wielokierunkowych działań profilaktyczno-zapobiegawczych" podjętych przez SB może świadczyć to, że ogółem zatrzymano 120 osób, które zamierzały wziąć udział w wydarzeniu w Jastrzębiu-Zdroju.

KONGRES

Kongres udało się jednak zorganizować, choć w mocno okrojonym składzie. Spotkanie odbyło się zgodnie z planem 25 lutego 1989 r. w kościele NMP w Jastrzębiu-Zdroju. Ostatecznie wzięło w nim udział 58 osób, w tym członkowie Solidarności Walczącej, KPN, PPS-RD, Ruchu Wolność i Pokój, Niezależnego Zrzeszenia Studentów, Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności", Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, przeciwnicy Lecha Wałęsy z Grupy Roboczej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", a także przedstawiciele niektórych ogniw zakładowych Solidarności z jastrzębskich kopalni.

Podczas dyskusji główną rolę odgrywali działacze PPS-RD: Piotr Ikonowicz i Bogumiła Tyszkiewicz. Przystąpienie do rozmów z komunistami odbierano jako zdradę ideałów Solidarności i legitymizację władzy. W wydanym oświadczeniu stwierdzano, że celem kongresu jest „zniesienie monopolistycznej władzy PZPR i doprowadzenie do pełnej demokracji politycznej i gospodarczej, do wolnych wyborów". Oceniano, że „kompromisy z komunistami, niezależnie od intencji tych, którzy je zawierają, służą jedynie podtrzymywaniu upadającego reżimu". W tym celu uczestnicy kongresu mieli organizować, koordynować oraz wspierać politycznie i organizacyjnie strajki oraz protesty społeczne.

PROTESTY, DEMONSTRACJE, WALKI

Środowiska zebrane w Jastrzębiu-Zdroju zintensyfikowały akcje sprzeciwu wobec władzy komunistów. Na samym Śląsku, przede wszystkim w Katowicach, nastąpił gigantyczny wzrost liczby różnego rodzaju demonstracji i protestów. Ich organizatorami i uczestnikami była przede wszystkim młodzież. Jedną z okazji do tłumnego wyjścia na ulice były rocznice delegalizacji NZS czy wydarzeń Marca 1968 r. KPN organizowała demonstracje na rzecz poszanowania praw człowieka i obywatela w PRL i Czechosłowacji.

Najczęściej jednak protestowano z powodu bieżących wydarzeń. 30 marca w Białymstoku odbyła się demonstracja ekologiczna zorganizowania m.in. przez NZS, KPN oraz PPS-RD. Powodem było wykolejenie pięciu wagonów z chlorem jadących z ZSRR do NRD.

Wiosną 1989 r. w wielu miastach doszło do walk ulicznych, w których uczestniczyli członkowie KPN, Federacji Młodzieży Walczącej, NZS oraz Ruchu WiP. Rozpoczęły się w lutym

Fot. D T G/wikipedia

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

w Krakowie, a ich apogeum przypadło na maj 1989 r. w tym samym mieście. W trakcie trzydniowych walk podczas „krakowskiego maja" ZOMO używało pałek, armatek wodnych, gazu łzawiącego i rakiet oświetlających, a demonstranci kamieni, butelek z benzyną oraz prętów. Zomowcy strzelali rakietami, petardami i granatami prosto w tłum. Dochodziło do walk wręcz, a demonstranci budowali barykady.

Rannych zostało kilkadziesiąt osób po obu stronach. Walki zakończyły się 18 maja 1989 r. po rozmowach delegacji protestujących (z udziałem m.in. Leszka Moczulskiego) z przedstawicielami władz. Z kolei we Wrocławiu 1 maja odbyła się wielotysięczna antyrządowa demonstracja, do której wezwały Solidarność Walcząca i PPS-RD. Doszło do walk z ZOMO, jeden z protestujących został przejechany przez milicyjną nysę, a wiele osób zostało rannych.

Brutalna rozprawa z demonstrantami utwierdzała ugrupowania uczestniczące w kongresie w przekonaniu, że w działaniach władz nic się nie zmieniło, a zarzuty wobec zawartej ugody okrągłostołowej są słuszne. W związku z tym w tym samym miesiącu Komisja Krajowa NZS podjęła decyzję o rozpoczęciu akcji strajkowej na polskich uczelniach. Poszerzona o przedstawicieli strajkujących uczelni przekształciła się w Ogólnopolski Komitet Strajkowy. Większość uczelni zorganizowała strajki okupacyjne.

DRUGI KONGRES I WYBORY

W takiej atmosferze 21 maja 1989 r. w Collegium Witkowskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie odbyło się drugie spotkanie kongresu. Wezwano wówczas do bojkotu wyborów parlamentarnych, skrytykowano poczynania Wałęsy oraz przyjęto oświadczenie popierające protesty chińskich studentów na placu Tian'anmen w Pekinie.

Wizja czerwcowych wyborów doprowadziła jednak do częściowego rozłamu między środowiskami tworzącymi kongres. Konfederacja Polski Niepodległej zdecydowała się wziąć w nich udział mimo braku akceptacji dla ostatecznej formy tzw. historycznego kompromisu. W uchwale Rady Politycznej KPN oświadczono: „Jeśli nie znajdzie się nikt, kto podejmie konfrontację wyborczą, występując otwarcie przeciw władzy, komuniści będą mogli twierdzić, że ich rządy nie mają politycznej alternatywy, że społeczeństwo poparło rządzącą koalicję i tych, którzy chcą z nią współpracować". W dokumencie podkreślono, że ostatecznym celem formacji są wolne wybory. Mimo wielu trudności partii udało się zarejestrować 17 kandydatów na posłów i 6 na senatorów. Żaden z nich nie zdołał przejść do drugiej tury.

> Przystąpienie do rozmów z komunistami odbierano jako zdradę ideałów Solidarności i legitymizację władzy. W wydanym oświadczeniu stwierdzano, że celem kongresu jest „zniesienie monopolistycznej władzy PZPR i doprowadzenie do pełnej demokracji politycznej i gospodarczej, do wolnych wyborów"

Później środowiska uczestniczące w Kongresie Opozycji Antyustrojowej zgodnie sprzeciwiały się kandydaturze Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta kraju. Tylko 24 czerwca wspólne demonstracje miały miejsce w Krakowie, Wrocławiu, Katowicach, Gdańsku, Poznaniu i Opolu.

Wbrew intencji organizatorów kongres nie odegrał roli platformy integrującej uczestniczące w nim środowiska. Przeciwnicy okrągłego stołu byli zbyt podzieleni, żeby jeszcze bardziej skoordynować swoje działania. Przyczyniły się do tego zarówno dezintegracyjne działania SB, jak i opór środowisk, które opowiadały się za negocjacjami z komunistami. Uczestnicy Kongresu Opozycji Antyustrojowej planowali pogłębienie integracji wielu organizacji i środowisk, utworzenie ogólnopolskiej sieci łączności i alternatywnej agencji informacyjnej, a także organizowanie szkoleń ekspertów płacowych i działaczy związkowych w zakładach pracy. Te założenia nie przybrały jednak realnych kształtów. Nie udało się dotrzeć ze swoimi hasłami do szerszego kręgu odbiorców oraz wykorzystać rosnącego w 1989 r. niezadowolenia społecznego.

PRESJA MIAŁA SENS

Najbardziej wymiernym skutkiem działalności tego środowiska było koordynowanie i zintensyfikowanie akcji protestacyjnych, które trwały po wyborach z 1989 r. Warto wspomnieć o zainicjowanej przez KPN 13 października 1989 r. w Katowicach akcji okupowania lokali PZPR i innych oficjalnych organizacji politycznych, takich jak Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego czy Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Akcja objęła cały kraj i trwała kilkanaście tygodni. Przyłączyły się do niej FMW, NZS oraz Ruch WiP. Okupowano łącznie ok. 120 lokali. Celem tej akcji było wypieranie komunistów z przestrzeni publicznej. Domagano się także równego traktowania wszystkich organizacji politycznych łącznie z tymi, które nie wzięły udziału w rozmowach okrągłego stołu. Organizowano też pikiety i blokady sowieckich baz wojskowych, skandując hasło: „Sowieci do domu".

Środowiska biorące udział w Kongresie Opozycji Antyustrojowej nie stworzyły jednak znaczącej siły politycznej, a w wyniku przemian politycznych w Polsce z czasem straciły na znaczeniu. Nie można jednak zapominać, że to właśnie ich akcje aktywizowały społeczeństwo i wywierały presję zarówno na władze państwowe, jak i stronę solidarnościową. To z kolei inicjowało zmiany i wpływało na proces demokratyzacji naszego kraju.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Zagrała kluczowe role w trzech najbardziej dochodowych filmach wszech czasów. I nie pokazała w nich swojej twarzy. Dzięki „Emilii Pérez" Zoe Saldaña powinna zdobyć pierwszego Oscara. Szkoda, że za drugi plan

Bez charakteryzacji

Fot. Gutek Film

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W fantastycznym świecie „Avatara" (przełomowego technologicznie filmu Jamesa Camerona z 2009 r. i jego kolejnych częściach) wygenerowana komputerowo księżniczka Neytiri z klanu Na'vi miała jej wdzięk i zwinność, mimikę i dynamiczny charakter. W różnych odsłonach „Avengersów" oraz „Strażników Galaktyki" wcielała się w zielonoskórą Gamorę – superwojowniczkę dysponującą nadludzką siłą i gibkością. W każdej z tych produkcji Zoe Saldaña była schowana za swoimi obdarzonymi niezwykłymi mocami bohaterkami. W końcu powiedziała: „Dość".

ILE JESTEŚ WARTA?

W widowiskowym kinie akcji i fantasy wypracowała sobie silną pozycję. Jej nazwisko od lat łączy się z wielkimi produkcjami i takimi pieniędzmi. A jak wiadomo, w Hollywood jesteś warty tyle, na ile wyceniono najnowszy film z twoim udziałem, a także jak postrzegany jesteś w branży. Saldañę, cenioną za elastyczność i umiejętność błyskawicznych transformacji, kojarzy się zarówno z zawodowym profesjonalizmem, jak i kasowymi sukcesami.

Nie bez powodu to właśnie jej udało się zagrać w trzech najbardziej dochodowych filmach wszech czasów („Avatar", „Avengers: Koniec gry" oraz „Avatar: Istota wody"). To ugruntowało hollywoodzki status 46-letniej dziś aktorki, ale, jak przyznawała w wywiadach, nie dało jej szansy pełnego zawodowego spełnienia i rozwoju. Postanowiła to zmienić i patrząc z jej perspektywy, zaryzykowała udział w projekcie o znacznie niższym budżecie niż te, z którymi była kojarzona. Chodziło też o dość zaskakujący oraz niejednorodny w przekazie musicalowy dramat kryminalny. Rozgrywający się w Meksyku i wyreżyserowany przez dziś 72-letniego Francuza, Jacquesa Audiarda.

TAŃCZY, ŚPIEWA, GRA

W „Emilii Pérez" – bo o tym filmie mowa – Saldaña miała zagrać bez fantastycznej charakteryzacji, ale rolę (także sprawnościowo) bardzo wymagającą. Wbrew temu, co sugerowałyby oscarowe nominacje, jej bohaterka wypełnia większość kadrów. I robi to na wielu poziomach: tańczy i śpiewa (zresztą znakomicie), a przede wszystkim gra. Unikając manier, których nie ustrzegły się jej ekranowe partnerki: transpłciowa Karla Sofía Gascón czy muzyczna gwiazda Selena Gomez.

Jury ubiegłorocznego festiwalu w Cannes, biorąc pod uwagę chyba bardziej przekaz filmu niż faktyczny aktorski wkład, przyznało nagrodę dla najlepszej aktorki całej czteroosobowej kobiecej obsadzie (znalazły się w niej: Zoe Saldaña, Selena Gomez, Karla Sofía Gascón i Adriana Paz). Tymczasem mimo spektakularnej zmiany, na jaką decyduje się filmowy szef narkotykowego kartelu (w obu odsłonach grany przez Gascón), metamorfozy, która w założeniach twórców filmu miała „przeformatować" bohatera/bohaterkę, to nie tytułowa „Emilia Pérez" (ani jej/jego żona i kochanka) towarzyszy widzom przez cały film.

PIERWSZE SKRZYPCE

Przewodniczką i wiodącą postacią jest prawniczka Rita Moro Castro. To ona podejmuje karkołomne zadanie przeprowadzenia mafijnego bossa (zmieniającego płeć i tożsamość, ale nie nawyki) przez prawne meandry. Grająca Ritę Saldaña z równą swobodą bierze udział w najbardziej skomplikowanych układach choreograficznych, scenach akcji czy dramatycznych przełomach fabuły, a jednocześnie rozwija swoją postać.

W przemianę jej bohaterki – nawet przedstawionej w tak karkołomnej, mieszającej style i koncepty oprawie – widz wierzy. Amerykańscy akademicy słusznie dali Saldanie nominację do (pierwszego w karierze) Oscara. Szkoda, że za drugi plan, bo to ona gra w „Emilii Pérez" pierwsze skrzypce. Z równą siłą, determinacją i potencjałem co jej bohaterka.

ROLE ŻYCIA

Saldaña ma korzenie portorykańsko-dominikańskie i od kiedy może, wykorzystuje swoją pozycję w show-biznesie, by działać na rzecz kobiet oraz osób o innym niż biały kolorze skóry. Urodziła się w USA, ale po tragicznej śmierci ojca wraz z matką przeniosła się na Dominikane. Tam odkryła taneczną pasję. Po latach komentowała: „Taniec był moją pierwszą miłością i to dzięki niemu nauczyłam się dyscypliny oraz wyrażania emocji poprzez ruch. Choć ostatecznie wybrałam aktorstwo, doświadczenie zdobyte w tańcu pomogło mi w kreowaniu postaci i lepszym zrozumieniu ciała na scenie".

W kinie zadebiutowała rolą... baletnicy (w filmie „Center Stage", 2000). Prawdziwy zawodowy przełom nastąpił w roku premiery filmu „Avatar".

Prywatnie od 12 lat jest żoną włoskiego artysty Marca Perego-Saldañy (po ślubie dodał do swojego nazwisko żony). Mają trzech synów: dziesięcioletnich bliźniaków Cy'a Aridia i Bowie'go Ezia oraz siedmioletniego Zena.

Pytana o podejście do życia mówi: „Cały czas chcę się uczyć, rozwijać. Jest taki cytat z Konfucjusza: «Wszyscy mamy dwa życia. To drugie zaczyna się w chwili, gdy zdamy sobie sprawę, że mamy tylko jedno». Moje drugie życie zaczęło się, gdy zrozumiałam, jak cenne jest każde doświadczenie i jak ważne jest, by nie marnować żadnej chwili".

Fot. Gutek Film

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Nowy „Joker” nie powalił mitu Batmana

Broniłem pierwszego „Jokera” Todda Williamsa. Wielu znajomych odrzucało ten film jako przejaw fascynacji zbrodnią. Ja nie widziałem w nim afirmacji przemocy. Główny bohater, koncertowo zagrany przez Joaquina Phoenixa, nie miał w sobie nic pociągającego. Przeciwnie, był nieprzyjemny, męczący z tym swoim psychotycznym, powracającym śmiechem. Ta opowieść chwilami wywoływała zażenowanie, jednak z wyraźnym morałem: popatrzcie, świat taki bywa. Miałem wrażenie, że oferowano nam może nie całkiem jasną, ale jakąś lekcję człowieczeństwa.

Arthur Fleck, przyszły Joker, był wariatem. Owszem, dostaliśmy oskarżenie świata, że nie zadbał o jego leczenie, zaniedbane przez cięcia budżetowe w psychiatrii. I że gotów był go obśmiewać ustami popularnego showmana zagranego przez starego Roberta De Niro. Ale to nie usprawiedliwiało jego czynów ani nie czyniło ich atrakcyjnymi. No, może poczułem odrobinę satysfakcji, kiedy zabijał celebrytę z twarzą De Niro. Przede wszystkim była to jednak opowieść o szaleństwie, które z kalekiej jednostki rozlewało się na świat, czyli na Gotham City – czyli na Amerykę z jej pragmatyzmem i kultem sukcesu. Coś z tego szaleństwa można było przecież wychwycić w kolejnych „Batmanach”, tych prześmiewczych, zainicjowanych przez Tima Burtona, i tych na serio Christophera Nolana.

Tyle że wtedy oglądaliśmy to szaleństwo z perspektywy milionera bawiącego się w zbawcę świata. Dziś modne są wszelkiego typu dalsze ciągi, prequele, nowe wersje, często polemiczne wobec oryginału. Williams zaproponował nam grę: wyobraźcie sobie, że było trochę inaczej. Joker to ani zbrodniczy błazen Jacka Nicholsona, ani mroczny psychopata Heatha Ledgera. To owszem świr, ale przecież nieszczęśliwy prostaczek, któremu miesza się w głowie. Zamiast mitu dostajecie antymit – taki o wykluczonych, zapomnianych.

Teraz dostaliśmy dalszy ciąg pod tytułem „Joker: Folie à Deux”. W kinach zabawił krótko, skądinąd wyśmiany przez ogół recenzentów. Trafiłem na niego dopiero na HBO. Okazało się, że tym razem krytycy mieli rację. Próba pociągnięcia tej samej historii okazuje się monotonna, jałowa. Powtarzamy sytuacje z pierwszej części, bo odbywa się proces sądowy Flecka-Jokera. Cały czas zadawałem sobie pytanie: po co ta powtórka? Gdzie wartość dodana?

Film ma niby ożywić konwencja musicalu. W czeluściach mrocznego więzienia czy na sali sądowej Phoenix wykonuje standardy, a towarzyszy mu Lady Gaga, która śpiewać niewątpliwie umie. Jak to się jednak stało, że nie ożywia to filmu? To nie jest nowe „Chicago”. Po pierwszym zaskoczeniu te trele pogłębiają tylko wrażenie sztuczności i nudy.

Zdziwiło mnie, że Williams zrezygnował z wątku odwrócenia opowieści o Batmanie, czyli bohaterskim bogaczu, jako kontrapunkcie dla Jokera. Jedynym śladem podwójności mitu jest fakt, że Flecka oskarża prokurator Harvey Dent, jedna z postaci pojawiających się w tamtym cyklu. Sądząc po zakończeniu drugiego „Jokera”, to cofnięcie się przed dokończeniem bitwy na mity jest chyba definitywną decyzją. Trzeciej części nie powinno być.

Zarazem uderzyło mnie, że tym razem mamy próbę, koślawą i mało czytelną, ale jednak przekonania nas, że udawanie Jokera przez wariata ma jakiś społeczny, a może i metafizyczny sens. Ogólnie pasuje to do popkultury, która usiłuje być coraz bardziej mroczna, opowiadana z perspektywy destruktorów i siewców przemocy. Tym razem nie było to przekonujące, bo zabrakło błyskotliwości w opowiadaniu.

Przychodzi mi do głowy przewrotna myśl: może to i dobrze. Choć chętnie bym zobaczył spotkanie Jokera z Batmanem, w którym ten pierwszy jest postacią naprawdę tragiczną.

Piotr Zaremba

ebrasa.pl 7 b3a2d0a0

3 MIŁOŚCI

Bawaria i Buriacja

ROBERT TEKIELI

Wiele zdaje się wskazywać, że Polska nie odegra roli pionka do bicia na geopolitycznej szachownicy. Uratowała nas geografia. Kijów najpewniej zakotwiczy w sferze interesów ekonomicznych USA. Pojawienie się realnych amerykańskich interesów nad Dnieprem daje Ukraińcom przynajmniej względne bezpieczeństwo. A dziś nie czas na grymasy. Bez Polski nie ma wolnej Ukrainy. Przynajmniej bez Jasionki i Rzeszowa.

USA wiążą ze sobą Polskę i Ukrainę. Piękny zaczątek Międzymorza. Teraz trzeba przyciągnąć państwa skandynawskie, bałtyckie, Rumunię, Mołdawię...

Stany Zjednoczone rozmawiają z Rosją na temat Ukrainy, myśląc o Chinach. USA rozmawiają z Rosją na temat przyszłości bezpieczeństwa Europy bez Europy. Stara Europa krzyczy, bo rozmowy toczą się nad jej głowami. Nie jest zaproszona do stołu. Tak jak Polska po II wojnie światowej.

Europa nie ma żadnych środków sprawczych, nie ma sił wojskowych, nie ma przemysłu wojennego, kuleje gospodarczo. Wielka Brytania nie jest w stanie wystawić jednej pełnowartościowej dywizji. Holandia nie ma ani jednego czołgu. Co chcą wysłać na Ukrainę?

Dziś Stany Zjednoczone pokazują swe drapieżne oblicze. Raz na kilkadziesiąt lat możemy widzieć politykę międzynarodową bez propagandowej zasłony. Donald Trump pyta Europę: czy stoimy po tej samej stronie geopolitycznego równania?

2008 r., atak Rosji na Gruzję, co robi Europa? Buduje Nord Stream 1, karmi agresora. Lech Kaczyński w Tbilisi: następna będzie Ukraina. 2014 r., Rosja atakuje Ukrainę, zajmuje Krym, wyrywa Donieck. Co robi Europa? Buduje Nord Stream 2, Kijów ma być bezbronny wobec Rosji.

Berlin postanowił znów zostać globalnym graczem. Światowym mocarstwem. Po to sojusz z Putinem. Niemcy finansują rosyjskie zbrojenia. Trwa budowa Europy od Władywostoku po Lizbonę. Trzeciego ośrodka światowej władzy obok Chin i Stanów Zjednoczonych.

Ten projekt jest z gruntu antyamerykański. I głupi. Który geniusz wymyślił, że da się wypchnąć USA z Europy, zachowując amerykański parasol wojskowy?

Berlin widzi swój powrót do globalnej polityki w sojuszu z Moskwą. Tego nie da się pogodzić z NATO. To potężne zagrożenie dla Polski. Nasz rząd musi wybrać: albo z Niemcami przeciwko Ameryce, albo z Ameryką przeciwko Niemcom. Ten sam dylemat ma i Warszawa, i Kijów. Kijów już chyba wybrał.

Europa jest bezbronna przed burzą i może za to winić tylko siebie. Polska musi postawić na sojusz z państwem, które dysponuje realną siłą. Niemiecko-rosyjski tandem jest naszym największym koszmarem.

Musimy zyskać czas. Rosnąć gospodarczo i zbroić się, by uniezależnić się od Stanów Zjednoczonych Ameryki i Stanów Zjednoczonych Europy.

Unia Europejska już dawno wyszła z NATO. Karmiąc Rosję, otwierając granice, za których obronę odpowiada Sojusz, eksportując wrażliwą technologię do państw zbójeckich, nakładając sankcje na kraje członkowskie zwiększające nakłady na zbrojenia. Niemiecka UE świadomie osłabia NATO, działa na rzecz Putina.

Ani NATO, ani Unia Europejska nie są więc już dogmatami. Jeśli Polska chce przetrwać, musi prowadzić twardą politykę. Jak Niemcy, Rosja, Turcja, Francja, Wielka Brytania, USA, Ukraina.

Być może trzeba się będzie wycofać z przekazania UE części naszej suwerenności. Że traktaty? Jeśli dostawałbym eurocenta za każde ich złamanie przez Berlin, byłbym milionerem.

Nie ma już pewników. Są tylko interesy. Nikomu nie ufać, brać, nie kwitować. Geografia nie zawsze będzie za nas wygrywać bitwy.

W lutym 2023 r. wspierający Putina czeczeński dyktator Ramzan Kadyrow zaproponował pomoc organizacyjną Rosji przy referendum na temat autonomii Śląska, politycy AfD już od dłuższego czasu spoglądają w kierunku Szczecina, Gdańska i Wrocławia. Jak rozumiem, polskie służby pracują już na kierunkach Bawaria i Buriacja.

Wojna na Ukrainie uruchomiła ukryte konflikty etniczne w Rosji. Świadczy o tym m.in. 11 ofiar strzelaniny pomiędzy żołnierzami z Tadżykistanu i Rosji na rosyjskim poligonie wojskowym we wsi Sołoti w obwodzie biełgorodzkim, a także ofiary strzelaniny w Kyseliwce w obwodzie chersońskim pomiędzy żołnierzami Federacji Rosyjskiej pochodzącymi z Buriacji i Czeczenii.

W Niemczech Bayernpartei, chrześcijańsko-konserwatywna partia dążąca do powstania niepodległego państwa Bawaria, osiąga poparcie na poziomie 1,5–2,3 proc. w skali kraju. 3 października 2016 r. w Monachium w Hofbräukeller Wiener Platz jej członkowie świętowali 70-lecie istnienia. Na uroczystości goszczono lokalnych działaczy partyjnych i samorządowych oraz polityków z Brukseli. Na przyszłorocznych obchodach 80-lecia walki o wolną Bawarię nie powinno zabraknąć polskich polityków i samorządowców.

Zarówno utworzenie wolnej Bawarii, jak i rozdarcie Rosji wzdłuż szwów narodowych jest polską racją stanu.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Jak ogarnąć językiem naukowym biblijną prostotę i mistykę codzienności? Spróbowała tego Katarzyna Jóźwik w książce ***„Po prostu jestem z tymi ludźmi. Działalność ks. Jerzego Popiełuszki w latach 1980–1984”***. Udało się jej dotknąć istoty fenomenu zlęknionego wikarego parafii św. Stanisława Kostki, który w ciągu kilku lat stał się trybunem i prorokiem dla milionów Polaków, symbolem moralnego oporu, a dla zbrojnej, zbrodniczej mniejszości – celem.

„Był w pełni prawdziwym człowiekiem, prostym i dobrym. Nie chorował na wielkość, nie udawał bohatera, nie lubił oklasków” – pisał o nim jego proboszcz ks. Teofil Bogucki. W pogrzebie świętego z Żoliborza wzięło udział ponad pół miliona wiernych z całej Polski. „To był normalny, wesoły, aktywny człowiek, lubiący dobrą muzykę, alkohol też, z tym że się nie upijał” – pisał o ks. Jerzym jego przyjaciel Zbigniew Lew-Starowicz. „Przyszedł do parafii prosty, nieśmiały, jakby zalękniony. Pytałem się w duchu, co za pociechę mieć z niego będę. Do kazań się nie rwał, śpiewu unikał. Ale coś z niego promieniowało. Coś mnie do niego ciągnęło, coś było wspólnego. Był inny niż wszyscy, choć bezpośredni i taki swój” – wspominał ks. Bogucki. Był groźny dla komunistów również po śmierci, atakowali go, starając się nie dopuścić do rozwoju kultu, którego propagatorzy byli represjonowani.

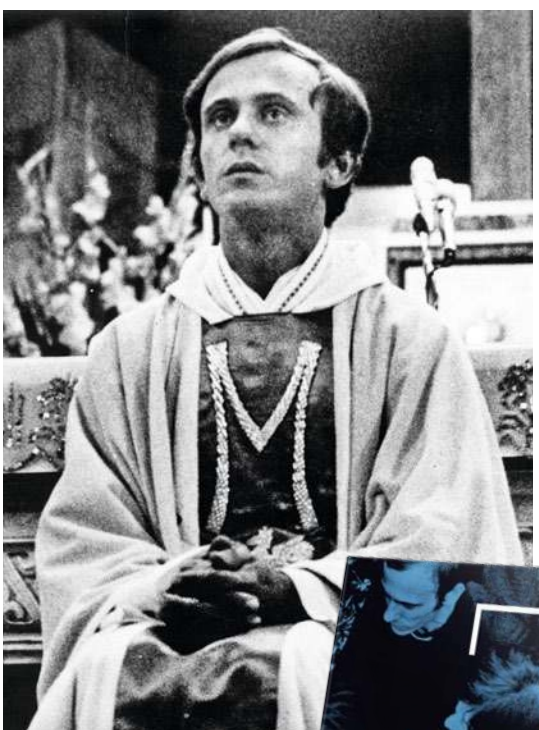

Wcale nie był najostrzejszym krytykiem represji stanu wojennego wśród polskich kapłanów. Ale był najgroźniejszy. Dlaczego? Stał się duchowym liderem.

W kazaniach oddawał ludzkie dramaty i cierpienia związane z represjami stanu wojennego. Mówił o wolności, godności i prawdzie. Głośno mówił o tym, co ludzie myślą. Ci nabierali zaufania i przychodzili do niego. To były homilie nie tylko przemodlone, lecz także „wypatrzone, wysłuchane od ludzi, z którymi na co dzień był ksiądz Jerzy”.

Udzielał wsparcia aresztowanym i internowanym, był na ich rozprawach sądowych, troszczył się o byt ich rodzin. Pisał: „Po prostu jestem z tymi ludźmi w każdej sytuacji. Ludzie przychodzą. Wiedzą, że mój dom jest otwarty dla nich od rana do wieczora. Każdego dnia przychodzi wielu ludzi, którzy niekoniecznie chcą pomocy materialnej. Chcą powiedzieć, chcą czasami wypłakać swój ból, podzielić się swoimi troskami. I to, że ich rozumiem, że czasami sam, słuchając ich, mam łzy w oczach, wczuwając się w ich sytuacje, w ich troski i kłopoty, to im daje niejednokrotnie więcej aniżeli jakaś pomoc materialna”.

Przychodziły do niego dziesiątki tysięcy ludzi. Swoją pracą i nauczaniem, a także męczeńską śmiercią wywarł ogromny wpływ na całe pokolenie Polaków. Tak samo jak kard. Stefan Wyszyński, ks. Blachnicki oraz Jan Paweł II. Podobnie jak twórca milionowej Oazy umarł za wartości, które głosił.

Przedmiotem pracy Katarzyny Jóźwik było zidentyfikowanie i opisanie najważniejszych środowisk, grup społecznych i osób utrzymujących kontakty z ks. Jerzym. A także opis przemiany z prostego, skromnego wikariusza w duchowego przywódcę i symbol oporu wobec komunizmu.

Ksiądz Popiełuszko był inicjatorem i uczestnikiem bardzo rozbudowanej sieci kontaktów. Tworzył wokół siebie wspólnoty. Był jądrem kondensacji, pyłkiem, ziarnkiem piasku, wokół którego krystalizują się ciecze nasycone. Wchodząc w duszpasterstwo hutników, a potem ogólnokrajowej Solidarności, włączał do swoich nowych zadań środowiska, nad którymi wcześniej sprawował opiekę – ludzi związanych ze służbą zdrowia, aktorów i studentów. Tak rosła kula śnieżna. Dlatego rządzący uznali, że muszą go zabić. Bo ksiądz Popiełuszko przestał się koncentrować jedynie na działalności w parafii św. Kostki i zaczął jeździć po Polsce. Przekroczył granice środowisk, które SB mogła kontrolować i stał się realnym zagrożeniem dla władzy na poziomie całego społeczeństwa.

Dojrzewał do swojej roli. „Wielu świadków, również niewierzących, wspomina, że już pod koniec życia widzieli w nim osobę świętą. On sam świętość pojmował bardzo prosto, jako coś osiągalnego dla każdego, cel, do którego należy dążyć”, pisze Katarzyna Jóźwik. Ks. Jerzy: „Aby być świętym, trzeba dobre i wielkie sprawy życia wykonywać święcie, z zaangażowaniem, w powiększaniu dobroci i miłości na świecie. Największą chorobą dzisiejszych ludzi, ktoś powiedział, jest to, że w nic nie są zaangażowani, w nic nie chcą włożyć serca ani duszy. W dążeniu do świętości musi nam towarzyszyć ciągła świadomość, że każdy najdrobniejszy czyn naszego życia musi być przepojony miłością”.

I w tym porządku czytam motto książki Katarzyny Jóźwik: „Dla Asi i Zosi, aby ks. Jerzy inspirował Was w dążeniu do świętości”.

Któż może tak napisać? Czy może się nie zmienić ktoś tak głęboko obcujący ze świętym jak autorka przez wiele lat pisząca książkę na jego temat? Asiu, Zosiu, jak to jest z waszą mamą?

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Maciej Walaszczyk

Witajcie w „Sytuacji”

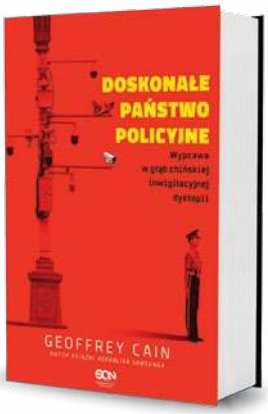

Ta książka powstała na podstawie relacji ujgurskich uchodźców z komunistycznych Chin, a dokładnie z prowincji Sinciang. Państwa, które w ciągu kilku dekad przeobraziło się z klasycznej komunistycznej despocji w stylu azjatyckim w tytułowe doskonałe państwo policyjne dysponujące coraz bardziej zaawansowanym technicznie i wyrafinowanym aparatem inwigilacji. W 2017 r. 1,8 mln Ujgurów, Kazachów i przedstawicieli innych, przeważnie muzułmańskich mniejszości etnicznych zostało oskarżonych przez chiński rząd o przenoszenie „ideologicznego wirusa”. Każdy z miejsca stał się potencjalnym „terrorystą”. Od tego momentu nasiliło się zsyłanie ich do obozów koncentracyjnych oraz ośrodków prania mózgu. Tam wpaja się im cnoty narodowe i sposoby harmonijnego pożycia z partią, zwalcza ich religijność oraz posiadanie więcej niż trójki dzieci. Codziennie w południe każda kobieta ma bowiem obowiązek zażyć pigułkę antykoncepcyjną.

A gdzie technologie? Jeśli przed pójściem do pracy ktoś postanowi odwiedzić sklep spożywczy czy stację benzynową, w każdym z tych miejsc należy przed wejściem przyłożyć do czytnika dowód osobisty. Jeśli na wyświetlaczu pojawi się komunikat „godny zaufania”, oznacza to, iż rząd wciąż uważa taką osobę za przykładnego obywatela. Jednak przy odmowie wstępu w życiu takiej osoby zaczynają się pojawiać komplikacje. Np. być może wcześniej kamery rozpoznały i zarejestrowały jej twarz, gdy modliła się w meczecie albo sztuczna inteligencja zaczyna podejrzewać, że kupujący w sklepie piwo jest alkoholikiem. Komunikator WeChat zainstalowany w telefonie dokładnie bowiem rejestruje, co delikwent pakuje do toreb. Wieczorem każdy ma obwiązek oglądać wiadomości, co czyni pod czujnym okiem kamery. Najmniejsze potknięcie może bowiem obniżyć ranking zaufania, a o wszystkim dowie się wszechwiedzące państwo. Program prewencji daje policyjnym smartfonom dostęp do bazy danych gromadzonych na temat obywatela na postawie milionów kamer, akt sądowych, doniesień informatorów. A sztuczna inteligencja ustali, czy próbujący dostać się do sklepu popełni w przyszłości jakieś przestępstwo. Autor przeprowadza nas przez rzeczywistość tej koszmarnej dystopii, której namiastkę mogliśmy doświadczyć w czasie lockdownów, słusznie kojarząc ją z orwellowskim rokiem „1984”. Ujgurowie nazywają ją „Sytuacją”.

Geoffrey Cain, „Doskonałe państwo policyjne”, SQN 2024

Szymanowski po włosku

Młody, bo jeszcze 18-letni Szymanowski, skomponował ten cykl, dopiero szukając własnej drogi i wyrazu muzycznego. Ale przecież każdy, kto posłucha Preludiów op. 1, przekonuje się, że stworzył je wielki mistrz o równie wielkiej wrażliwości. Trudno się dziwić, że tak wyraźną, szczególnie ujmującą i wzruszającą lirycznością, nawiązywały one do Chopina. Są w końcu „poważne”, utrzymane w tonacjach molowych i raczej powolnych tempach. Ale jest tu i pewien przebłysk impresjonistycznego wcielenia kompozytora, które dopiero zatriumfuje.

„Chopinowskie” preludia w wykonaniu mediolańskiego pianisty brzmią nieźle. Interpretując je, różnicuje poszczególne utwory, od silnie zakorzenionych w estetyce romantycznej aż po niezbyt emocjonalne i wylewne. Ale, jak wiadomo, Szymanowski jest na tyle uniwersalny, że również zdaje się być odporny na różne maniery. Nad Preludiami op. 1 w jego wykonaniu unosi się jednak chopinowska aura i najważniejsze, że Włoch jej nie porzuca. Jest ciekawą, choć niezbyt znaną postacią, m.in. zajmował się usprawnianiem klawiatury fortepianowej i opracowywaniem nowych patentów technicznych dla tego wdzięcznego instrumentu. Od ub.r. pracuje dla wytwórni płytowej Halidon i w ramach projektu, który ma potrwać dekadę, planuje nagrać w formacie cyfrowym większość sonat fortepianowych Beethovena, dzieła Chopina, Debussy'ego, utwory z repertuaru fortepianowego m.in. Bacha, Haydna, Mozarta, Schuberta, Schumanna, Liszta, Brahmsa, Schönberga, Ravela oraz właśnie Szymanowskiego. Komponuje też do tekstów literackich. Pisał np. muzykę inspirowaną „Małym księciem” de Saint-Exupéry'ego, kompozycje na głos i fortepian m.in. do „Sonetów do Orfeusza” Rilkego i „Czterech kwartetów” Eliota, a także dużej części utworów poetyckich Giuseppego Ungarettiego, a szerzej – do całej włoskiej poezji XX w. To bardzo ciekawa historia, bo Ungaretti jest jednym z przedstawicieli włoskiego symbolizmu i futuryzmu. Wydanie zbioru wierszy „Il porto sepolto” (1923) było opatrzone przedmową samego duce, dwa lata potem poeta podpisał profaszystowski manifest pisarzy włoskich, a w 1942 r. władze mianowały go nawet profesorem literatury współczesnej na uniwersytecie w Rzymie.

Paolo Ceccarini, „Szymanowski: 9 Preludes, Op. 1”, Halidon 2025

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Z polskimi duchami pod rękę

Naród potrzebuje swych mitów i kanonów, do których może się odwołać. Inaczej przyjmie obce formy istnienia za swoje

Piotr Nowak pisze sporo książek, ale ten zbiór nie dotyczy filozofii. To pewne osobiste podsumowanie i dowód na intelektualną przemianę autora, znanego przed laty jako współtwórcy programu telewizyjnego „Ogród sztuk". Eseje te określają dość szerokie kulturowe pole naszej wspólnoty narodowej. To jego wkład w część pracy duchowej, do której czuje się zobowiązany, gdyż, jak przypomina, przed każdym pokoleniem stawiane jest pytanie: po co jestem?

Może i owo pole, które uprawia, jest pełne nieznośnych mitologii, ale wydobywa z niego ów „akcent typowo polski", wyznaczający nam miejsce między Wschodem a Zachodem Europy. Na wielu przykładach pokazuje przejawy naszej tożsamości. Dzięki kulturze narodowej możemy w ogóle zrozumieć samych siebie, czego uczył nas Mickiewicz i dzięki któremu otrzymaliśmy „nowoczesne narzędzie samozrozumienia". Inaczej lud przyjmie za swoje podawane mu do konsumpcji paciorki zupełnie niezwiązane z naszym istnieniem oraz narzucone nam z zewnątrz formy jego istnienia. „W kulturze narodowej uczestniczy każdy, czy mu się to podoba, czy nie" – pisze Nowak. Dlatego zbawianie przez ekonomię, jak chcą tego politycy prawicy czy lewicy, doprowadziło tylko do fragmentaryzacji naszej wspólnoty. Autor nie ma już żadnych wątpliwości, że potrzebuje ona swych mitów, kanonów, nowych wstrząsów oraz zasad, do których może się odwołać w celu odbudowania własnej dumy. Nie ma innej drogi. A jeśli nawet wywołuje sceptycyzm, szyderstwo, „duchy Gombrowicza" i całą paletę destrukcji, podług której przecież tresowano nas przez kilka dekad, nie ma się co przejmować. „Agresywny sceptycyzm ma to do siebie, że sam na koniec słabnie i siebie obala" – pisze filozof. Musimy wyzwalać więc polskie duchy, „emanację narodu przedwiecznego", łańcuch pokoleń niosący z sobą trwałe i przedwieczne wartości. Nowak chce nadać znaczenie naszemu polskiemu istnieniu i wędrowaniu w książce, której za patrona nieprzypadkowo obrał Jarosława Marka Rymkiewicza. Rezonuje on w esejach na temat Mickiewicza, Mochnackiego, Kościuszki czy szczególnej interpretacji „Anhellego" Słowackiego. Być może powstał po zażyciu garści psylocybiny podsuniętej przez mistycyzujących mnichów z klasztoru w górach Libanu.

Ów „akcent typowo polski" to wynik latynizacji słowiańszczyzny, która odzwierciedla się w brzmieniu polszczyzny harmonizującej z elementami łacińskimi. Stąd pomnikowy – i słusznie – pean Nowaka na cześć Jana Kochanowskiego, zarówno poety, jak i obywatela. Świetnie wtedy rozumiano, że związek z zachodnią cywilizacją leży na polu kultury, że ekonomia i polityka to sfery zmienne, a jedynie kultura obiecuje przynależność do obszaru, na którym powstała. Ci, którzy włączali Polskę do UE, rozumowali dokładnie odwrotnie. To postawa Samuela Zborowskiego polegająca na wykonywaniu czynów moralnie pięknych, to „dzielne używanie wolności", pielęgnowanie jej, to bycie człowiekiem „słusznie dumnym" i wielkodusznym, takim, który „pamięta, że raczej wziął, a nie dawał". To też romantyczna świadomość losu pokonanych przez Historię, którą wbrew wszystkiemu potrafią kształtować wieszczowie i poeci. Stąd równie charakterystyczna nieznajomość i niepopularność w Polsce filozofii Machiavellego, co tak ciekawie wydobywa, kreśląc sylwetkę Lucjana Siemieńskiego, autora pierwszych całościowych przekładów tekstów florentczyka.

Ta praca jest też zachętą do pielęgnowania etosu polskiego inteligenta, pewnego rodzaju narodowej służby, dźwigania brzemienia obowiązków społecznych w sytuacji, gdy wspólnota kurczy się do rozmiarów, które zmieniają ją nie do poznania. Nowak pisze i na ten temat w szkicu o Instytucie Badań Literackich, przed którym staliniści postawili zadanie „rewaloryzacji dziejów" literatury polskiej jako „odmiany dyskursu partii komunistycznej". Zajmowały się tym Maria Janion czy Maria Żmigrodzka. Chodziło o deprecjację romantyzmu i zastąpienie go twórczością laicką, realistyczną i postępową. Bo jego przezwyciężaniem w istocie był tzw. realistyczny pragmatyzm, polegający na „ustalaniu do spółki z obcymi państwami nowych ram życia wyznaczających zakres wolności i polskości". Warto się po prostu nie dać przerobić w nie najmądrzejszych konsumentów późnokapitalistycznej rzeczywistości.

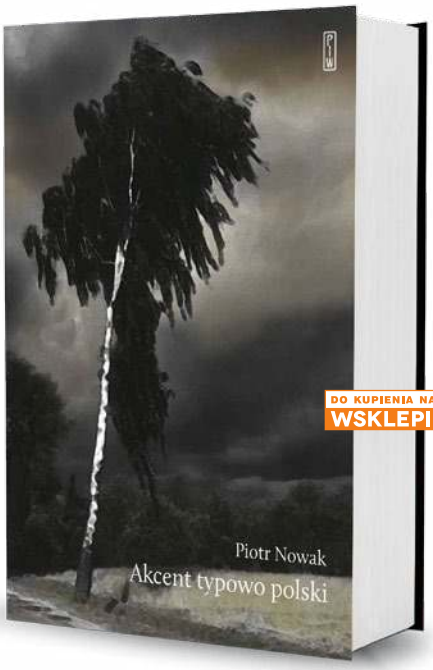

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Piotr Nowak, „Akcent typowo polski", PIW 2024

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Zaorać rolnictwo, czyli nowa polityka rolna Unii

Unijny budżet rolny przechodzi do historii. Komisja Europejska potwierdziła, że w nowych ramach finansowych nie będzie już odrębnych budżetów dla poszczególnych „polityk". Oznacza to koniec wspólnej polityki rolnej w jej dotychczasowej formie i stanowi milowy krok na drodze do marginalizacji unijnego, w tym polskiego, rolnictwa. Komu tak bardzo na tym zależy?

GRZEGORZ SZAFRANIEC

Na rolników i ich gospodarstwa w tym samym czasie spadł komplet 10 plag egipskich. Skrajnie niekorzystna umowa o wymianie handlowej UE z krajami Mercosur (Argentyna, Brazylia, Paragwaj, Urugwaj, Boliwia), niekontrolowana rzeka produktów rolnych z Ukrainy, najwyższe w historii koszty produkcji z absurdalnie drogimi nawozami, prądem czy paliwami na czele, kontrowersyjne zmiany w prawie, skutki szaleństwa Zielonego Ładu, zawirowania podażowo-popytowe, groźne choroby zakaźne drobiu, świń i bydła rogatego, likwidacja tysięcy nierentownych gospodarstw rolnych w Europie, dramatyczne problemy z sukcesją spowodowane odpływem młodych do miast, roszczeniowi sąsiedzi, którzy trafili na wieś z miast, którym przeszkadzają zapachy, a nawet pracujący na polu ciągnik.

Mamy dziewięć. Dziesiąta może być gwoździem do trumny całej branży – chodzi o zmiany we wspólnej polityce rolnej (WPR), które są równoznaczne z likwidacją dopłat bezpośrednich, a w najlepszym wypadku z ich marginalizacją.

UNIJNA NOWOMOWA

Christophe Hansen, unijny komisarz ds. rolnictwa, kilka dni temu przedstawił nową wizję polityki rolnej UE. Ile w niej konkretów? Oto trzy przykładowe. „Większa aktywność w promowaniu unijnego eksportu, w tym asertywność w stosowaniu zasady wzajemności w dwustronnych relacjach handlowych, a także partnerski dialog w zakresie polityki rolnej i żywnościowej, w tym promowania standardów produkcji"; „działania na rzecz dywersyfikacji łańcucha dostaw w celu zmniejszenia zależności od importu strategicznych surowców [...] w sposób sprzyjający przechodzeniu na gospodarkę niskoemisyjną"; „kontynuacja działań dla skorygowania obecnej nierównowagi w łańcuchu żywnościowym i poprawy pozycji rolnika w tym łańcuchu". Brzmi ładnie, ale co dokładnie oznacza?

„WIZJA" KOMISARZA HANSENA

Wielu oczekiwało, że „nowa wizja rolnictwa" rozwieje wreszcie wątpliwości dotyczące płatności bezpośrednich, jednak Hansen stanowczo stwierdził, że

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

na ostateczne odpowiedzi w tej kwestii jest zbyt wcześnie.

Zastrzeżenia wobec dokumentu ma nawet nasz resort rolnictwa z jego szefem Czesławem Siekierskim na czele. Jest on rozczarowany tym, że KE nie sprecyzowała, w jaki sposób zamierza wprowadzić rozwiązania dotyczące większego ukierunkowania czy uproszczenia wsparcia w ramach WPR. Zauważa, że mało uwagi poświęcono kwestiom dotyczącym rozwoju obszarów wiejskich. Dokument bardzo ogólnikowo odnosi się również do kwestii rozszerzenia UE, wskazując jedynie na „potrzebę stopniowej integracji".

LISTA POBOŻNYCH ŻYCZEŃ

„Wizja dla rolnictwa i żywności" to zaledwie 16-stronicowy dokument, w którym na próżno szukać konkretów.

– Już samo określenie „wizja" w tytule może wskazywać, że jest to lista pobożnych życzeń ubranych w ładnie brzmiące hasła. Nie dziwi mnie, że zarówno unijny komisarz ds. rolnictwa, jak i minister Siekierski tonują nastroje, podkreślając, że do ostatecznych decyzji jeszcze daleko. Stąd wzięła się kłamliwa narracja, że „dokument niczego nie wprowadza, mamy do czynienia ze wstępną propozycją, która wymaga szerokiej dyskusji, a w ogóle to na stole jest kilka opcji" – mówi nam Grzegorz Cymiński, dyrektor Biura Rady Krajowej NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych. Jego zdaniem problem na poważnie powróci, gdy będzie mowa o wieloletnich ramach finansowych (WRF), bo wtedy pojawi się kwestia pieniędzy i zasad ich rozdzielania.

Prawda jest taka, że bez stabilnego finansowania założenia dotyczące rozwoju WPR mogą pozostać jedynie na papierze. Eksperci nie mają wątpliwości, że pojawiające się w przestrzeni publicznej propozycje zmian w strukturze WRF to prosta droga do wywołania gigantycznych turbulencji w sektorze rolno-spożywczym.

WYROK JUŻ ZAPADŁ

Tydzień temu Komisja Europejska opublikowała komunikat, w którym wprost informuje, że w nowych ramach finansowych nie będzie już odrębnych budżetów dla poszczególnych „polityk". Tym samym zostanie zlikwidowany budżet wspólnej polityki rolnej. Z przekazanych informacji wynika, że UE jest poważnie zadłużona z powodu pożyczek w ramach NextGenerationEU – funduszu uruchomionego na odbudowę po pandemii COVID-19. Potrzebuje też dużych pieniędzy na „wsparcie Ukrainy i bezpieczeństwa w Europie".

„Utrzymanie *status quo* nie jest możliwe. Trzeba dokonać wyboru i skupić się na priorytetach w tych dziedzinach, w których działania są najbardziej potrzebne" – alarmuje Komisja Europejska.

W związku z tym zamiast dotychczasowej struktury budżetu opartej na sektorowych programach finansowych Komisja proponuje trzy bloki wydatków:

- Krajowe plany reform i inwestycji indywidualnie opracowywane przez każde państwo członkowskie;
- Europejski Fundusz Konkurencyjności wspierający strategiczne sektory i kluczowe technologie;
- Fundusze na finansowanie działań zewnętrznych – sprawy zagraniczne i ochrona strategicznych interesów Wspólnoty.

KOLEJNY ELEMENT SZANTAŻU

Komunikat Komisji Europejskiej oznacza w praktyce koniec gwarantowanych wydatków na rolnictwo na poziomie UE. Co więcej, rolnictwo i rozwój obszarów wiejskich będą mogły być połączone z celami politycznymi UE. „Komisja Europejska chce nałożyć na kraje członkowskie rygorystyczne warunki uzyskania pieniędzy z unijnego budżetu, który będzie obowiązywał w latach 2028–2034. Zainteresowane kraje będą musiały zająć się np. kwestią nierówności płci czy promować rolnictwo ekologiczne, aby otrzymać fundusze. Ich realizację ma nadzorować osobiście Ursula von der Leyen" – informował w październiku ub.r. portal Politico.

Rolników czeka więc wyjątkowo zimny prysznic – nic nie wskazuje bowiem na to, że w obecnej sytuacji, gdy Unia Europejska potrzebuje pieniędzy na obronność i nowe technologie, ktoś zatrzyma umowę z Mercosur, ograniczy dostęp do wspólnego rynku produktów rolnych z Ukrainy, przeznaczy więcej pieniędzy na dopłaty bezpośrednie czy zrewiduje podejście do Zielonego Ładu.

ŚMIERĆ PRZEZ ZAGŁODZENIE

Unia ma umowę z Mercosur, dzięki której wszystko, czego potrzeba, będzie docierać do Europy z zewnątrz. Likwidacja unijnego budżetu rolnego od 2028 r. to wyraźne zakwestionowanie znaczącej do tej pory roli rolnictwa w europejskiej gospodarce. Wygląda to na zaplanowane wygaszanie sektora rolnego. Dodatkowo otwieramy rynek na produkty rolno-spożywcze z Ukrainy, aby uzupełnić braki w produkcji żywności, które mogą wystąpić, gdy Europa przestanie ją wytwarzać. To jest długoterminowy plan, który Bruksela chce realizować z żelazną konsekwencją.

– Prawda jest brutalna. Komisja Europejska realizuje politykę Niemiec również w sektorze rolnym. A tutaj chodzi przecież o fundamentalną kwestię, jaką jest bezpieczeństwo żywnościowe, równie ważne jak np. silna armia – mówi Robert Telus, były minister rolnictwa w rządzie Mateusza Morawieckiego.

Ile to bezpieczeństwo oznacza, można się było przekonać chociażby w pierwszych dniach pandemii, gdy w sklepach brakowało strategicznych produktów. Co prawda po kilku dniach nasi dostawcy ogarnęli sytuację, jednak w wielu krajach UE było zdecydowanie gorzej – ucierpiały, bo nie są samowystarczalne żywnościowo i sprowadzają duże wolumeny towarów z odległych miejsc, a napięte do granic możliwości łańcuchy logistyczne zaczęły się rwać. Zresztą nie trzeba pandemii, żeby doszło do podobnej sytuacji – wystarczy, że gigantyczny kontenerowiec utknie w Kanale Sueskim na sześć dni i zablokuje tę strategiczną dla światowego handlu cieśninę.

– Niemcy sprzedali bezpieczeństwo żywnościowe Unii Europejskiej, otwierając się na produkty spożywcze, przede wszystkim z Ameryki Południowej, żeby móc wysyłać na te rynki produkty swojego przemysłu, m.in. z branży motoryzacyjnej, która przeżywa zapaść. To smutna i bolesna prawda – konkluduje Robert Telus.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

EWA IHALAINEN*

Zakochałam się w spokojnej Finlandii

Na nagrania do 6. edycji programu „The Voice Senior" przyjechałam z Finlandii, z małego miasteczka koło Tampere. W Pirkkala, które liczy raptem 21 tys. mieszkańców, żyje się wspaniale. Jest spokojnie, wokół piękna przyroda, dużo jezior. Można oddychać pełną piersią, łowić ryby.

Do Finlandii trafiłam – aż trudno uwierzyć – pół wieku temu. Wszystko zaczęło się od ogłoszenia. Jako absolwentka liceum muzycznego w klasie perkusji dowiedziałam się, że poszukiwana jest perkusistka do żeńskiego zespołu Domino Trio, który miał koncertować za granicą. Możliwość wyjazdu zapewniał Pagart – agencja artystyczna, która w czasie, gdy zdobycie paszportu graniczyło z cudem, oficjalnie organizowała występy także poza krajem.

W tamtym czasie Skandynawia przeżywała boom na tańce, ale brakowało wykonawców, więc ściągano ich, skąd się dało. Odpowiedziałam na ogłoszenie i wyjechałam. To był 1974 r. Z Domino Trio grałam przez 10 lat, z czasem też śpiewałam, a potem się to skończyło i zaczęłam inną pracę.

W Finlandii żyje się bardzo spokojnie. Pamiętam nasze zdziwienie, kiedy przyjechałyśmy tam w latach 70. Zastanawiałyśmy się, dlaczego ludzie nie zamykają swoich domów. A oni tego nie potrzebowali. W ogóle nie było kradzieży. Teraz się to trochę zmieniło, ale w tamtych latach... Zakochałam się w tej spokojnej Finlandii.

Poza naszym miasteczkiem i regionem Pirkanmaa, w którym leży (w południowo-zachodniej Finlandii, na przesmyku między jeziorami Näsijärvi i Pyhäjärvi), uwielbiam też znajdującą się na północy Laponię. Mamy tam mały rodzinny domek (w rejonie Salla). Jest usytuowany nad rzeką i nie ma w nim prądu. Jeździmy do niego we wrześniu, bo latem jest tyle komarów, że nie sposób wytrzymać, ale we wrześniu to się uspokaja. Jest dużo jagód, borówek, są grzyby. I ryby. Jest świetnie.

Jeśli mamy wyruszyć gdzieś poza Finlandię, to wybieramy południe, czyli Polskę, którą mój mąż Pekka bardzo lubi. Mówi nawet, że mógłby się tutaj sprowadzić. W naszym kraju wszystko mu się podoba. Szczególnie otwartość ludzi, ich energia, pozytywne nastawienie do życia, uśmiech, gościnność.

Gdybyśmy mieli się przeprowadzić do Polski, to najchętniej do Gdańska. Jest piękny. Poza tym mam tam rodzinę. A na Śląsku, z którego pochodzę i z którego wyjechałam przed laty, wciąż mam wielu przyjaciół. W moim liceum muzycznym w rodzinnych Katowicach założono nawet mój fanklub. W Finlandii wciąż koncertuję – z zespołem Ewa Kaarela Swing Band. Mam tam swoich fanów, a po występie w „The Voice Senior" dołączyli nowi, z Polski. Mogę się z tego tylko bardzo cieszyć. I śpiewać – dla jednych i drugich.

***Notowała** Jolanta Gajda-Zadworna*

**Finalistka 6. edycji programu „The Voice Senior"*

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

SŁODKO-SŁONY

Zdrowa słodycz

ANNA MONICKA

W moim ulubionym sklepie orientalnym, do którego regularnie zaglądam w poszukiwaniu olejków eterycznych (zwłaszcza neroli, który działa na mnie jak antydepresant, a jednocześnie zastępuje wszelkie perfumy świata), przemiły i zawsze uśmiechnięty właściciel poczęstował nas świeżymi daktylami medjool – olbrzymimi, soczystymi i delikatnymi w smaku. Kosztują sporo, ale znacznie mniej niż dobre czekolady czy kilogram pączków, więc kupiłam kilkanaście sztuk i przez kilka dni zajadałyśmy je z córką, żałując, że nie rosną u nas palmy daktylowe.

Daktyle to owoce, które niby znamy, ale tak naprawdę mało o nich wiemy. Stanowczo za mało. Daktylowce to jedne z najstarszych roślin uprawianych przez człowieka. Nasi praprzodkowie szybko się poznali na ich owocach i dobrze, bo to bardzo zdrowa przekąska, która niejednego ocaliła od głodu. Arabowie zawsze uważali, że aby długo żyć w dobrej kondycji, trzeba jeść garść daktyli dziennie.

Badania dowodzą, że daktyle rzeczywiście są zdrowym źródłem cukrów prostych, organizm wchłania je błyskawicznie, a my dostajemy kopa energii. Świetnie zastępują słodycze, ale w przeciwieństwie do nich mają mnóstwo witamin, potasu, chromu, fosforu i błonnika, który usprawnia pracę jelit. Zawierają działające przeciwzapalnie i przeciwbólowo salicylany, chronią przed zakrzepami, miażdżycą, uniemożliwiając odkładanie się złogów cholesterolu na ściankach naczyń krwionośnych.

U nas w domu zawsze są pod ręką, zwykle odmiany sukkari, lekko karmelowe. Nauczyłam córkę, żeby nosiła kilka sztuk do szkoły i podjadała, gdy czuje spadek mocy na lekcjach. W sklepach z ekologiczną żywnością poluję na syrop daktylowy jomara wyprodukowany w Arabii Saudyjskiej, która słynie z najlepszej jakości owoców. Słodzę nim desery owocowe, dodaję do jogurtów – ma niezwykły smak. Jest oczywiście słodki, ale czuje się w nim nuty miodowo-owocowe. Ostatnio piekę bezglutenowe i bezcukrowe ciasteczka z mielonych migdałów i daktyli (2:1) – z masy trzeba ukręcić kulki, rozpłaszczyć na wyłożonej pergaminem blasze i wstawić na 15 min do nagrzanego do 200 st. C piekarnika. Polecam.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Ryba, kucharz i triumf

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Świat się zmienia... ale czy na pewno? I czy zmienia się natura ludzka? „Ludzie są tylko ludźmi. Lubią pieniądze, ale przecież tak było zawsze... [...] Ludzie jak ludzie... W zasadzie są, jacy byli, tylko problem mieszkaniowy ma na nich zgubny wpływ...".

To cytat z „Mistrza i Małgorzaty". Problem mieszkaniowy nie zniknął. Nie zmienił się świat ani inne zagadnienia, które zajmują naszą uwagę w zaskakująco podobny sposób.

Przenieśmy się od Bułhakowa i literatury pięknej do Pliniusza Starszego i jego „Historii naturalnej", od problemów mieszkaniowych do galopujących cen. Ile jeszcze niedawno kosztowało masło? Kto nie pamięta benzyny kosztującej niedawno 3 zł za litr? Albo twarogu jako najtańszego produktu, za który płaci się tyle, ile jeszcze niedawno za najdroższe wędliny? Skoro jest to rubryka kulinarno-przyrodnicza, wykorzystajmy taki cytat: „Azyniusz Celer, jeden z mężów konsularnych, nie żałując na tę rybę pieniędzy, za cesarza Gajusza kupił jednego czerwonobroda za 8 tys. sestercji. Kiedy się nad tym zastanawiam, przychodzą mi na myśl ci, co to narzekając na zbytek, skarżyli się, że jeden kucharz kosztuje drożej niż koń. A teraz koszt kucharza wynosi tyle, ile urządzenie całego triumfu! A ryba kosztuje tyle, ile przedtem kucharz!".

Świat się nie zmienia. A my? Kiedy mówimy o współczesnych okrucieństwach i zasadach dawnego świata, zapominamy o wojnach, które ludzie toczyli od zawsze i podczas których już dawno zrealizowali wszystkie wyobrażalne oraz niewyobrażalne scenariusze. Kiedy odwołujemy się do świetności starożytnych cywilizacji, zapominamy o ich wypaczeniach.

We wspomnianym dziele Pliniusza znajdziemy wszystko, co nas zajmuje dziś, a co już było, od spraw wielkich po drobne, takie jak to, że odkąd pojawił się pieniądz jako przedmiot, monety z błędem były poszukiwane i warte wielokrotnie więcej niż te bez feleru.

Natura ludzka nie jest lepsza ani gorsza. Jest taka sama. Ale żeby nie kończyć pesymistycznie, przywołajmy jeszcze jeden cytat z Bułhakowa: „Prawda, są lekkomyślni... No cóż... I miłosierdzie zapuka niekiedy do ich serc". I nie zapominajmy o jedynej sile, która przecząc powyższym tezom, pojawiła się na świecie i może zmienić jego i nas na lepsze: o chrześcijaństwie.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

OGNIEM NA WPROST

Amerykańska partytura

Andrzej Rafał Potocki

W poprzedniej rubryce przedstawiłem swoje zdanie na temat postawy prezydenta USA Donalda Trumpa w kwestii zakończenia wojny na Ukrainie. Podając historyczny przykład kongresu erfurckiego (spotkanie cesarza Napoleona z carem Aleksandrem I w 1808 r.), starałem się pokazać szanownym czytelnikom różnicę pomiędzy dyplomatycznymi zagraniami a rzeczywistą polityką. Dziś czas na zdanie współautora tej rubryki. W jakimś stopniu jest podobne do mojego, ale stanowi rozwinięcie tematu dyplomacja a polityka. Otóż według „Skippera" Europę i środowiska liberalne ogarnęła antytrumpowa histeria związana z próbami rozmów z Kremlem. Odwołania do Monachium w 1938 r. to najlżejszy kaliber. Kontynuacja otwartych oskarżeń o bycie moskiewskim agentem to te cięższe zarzuty. A mówią to ludzie, którzy poprzez ekonomiczną kooperację uczynili Federację Moskiewską zdolną do agresji, a przez trzy lata nie potrafili doprowadzić do jakiegoś sensownego wyniku, skutecznie blokując pomoc dla Ukrainy. (Guten morgen, Herr Scholz).

Kluczowy błąd komentatorów polega na tym, że analizują wypowiedzi Trumpa i jego ekipy w oderwaniu (wspominał o tym prezydent Andrzej Duda), jakby każdy z nich mówił od siebie i tylko za siebie. Tymczasem amerykańską retorykę trzeba podzielić na dwie grupy: pierwsza dotyczy negocjacji z Moskwą. Tu pojawiają się cztery podgrupy: wypowiedzi dla Ukrainy, wypowiedzi dla Rosji, wypowiedzi dla Europy i wypowiedzi dla amerykańskich wyborców. Druga to element negocjacji z Ukrainą w sprawie gwarancji. Tu z kolei są dwie kolejne podgrupy: teksty dla Ukrainy i teksty dla wyborców w USA. Jak należy więc rozumieć to, co mówią Amerykanie? Przede wszystkim całościowo. To nie są poszczególne wypowiedzi Trumpa, Vance'a, Rubio, Kelloga czy Hegsetha, tylko rozpisana na głosy partytura, z której wyłania się utwór.

Stany Zjednoczone są skłonne przekonać Ukrainę do rezygnacji z tych obszarów, których ukraińskie siły nie są w stanie obecnie odzyskać. Ukraina nie wejdzie też do NATO (bo i tak nie pozwoli na to Berlin, a Kijów ma zawarte dwustronne porozumienia gwarancyjne z kilkunastoma krajami). W zamian powstanie strefa buforowa chroniona przez siły zachodnie (ale europejskie, bo US Army ma inne zadania), a na Ukrainie dojdzie do wyborów prezydenckich (które i tak muszą nastąpić prędzej czy później). Moskwa, żeby wrócić do normalnych relacji z Zachodem, powinna porzucić Chiny i odwrócić sojusze. By do tego doszło, trzeba najpierw doprowadzić do zawieszenia broni na froncie. Jeśli Rosja odrzuci ofertę, Stany Zjednoczone użyją sankcji na maksymalnym możliwym poziomie, są wręcz gotowe posłać na Ukrainę swoje wojska (pokój przez siłę).

Mamy więc dużą marchewkę: terytorium, możliwość uzyskania bardziej spolegliwego rządu w Kijowie (opcja iluzoryczna, bo USA stawiają na środowisko byłego głównodowodzącego SZU gen. Walerija Załużnego, który dla Moskwy jest bardziej niestrawny od Zełenskiego), odbudowa kontaktów handlowych i politycznych, uzyskanie znaczącej pozycji w sojuszu zachodnim. I potężny kij w postaci sankcji oraz groźby otwartego starcia z armiami zachodnimi, gdzie w wersji light są siły głównie brytyjskie, a w wersji hard amerykańskie. Czyli z tego szumu informacyjnego, który jest generowany, wyłania się następujący komunikat: „Kacapy, porzućcie Chiny i przejdźcie na naszą stronę, to pozwolimy wam wyjść z tego konfliktu z twarzą i pewnymi korzyściami. Jeśli odrzucicie nasze propozycje, dostaniecie wpiernicz i stracicie wszystko, co macie. Kij albo marchewka".

I teraz te propozycje są rozpisane na głosy w następujący sposób. Dla Federacji Moskiewskiej: „Przecież jesteście normalnymi ludźmi, razem walczyliśmy w II wojnie. Chodźcie, pogadamy. Przecież można się dogadać. Jak nie dajecie rady z tym upartym Zełenskim (też go nie lubię), to pogadajcie z nami. Ale wiecie, Ukraina jest częścią Zachodu. Też możecie nią się stać, jeśli chcecie". D la Europy: „No dobra, jeśli jesteście takimi lebiegami, że nie chce wam się walczyć o swój region, to przynajmniej pomóżcie go zabezpieczyć". Dla Ukrainy: „Jak nie możecie sami czegoś wywalczyć, to musicie z tego zrezygnować. Nikt nie będzie za was odwalał waszej roboty". I w końcu dla wyborców w USA: „Zobaczcie, z jakimi matołami muszę się użerać! Ale robię wszystko, co mogę. Doprowadzę do pokoju w ciągu... roku. Co, miało być 24 godziny? Owszem! Ale jak to zrobić, kiedy wokół same przygłupy i pierdoły. Być może będziemy musieli jednak tam pójść i nakłaść paru gościom po mordach, ale to naprawdę ostateczność. Ja tego nie chcę. Na koniec dodam od siebie może w formie trochę profetycznej, ale wydaje mi się, że mimo dobrych chęci i starań, trzeba będzie jednak »paru gościom nakłaść po mordach«, a głównie jednemu. Coby jeszcze zmiękł".

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Michał Korsun prezentuje:
Prezydencka kampania Hołowni za sejmowe pieniądze

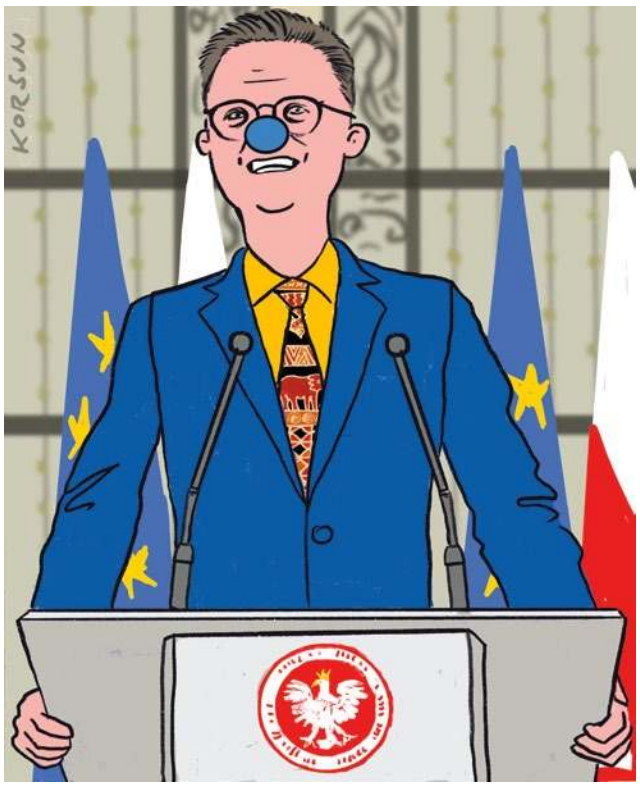

Wycinki z przeszłości

Tygodnik ilustrowany „Za i Przeciw" (należący do środowiska katolików popierających władzę komunistyczną) z 7 marca 1965 r. pytał z okazji Dnia Kobiet: „Kobieto, gdzie twoje miejsce?".

„Nie wydaje mi się ani konieczne, ani słuszne, abyśmy forsowali na siłę hasło »każda kobieta do pracy, każda kobieta poza domem«. Bo z równouprawnienia może także korzystać, i to wspaniale, kobieta, która swe zdolności umysłowe, intelektualne poświęci tylko (czy może aż) domowi. Powiedziałabym: nie za każdą cenę wolno kobiecie realizować poza domem swoje równouprawnienie. Tym bardziej że współcześnie bardzo potrzebujemy dobrych domów, mądrych rodzin" – stwierdzała Barbara Eysmontt. Adam Romaniuk w lekko polemicznym tonie podkreślał: „Wielu pomija w tych dyskusjach poglądy samych kobiet, przede wszystkim młodego pokolenia, które ukończyły czy kończą szkoły średnie i wyższe. Ogromna ich większość odrzuca model lokujący je wyłącznie w domu. One chcą osiągnąć własną, niezależną pozycję ekonomiczną, społeczną i zawodową. Te kobiety są jednocześnie najczęściej mądrymi, dojrzałymi życiowo matkami".

A co państwo sądzą? Czy dziś to pytanie jest aktualne, czy zmiany społeczne ostatecznie rozstrzygnęły tę kwestię?

(mk)

Z WOLEJA

Polscy mocarze

Ryszard Czarnecki

Za dwa lata upłynie 100. rocznica połączenia Polskiego Związku Ciężkiej Atletyki (sic!) i Polskiego Związku Towarzystw Atletycznych. Powstał wtedy Polski Związek Atletyczny. Za Stalina, kiedy masakrowano także struktury polskiego sportu, istniał on pod nazwą Sekcji Atletyki Głównej Komisji Kultury Fizycznej. Dosłownie w tych dniach można świętować 68. rocznicę utworzenia organizacji, w której wreszcie nazwano rzeczy po imieniu: Polski Związek Podnoszenia Ciężarów.

W Polsce i na świecie czasy świetności tej dyscypliny już minęły. Jej wizerunek niszczyły nieustające afery dopingowe. A przecież to właśnie ciężary są trzecim pod względem liczby miejsc na podium „dostarczycielem" medali dla Biało-Czerwonych na igrzyskach olimpijskich. Tylko lekkoatletyka i boks miały ich więcej. Nasi ciężarowcy zdobyli na IO 34 medale, w tym po 6 złotych i srebrnych oraz 22 brązowe. O mocy polskiej sztangi świadczy fakt, że spośród wszystkich 239 kompletów medali na IO nasi ciężarowcy wywalczyli aż 4,742 proc. z nich. Pod tym względem lepsze jest tylko kajakarstwo, wspinaczka sportowa i boks.

Najbardziej utytułowani polscy ciężarowcy, a jednocześnie najmocniejsi pod względem siły fizycznej sportowcy naszego kraju to dwukrotny mistrz olimpijski z Tokio (1964) i Meksyku (1968) Waldemar Baszanowski oraz również dwukrotny medalista olimpijski, złoty z Rzymu (1960) i brązowy z Tokio, Ireneusz Paliński. To właśnie on był pierwszym Polakiem, dzięki któremu na zawodach olimpijskich w podnoszeniu ciężarów usłyszeliśmy najpiękniejszą melodię świata – Mazurek Dąbrowskiego.

Najbardziej znanym polskim sztangistą wszech czasów był wspomniany Baszanowski. Fachowe pismo „World Weightlifting" uznało go za numer 3 w dziejach światowych ciężarów (za Turkiem Süleymanoğlu oraz Węgrem Földim). Polak 24 razy bił rekordy świata i poza 2 złotymi medalami na IO był pięciokrotnym mistrzem globu (oraz pięciokrotnym wicemistrzem), 6 razy wygrywał też Mistrzostwa Europy, a 3 razy zdobywał w nich srebro.

Jego życie było jak dramat sensacyjny: w 1969 r. auto, które prowadził, wpadło w poślizg, w wypadku zginęła jego żona Anita, a sztangista i sześcioletni syn zostali ranni. Mimo to w tym samym roku przed własną publicznością obronił tytuły mistrza świata i Europy w Warszawie, a dodatkowo pobił cztery rekordy globu.

Artykuł ten dedykuję dwukrotnej medalistce olimpijskiej, mistrzyni świata i trzykrotnej mistrzyni Europy Agacie Wróbel, która w grudniu 2024 r. ogłosiła, że straciła wzrok.

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

OD A DO ZYBERTOWICZA

Czego Klaus Schwab nie chce widzieć

Czy czytelnikom „Sieci" trzeba przedstawiać tę postać? W 1971 r. stworzył Światowe Forum Ekonomiczne w Davos. Do dziś corocznie spotykają się tam najbardziej wpływowi ludzie z całej planety.

DUBAJ, PORANEK 11 LUTEGO 2025 r.

Właśnie rozpoczyna się World Governments Summit, wielka międzynarodowa konferencja będąca, by tak rzec, regionalną kopią Davos. Po otwarciu imprezy przez przedstawiciela gospodarzy głos zabiera Klaus Schwab. Jego wystąpienie trwa 10 min. Można je obejrzeć na YouTube.

W przemyślanym wystąpieniu, przedstawiając wielkie wcześniejsze rewolucje, jakie przeszła ludzkość (fazę agrarną, kolejne etapy rewolucji przemysłowej), Schwab mówi, że przechodzimy do ery inteligentnej, kiedy tempo zmian i ich złożoność rosną ogromnie. Tak bardzo, że mówca przyznaje, iż chociaż pisze właśnie książkę poświęconą tym sprawom, to jednak nie wszystko rozumie. Swoje wystąpienie kończy jednak optymistycznie, mówiąc: „To my kształtujemy przyszłość i dlatego możemy patrzeć na nią z optymizmem".

Sala w skupieniu śledzi wywód znanego mówcy, ale moją uwagę przykuwa rażąca niespójność tego przekazu. Gdy rozmawiam o tym wystąpieniu z kilkoma osobami obecnymi na sali, okazuje się, że nie dostrzegli oni tej niespójności.

AI TO WIDZI

Wpadam na pomysł: sprawdzę, czy AI jest bardziej przenikliwa niż ludzie i zobaczę, jak oceni wystąpienie Schwaba. Transkrypcję jego przemowy pokazuję kilku modelom AI i polecam: „Przeanalizuj to wystąpienie pod kątem możliwych niespójności". Najlepszy pod tym względem okazał się Gemini 2.0 pro z firmy Google.

Choć AI dopiero raczkuje, już potrafi dostrzec niespójności ludzkich wywodów, które umykają uwadze wpływowych ludzi

AI komentuje: „Jeśli nawet osoba pisząca książkę na temat epoki inteligentnej nie rozumie tego w pełni, to jak »my« (tj. ogół ludzkości) możemy przyszłość skutecznie kształtować? To przecież podważa podmiotowość, którą, jak Schwab twierdzi, mamy posiadać".

Po zapoznaniu się z automatyczną transkrypcją tekstu – nie we wszystkich punktach dokładną – AI zauważyła taką niespójność i jasno ją wyartykułowała. Ale jakaś część wykształconych osób obecnych na sali tego nie dostrzegła. Moim zdaniem z tej sytuacji wynika bardzo wiele.

Niemniej sądzę, że obecnie na Ziemi nie ma żadnego ludzkiego umysłu – ani też sztucznego, łącznie z najpotężniejszymi aktualnie modelami AI – który byłby w stanie ogarnąć, jakoś prześwietlić poznawczo złożone mechanizmy rewolucji cyfrowej. To ona jest głównym motorem napędowym zmian wiodącym nas w nieznaną przyszłość.

Nasze decyzje i działania faktycznie współtworzą, kształtują świat – w sensie oddziaływania przyczynowo-skutkowego. Ale wcale nie nadajemy światu kształtu, jaki jest przez nas zaplanowany, zamierzony, oczekiwany, wymarzony. Nadajemy mu cechy istotnie odmienne od tych upragnionych. M.in. dlatego, iż nie rozumiemy w pełni ani źródeł, ani konsekwencji naszych działań. Są one tylko ogniwami w procesie przyczyn i skutków, których związki są dla nas coraz bardziej nieprzejrzyste.

TO NIE MY KSZTAŁTUJEMY ŚWIAT

To świat kształtuje nas. Na drodze czynienia ziemi sobie poddaną (Rdz 1,28) przez wieki budowaliśmy coraz potężniejsze narzędzia. Ale rewolucja cyfrowa przyniosła nam narzędzia – z internetem na czele – tak potężne, że coraz słabiej rozumiemy nie tylko to, jak one działają, lecz także w jakie związki wchodzą one ze sobą. Często nie chcemy przyznać, że niezamierzone efekty uboczne zastosowania naszych wynalazków bywają istotniejsze od celów planowanych.

ODMOWA WIEDZY

Klaus Schwab jest człowiekiem inteligentnym i dobrze wykształconym, który zawodowo obserwuje (z ambicjami wpływania) przemiany współczesnego świata. Nie chce jednak porzucić złudzenia, że sprawy nadal mamy pod kontrolą. Nie widzi tego, że jego optymizm jest bezpodstawny. Podobnie jak znaczna część dzisiejszych światowych elit. Myślą, że mogą utrzymać kontrolę nad tym, co przynoszą stale rozwijające się technologie cyfrowe. Jednak AI, choć dopiero raczkuje, już potrafi dostrzec niespójności ludzkich wywodów, które umykają uwadze wpływowych ludzi. Najwyższa pora spowolnić tempo zmian.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 7fb6a2d0a0

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
118 zł	207 zł	375 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl/7b0a2d0a0

wPolsce 24

Ruszamy w Polskę, żeby spotkać się z naszymi Widzami!

Dołączcie do nas – zróbmy wspólne zdjęcie i porozmawiajmy o polskich sprawach!

Odwiedzimy kilkaset miejscowości.

Sprawdź, gdzie możemy się spotkać.

Szczegóły w telewizji wPolsce24, na facebook.com/telewizjawpolsce i portalu wPolsce24.tv

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl 7fb6a2d0a0